

MISTRZOSTWO GATUNKU! Świąteczna opowieść Nataszy skrzy się dowcipem i wzrusza do łez. A kiedy myślisz, że już wiesz, jak skończy się ta historia, czeka na ciebie naprawdę smakowita niespodzianka.

Lilliana Fabisińska, pisarka

Natasza Socha

BIURO PRZESYŁEK NIEDORECZONYCH



Pascal



Natasza Socha

BIURO PRZESYŁEK NIEDORĘCZONYCH



Pascal

Ludzie na całym świecie tworzą specyficzny system naczyń połączonych. Kiedy jedna osoba zaczyna coś robić, nie pozostaje to bez wpływu na pozostałych uczestników systemu, mimo że często w ogóle nie zdajemy sobie z tego sprawy. Jesteśmy jednym organizmem, choć każdy z nas ma inne zadanie do wykonania. Maszyna wspólnych zależności pracuje w zasadzie bez przerwy...

Rozdział 1

NOWA PRACA

Zuzanna bardzo nie lubiła czapek. Jej włosy były dość cienkie i pod każdym nakryciem głowy zmieniały swój kształt oraz położenie. Wprawdzie zawsze pozostawały na głowie, ale nigdy w takiej pozycji, w jakiej zostały ułożone rano. Tym razem jednak grudzień nie był zbyt pobłażliwy i już na samym początku miesiąca dmuchnął lodowatym powietrzem. W tej sytuacji Zuzanna założyła zieloną czapkę, owinęła się zielonym szalikiem i ze zrezygnowaną miną poszła do pracy. Pocięszał ją fakt, że przynajmniej ma cudownie ozdobione uszy – kolczykami w kształcie lizaków, które kupiła na wiejskim odpuszcie ubiegłego lata. Zuzanna kochała kolczyki, kochała też wisiorki, a im bardziej były pstrokate i uduziwnione, tym lepiej.

Nowa praca nie była pracą marzeń, ale Zuzanna wcale się tym nie martwiła. Często przecież w życiu jakoś tak się układa, że robimy to, co nie do końca jest szczytem naszych pragnień. Najpierw nie podoba nam się przedszkole, później okazuje się, że szkoła, do której nas zapisano, zdecydowanie nie odpowiada naszym upodobaniom, a na końcu – miejsce pracy jest całkowitym zaprzeczeniem młodzieńczych wizji. Bo tylko w bajkach tak naprawdę wybieramy między złotą a srebrzystą suknią, w codziennym życiu zaś nosimy zwykłą, popielatą spódnicę, która drapie nas w łydki.

Wiatr pogwizdywał dość srogo, chmury kłóciły się o lepsze miejsce na niebie, a Zuzanna szła do pracy w zielonej czapce na głowie.

Biuro Przesyłek Niedoręczonych.

To, co innym wydawało się opustoszałym magazynem, było ogromną centralą pocztową, a mówiąc dokładniej – miejscem, gdzie lądowały wszystkie te listy, paczki i przesyłki, które w żaden sposób nie mogły trafić do adresata. Zuzanna już pierwszego dnia odniosła wrażenie, że to miejsce pachnie jak pusta butelka poperfumach. Z jednej strony resztki aromatu jeszcze tańczą w szklanym flakoniku, z drugiej jednak zapach ulatnia się coraz bardziej i bardziej, by wreszcie zniknąć na wieki. Biuro Martwych Listów. Nigdy nieprzeczytanych, pozostających bez odpowiedzi.

Pracownicy zmieniali się dość często, Zuzannie wydawało się, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni ciągle widzi nowe twarze. Wszyscy robili prawie to samo: przerzucali paczki, segregowali je, układali na półkach, oznaczali i wpisywali do katalogów. W zasadzie ona też była nowa. Do Miasteczka przyjechała pod koniec listopada, kiedy tylko dowiedziała się, że jest wolna posada. W Biurze każda para rąk była potrzebna, wskutek czego Zuzannę przyjęto bez większych problemów. Wynajęła niewielkie mieszkanie, spakowała swoje ubrania do jednej dużej walizki i pomachała matce oraz babci na do widzenia.

– Uciekasz? – spytała ją mama, kiedy Zuzanna oznajmiła, że na razie rezygnuje z pracy w gabinecie psychologicznym, gdzie zatrudniono ją w recepcji, i wyjeżdża swoim małym czerwonym autkiem jakieś czterysta kilometrów na wschód Polski.

To była w jej życiu pierwsza tak stanowcza i odważna decyzja. Do tej pory Zuzanna mieszkała z mamą i babcią, grzecznie zaliczała wszystkie szkoły, które stanęły na jej drodze, a nawet

ukończyła trzyletni kurs wokalnie-aktorski, gdzie nauczyła się między innymi emisji głosu z profilaktyką. Na studia zabrakło jej jednak siły i ochoty, na dodatek dość szybko doszła do wniosku, że jest zbyt nieśmiała, by występować publicznie. Kiedy natrafiła na ogłoszenie o pracy w recepcji gabinetu psychologicznego, długo się nie zastanawiała, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nigdy tu nie awansuje. A emisja głosu z profilaktyką z pewnością jej się nie przyda. Polubiła jednak papierkową robotę, umawianie na wizyty, odbieranie telefonów, faksów i e-maili, a nawet codzienne parzenie kawy. Niektórzy ludzie są stworzeni do pracy na samych szczytach, inni mają lęk wysokości i wolą obserwować świat z dołu, ciesząc się, że stoją na pewnym gruncie. Na szczęście nikt nie miał do Zuzanny pretensji, że nie ma duszy przywódcy. Mamę bardziej martwił fakt, że córka nagle zniknie z jej życia, w którym zadomowiła się na dwadzieścia trzy lata i cztery miesiące.

– Nie uciekam, po prostu zmieniam otoczenie. Chcę pomieszkać sama, wyjechać w miejsce, gdzie nikt mnie nie zna, pospacerować innymi ulicami.

– Ale dlaczego?

Zuzanna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, nie umiem jakoś sensownie ci odpowiedzieć. Ale nie zabraniaj mi, proszę.

– Nie mam zamiaru, jesteś dorosła.

Tego nie była aż taka pewna. Dwadzieścia trzy lata to dużo dla kogoś, kto chciałby rozpocząć karierę primabaleriny, ale niekoniecznie dla osoby, która kompletnie nie wiedziała, co chce robić w życiu.

Biuro Przesyłek Niedoręczonych? Czemu nie, przecież zawsze można zrezygnować.

– Na początku wyjaśnię ci, dlaczego te wszystkie listy i paczki lądują właśnie u nas. Podstawowe przyczyny to zazwyczaj zły adres na kopercie oraz brak zgody na przyjęcie pakunku przez odbiorcę – wyjaśniła Zuzannie szefowa Biura, zielonkawo-brązowa pani Aneta.

„Drzewo. Przypomina mi drzewo” – pomyślała Zuzanna na widok swojej przełożonej, ubranej w brązowe kozaki, zlewające się z brązowymi rajstopami, zielony komplet z wełny czesankowej, zieloną apaszkę w brązowe kwadraty oraz wystający spod marynarki czekoladowy golf. Całość wieńczyły kasztanowe loki, drobne, misterne i bardzo nietwarzowe. Pani Aneta była alegorią jesieni, ale w tej gorszej jej odsłonie – ponurej, odpychającej słońce i chętnie zacinającej deszczem. Oczywiście niewiele sobie z tego robiła, skupiając się głównie na delegowaniu zadań swoim podwładnym. Nawet jej głos brzmiał tak, jakby ktoś kruszył suszone liście.

– Zdjęcia wszystkich przesyłek trafiają do sieciowego rejestru. Dzięki temu ciągle istnieje szansa, że ktoś do nas zadzwoni, opíše zgubę, a my znajdziemy dany przedmiot. Kiedy jednak telefon milczy, paczka musi przeleżeć w magazynie trzynaście miesięcy. Po tym czasie pozbywamy się jej. Wyjątkiem są przedmioty potencjalnie wartościowe, takie jak dokumenty, pieniądze czy też biżuteria, które dopiero po dwóch latach trafiają do Skarbu Państwa. Do tego czasu kosztowności wkładamy do tych żółtych, metalowych szaf, które z pewnością widziałaś, wchodząc do magazynu.

„Pocztowe grobowce” – pomyślała Zuzanna. „Prosektoria dla przesyłek, które i tak zostaną zutylizowane”.

– Przepraszam, co pani ma w uszach? – dobiegło ją nagle.

– Kolczyki – odpowiedziała zdziwiona.

– No tak, to wiem – kiwnęła głową pani Aneta. – Chodziło mi o bardziej precyzyjną odpowiedź, ale już sama widzę, że to lizaki. Ciekawe – dodała po chwili, choć wyraz jej twarzy mówił zupełnie co innego.

– A listy? – spytała szybko Zuzanna. Do listów miała jakąś specjalną słabość. Zwłaszcza

w dzisiejszych czasach, kiedy większość ludzi wysyłała sobie wiadomości za pomocą komórek i komputerów. Do dziś pamięta, jak jej mama wzdrygnęła się na wiadomość od koleżanki, która przysłała jej krótkiego SMS-a z dość ponurą i zwięzłą treścią: „Umarł mój mąż, pogrzeb w środę, kwiaty niekonieczne”.

Papierowy przekaz myśli miał w sobie ten sam urok, co tradycyjne aparaty fotograficzne z prawdziwym filmem w środku. Gnało się kiedyś do sklepu fotograficznego i przestępowało z nogi na nogę, by jak najszybciej zobaczyć zdjęcia z obozu, wakacji, balu, zlotu czy nawet zwykłej szkolnej wycieczki. Współczesnym cyfrówkom, a potem telefonom komórkowym zainstalowano milion funkcji, ale odebrano duszę. Teraz zdjęcie można zobaczyć, jeszcze zanim się je zrobi. Do tego przybliżyć, oddalić, zmatowić, nablyszczyc, wypikselować i sfotoszopować.

Podobną nijakość ma w sobie cała ta wirtualna i smartfonowa korespondencja. Elektroniczna wymiana myśli jest szybka i sprawna, ale nikomu nie bije przy tym serce. A to czekanie na listonosza... Spóźnia się? A może już był, tylko nikt go nie zauważył? Albo zachorował? Albo po prostu nie miał po co dziś przychodzić... Najpiękniejszy widok to czysta biel koperty łypiąca przez dziurki metalowej skrzynki pocztowej.

Ktoś dzisiaj pisze jeszcze listy?

– Utylizujemy po trzech miesiącach. – Zuzanna odniosła wrażenie, że pani Aneta powiedziała to z jakąś dziwną satysfakcją.

– Wolno nam je czytać?

– W zasadzie nie. Ale wolno je przepuścić przez specjalny skaner, żeby sprawdzić, czy nie zawierają czegoś podejrzanego. Wiem, że w innych krajach nie ma problemu z otwieraniem cudzych listów, ale ja postanowiłam zachować przynajmniej jakąś namiastkę tajemnicy korespondencji. Dlatego bez wyraźnego powodu nie otwieramy. – Pani Aneta wstała, tym samym kończąc rozmowę i ucinając dalsze pytania.

Zuzanna pomyślała, że jeszcze dzisiaj wyrzuci swoją zieloną czapkę i zielony szalik i kupi sobie coś w kolorze ognistej czerwieni. Żeby jakoś zagłuszyć dominację kobiety-drzewa. Chciała jeszcze spytać o te „wyraźne powody”, ale uznała, że na razie nie ma sensu.

@



Wśród naukowców panuje przekonanie, że nie istnieją dwa identyczne płatki śniegu. Czy to naprawdę jest możliwe? Na powierzchni każdej śnieżynki znajduje się cienka warstwa wody, która w zależności od poziomu wilgotności i temperatury przybiera różne kształty. Im wyższa temperatura, tym płatek bardziej „się rozrasta”. Z kolei niższe temperatury sprawiają, że płatki śniegu są zwarte, przybierają formę graniastosłupów lub cienkich igiełek. Zuzanna przylepiła nos do szyby i z zachwytem patrzyła na wirujące płatki, które zmierzały w kierunku ziemi bez żadnego schematu. Jeden opadał wolno i majestatycznie, drugi wahał się między tańcem w świetle latarni a podziwianiem własnego odbicia w witrynie sklepowej, a jeszcze inny pikował niczym jastrzęb. Całość tworzyła dość chaotyczny, a jednak niezwykle bajkowy taniec, od którego trudno było się oderwać. Zanim płatek śniegu spadnie na ziemię, musi pokonać odległość od pięciuset do pięciu tysięcy metrów, poddając się działającym na niego siłom ciężenia, oporu oraz wyporu powietrza. Nic dziwnego zatem, że styl, w jakim upadają na ziemię, jest tak różnorodny. Podobno istnieje klasyfikacja śnieżnych kryształów, ciekawe, czy ktoś pokusił się również o skatalogowanie rodzajów

śnieżynkowego tańca.

Zuzanna oparła czoło o szybę i przymknęła oczy. Chłód przyjemnie rozlał się po jej ciele i pewnie postąpiłaby tak jeszcze chwilę, nie myśląc zupełnie o niczym, gdyby nie dziwny odgłos dobiegający z kuchni.

– Karolino, już idę – Zuzanna uśmiechnęła się pod nosem – że też ty zawsze musisz mi przerwać mój prywatny moment lenistwa.

Karolina fuknęła. Była w końcu zwierzęciem niezwykłym i bardzo chciała być tak traktowana. Co prawda nie zachowywała się jak rozkapryszony kot czy też wiecznie spragniony uwagi pies, była jednak dość wymagająca, jeśli chodziło o kontakty interpersonalne. Być może również dlatego, że Zuzanny pół dnia nie było w domu, co Karolina znosiła dobrze, choć z nutą tęsknoty. Popołudnia i wieczory miały jej to zrekompensować. W zależności od emocjonalnego nastroju wydawała z siebie różne dźwięki. Gdy była podenerwowana, brzmiała jak maleńki silniczek elektryczny, kiedy pragnęła większej uwagi, szczekała jak pies. Czasem też kichała, ćwierkała lub popiskiwała z cicha. Zuzanna doskonale orientowała się w tych dźwiękach, wiedziała też, kiedy Karolina odrobinę nadużywa pisków, byle tylko zwrócić na siebie uwagę. Ale i tak stanowiły tandem doskonały.

Dwudziestotrzyletnia Zuzanna oraz półtoraroczna lotopałanka karłowata. Cudowny, maleńki torbaczk, latający między meblami z takim wyrafinowaniem, że każdy szanujący się motyl mógłby jej tego wdzięku pozazdrościć.

– Idę. Masz ochotę na jabłko czy raczej suszonego świerszcza?



Pokoik w Biurze Przesyłek Niedoreczonych Zuzanna w zasadzie przydzieliła sobie sama. Był mały i prawie pusty. Stało w nim tylko stare drewniane biurko, po którego prawej stronie znajdowały się zielone drzwi do kolejnego pomieszczenia oraz duża metalowa szafa. Nie był to z pewnością idealny pokój do pracy, ale przynajmniej własny. Takich pomieszczeń znajdowało się w Biurze sporo, niektóre były po prostu rupieciarniami, inne stały puste, a w jeszcze innych pracownicy spotykali się na śniadania i lunch.

– Czy mogłabym tu wstawić laptopa i telefon? – spytała nieśmiało panią Anetę, która tylko wzruszyła ramionami.

Zuzanna uznała, że było to wzruszenie na tak, więc przeniosła szybko swoje rzeczy, odkurzyła wszystkie miejsca, które pokrywał siwy osad, i kiedy tylko kończyła segregację paczek, rozdzielając je na półkach ogromnych magazynów, zaszywała się w swoim pokoiku, do którego przynosiła worki z listami.

I ona pytała, kto dzisiaj jeszcze pisze listy? Kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset tysięcy osób każdego roku! To naprawdę robiło wrażenie. Tysiące białych i kolorowych kopert, pocztówki i kartki zapisane najróżniejszymi charakterami pisma. Początkowo nie wiedziała, jaki znaleźć do nich klucz, z czasem wymyśliła sobie własne kategorie. Urzędowe. Prywatne. Od dzieci. Do Mikołaja. Niebo. Miłosne. Niezidentyfikowane. Tych ostatnich było oczywiście najwięcej. Białe zwykle koperty, z adresem wypisanym niebieskim długopisem. Nic nie zdradzało, co zawierają wewnątrz. Nie pachniały niczym specjalnym, nie przywoływały na myśl żadnych skojarzeń. Skrzynie z tymi listami były najbardziej ponure. Bezosobowe i beznamienne.

– Najbardziej niezłomne są dzieci, które od niepamiętnych czasów wraz z początkiem grudnia

wysyłają listy do Świętego Mikołaja. – Zuzanna zerwała się z przerażeniem z krzesła i ze strachu zapomniała krzyknąć.

Zupełnie nie zauważyła, kiedy drzwi po prawej stronie jej biurka nagle uchylily się i pojawiła się w nich niewysoka starsza kobieta, owinięta bladoniebieskim szalem, który każdy po kilku minutach patrzenia miał ochotę pogłaskać. Nic dziwnego – był puszysty, mięciutki i przypominał watę cukrową.

– Przepraszam. – Starsza kobieta o ciepłych błękitnych oczach, z maleńkim, siwym kokiem ujętym w delikatną siateczkę uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Na palcu miała pierścionek z kamieniem, w którym ktoś zatopił małe, białe piórko. – Nie chciałam cię przestraszyć, ale najwyraźniej mi się to udało – zachichotała nagle.

Zuzanna próbowała opanować dudnienie serca oraz ogólne drżenie ciała, a nawet postarała się o bladawy uśmiech.

– Nnnie szkodzi. Po prostu nie spodziewałam się, że za tymi drzwiami też ktoś pracuje – wyszeptała w końcu.

– Mam na imię Milena, ale mów mi Mila. Głównie segreguję listy. A właściwie to na niektóre odpisuję.

Zuzanna spojrzała na nią zaskoczona.

– Jak to odpisuje pani?

Mila przysiadła na biurku i przyłapała Zuzannę na zachłannym spojrzeniu skierowanym centralnie w jej niebieski szal.

– Pogłaszcz go, w przeciwnym razie będziesz cały czas o tym myślała – poradziła życzliwie. – i mów mi po imieniu.

Zuzanna zaczerwieniła się, a potem wyciągnęła rękę i z przyjemnością dotknęła błękitnej waty.

– Jest cudowny – przyznała z uśmiechem. – i rzeczywiście miałam wielką ochotę go dotknąć.

Mila puściła do niej oko, a Zuzanna cofnęła się do wcześniejszego pytania.

– Nie wolno przecież otwierać listów.

– To w zasadzie nie jest dokładnie sprecyzowane. W końcu przechodzą one przez skaner, więc niejako są już naruszone. Poza tym ja otwieram tylko te, które i tak mają zostać spalone. I zanim przemienią się w popiół, rzucam okiem na ich treść. Są listy, których nie można zostawić bez odpowiedzi.

– Ale przecież osoba, która je napisała, zorientuje się, że coś tu nie gra. Że to nie adresat odpisał.

Mila pokręciła głową.

– Niekoniecznie. Mówiłam ci już o listach od dzieci. Niestety smutna prawda jest taka, że większość z nich ląduje właśnie u nas. Grudzień i początek stycznia to dla Biura najbardziej gorący okres, mimo mrozów za oknem. Spływają tutaj prezenty z całej Polski, a dodatkowo mnóstwo listów od najmłodszych nadawców. Z formalnego punktu widzenia jest to korespondencja na adres, którego nie sposób ustalić. Czyli adres, którego nie ma. Sprawa jest z góry przegrana, zwłaszcza że na listach pisanych przez dzieci najczęściej brakuje znaczków. Są za to choinki, renifery, skrzaty i kolorowe bombki. I całe mnóstwo marzeń ukrytych na kilku stronach papeterii.

– Spełniasz je?

– Korzystam z przywileju pracownika Biura Przesyłek Nedoręczonych.

– Jakiego przywileju?

– Wolno mi otwierać paczki. Wolno mi też przechować je znacznie dłużej niż trzynastie miesięcy, pod warunkiem, że trzymam ich zawartość w swoim pokoju. – Wskazała ręką zielone drzwi.

Zuzanna powoli zaczynała rozumieć.

– I czasem zawartość tych paczek wysyłasz dzieciom, które napisały do Świętego Mikołaja – powiedziała zachwycona. – a szefowa wie?

Mila zaprzeczyła.

– Nie wie, a ja chyba nie będę jej o to pytać. Pewnie nie ma na to określonej procedury, a Aneta jest bardzo zasadnicza. Gdybym sama uznała, że jest to nieetyczne, chyba nie zawracałabym sobie tym głowy. Ale etyka to ogół zasad i norm postępowania przyjętych w danej epoce i w danym środowisku. A ponieważ ja nie wiem, czy w naszym środowisku takie postępowanie jest przyjęte, nie wiem również, czy jest nieetyczne, prawda?

Zuzanna roześmiała się. To było bardzo sprytne usprawiedliwienie siebie samej, ale zrobione z dużym wdziękiem, a co najważniejsze, na końcu słowa „etyka” stało przecież szczęśliwe dziecko, nawet jeśli obdarowane prezentem należącym do kogoś innego.

– „Etycznie” oznacza też zgodnie z własnym sumieniem – powiedziała, patrząc na Milę, która aż pojaśniała na twarzy.

– O, widzisz! A to jest tak zgodne z moim sumieniem, jak dopasowanie koloru włosów do ogólnej farby emocjonalnej pani Anety.

Rozdział 2

TEKLA

– To był udar krwotoczny, powstający wskutek przerwania ściany naczynia i wylewu krwi do tkanki mózgowej. Odzyskała pani mowę, zdolność połykania, wróciła też pamięć. Wykluczaliśmy cukrzycę i hiperlipidemię. Musimy jeszcze tylko powalczyć z nadciśnieniem. Żyje pani. Proszę o tym pamiętać.

Tekla wpatrywała się w usta lekarza, jakby chciała wymusić na nim kolejne oświadczenia, tym razem mniej optymistyczne. Speszony zaczął się plątać i powtarzać, jakie to miała szczęście. Okulary mu zaparowały, a na czoło wpełzły migocące kropelki potu, tworząc ciekawą konstelację przypominającą siedzącego kota. W końcu nie wytrzymał i wypluł z siebie maleńką strzałę. W starożytności zatruwano takie rozkładającymi się szczątkami zwierząt, lekarzowi wystarczyło jedno zdanie.

– Jest pani sparalizowana od pasa w dół. Wierzę, że to przejściowe, zwłaszcza że prawa strona wykazuje minimalne, ale jednak zdolności ruchowe. Lewa na razie nie. Ale proszę pamiętać, że dobra rehabili...

Zamknęła oczy i więcej go nie słuchała.



W listopadzie 1822 roku Adam Mickiewicz napisał list do Franciszka Malewskiego:

Byrona tylko czytam, książkę gdzie w innym duchu pisaną rzucam, bo kłamstw nie lubię; gdzie jest opis szczęścia życia familijnego, również mnie oburza jak widok małżeństw, dzieci; jest to jedyna moja antypatia¹.

¹ Wszystkie wspomnienia dotyczące Adama Mickiewicza pochodzą z książki Jeana-Charlesa Gille-Maisaniego *Adam Mickiewicz człowiek: studium psychologiczne*, tłum. Agnieszka Kuryś, Katarzyna Rytel, PIW, Warszawa 1987.

Tekla była w zasadzie podobnego zdania. Małżeństwo to zupełnie niepotrzebna strata czasu. Jest jak wślizgiwanie się pod zimną, wilgotną kołdrę. Z jednej strony cieszysz się, że po całym dniu wskoczysz do łóżka i odpoczniesz, z drugiej – potrzebujesz czasu, by tę nieprzyjemną, przenikliwą wilgoć rozgrzać własnym ciałem i dopiero wtedy jakoś tam zasnąć. Czy w tej sytuacji nie lepiej być samemu i zawsze mieć ciepłą kołdrę?

Tekla nie należała do kobiet porzuconych. Nie była też klasyczną ofiarą nieudanego dzieciństwa, z niekochającymi się rodzicami, nutką patologii i alkoholowym oddechem. Po prostu nie podobał jej się odgórny nakaz łączenia się w pary, szukania kompromisów, docierania się dwóch ssaków, wicia wspólnego gniazdka, by wreszcie wydać na świat potomstwo i jemu całkowicie się oddać. No dobrze, miała jeszcze jeden powód, choć z każdym rokiem wydawał się jej on coraz bardziej

żałosny...

Mickiewiczowi zarzucano osobowość paranoidalną, doszukiwano się w nim ciężkiej nerwicy i lekkiej schizofrenii. Tekla dla swojej rodziny była podobnym odszczepieńcem.

– Umrzesz na samotność – ostrzegła ją matka już lata temu, kiedy Tekla przekroczyła trzydziestkę.

– Co za różnica, z jakiego powodu umrę – niewydolności krążenia, złamanego serca czy też depresji związanej z nieudanym związkiem?

– Dlaczego zakładasz, że będzie nieudany?

Tekla wzruszyła ramionami.

– Dwoje różnych ludzi nie ma prawa się dogadać. Prędzej czy później wypełzną z nich własne egoizmy, które będą starały się zagłuszyć egoizm partnera. Jedno będzie chciało mięsa, drugie kwiatów. Jedno tragedii, drugie rozrywki. Jedno nad morze, drugie w góry.

Matka kręciła z niedowierzaniem głową. Dla niej to był stek bzdur, wydumana filozofia paranoidalnego introwertyka, jakim koniec końców okazał się Mickiewicz, a nie poglądy współczesnej, młodej i ładnej kobiety.

– Człowiekowi do życia potrzebny jest drugi człowiek.

– I kto to mówi? Po śmierci ojca jakoś nie próbowałaś z nikim się związać.

– Bo ojciec był miłością mojego życia. Nie potrzebuję innej, poza tym mam mnóstwo znajomych.

– A ja mam wokół siebie setki nastoletnich ciał z ich nieokrzesanymi mózgami, z którymi spotykam się każdego dnia i które wypełniają mój czas po brzegi. Po pracy marzy mi się samotność. Cisza. Odreagowanie głupoty i niedojrzałości. A nie kolejna walka o swoje.

– To nie jest podejście pedagoga. Ani tym bardziej zdrowej kobiety.

– To jest moje podejście.

– Nawet zwierzęta łączą się w pary.

Tekla machnęła ręką w powietrzu, jakby chciała rozpędzić ten nużący dialog niczym nikotynową chmurę.

– Wśród naczelnych stałe pary tworzą wyłącznie małpki titi, gibbony i niejakie marmozety. Reszta ma to gdzieś. Kopulują, bo tak im każe instynkt, ale to nie znaczy, że wiążą się ze sobą do końca życia. Samice radzą sobie na ogół w pojedynkę.

Na marmozetach zazwyczaj matka kończyła swoje argumentacje. Jej córka najwyraźniej nigdy nie założy rodziny. Szkoda. Chciałaby zatańczyć na jej weselu i mieć wnuki. Chciałaby być babcią i mieć ładny album ze zdjęciami. Ale Tekla była Upiorem.

@

Od dziecka chciała zostać nauczycielką. Obserwować, jak pod jej skrzydłami wzrastają kolejne pokolenia, które uczyłaby czytać, pisać i myśleć. Kiedy jednak po parunastu latach pracy w szkole podstawowej dostała pracę w liceum, zapał wygasł w niej z każdym kolejnym rokiem. Być może dlatego, że większość uczniów umiała wprawdzie czytać i pisać, ale zdecydowanie nie lubiła myśleć. W tej sytuacji Tekla zamknęła się w sobie i w suchy, rzeczowy oraz dość monotony sposób próbowała wbić im do głów najważniejsze zagadnienia z poszczególnych epok.

Najbardziej nie lubiła początku roku i nowej klasy.

– Mam na imię Tekla, wiem, wszyscy oglądaliście Pszczółkę Maję, dlatego wszelkie komentarze

dotyczące pajęczyc, sieci i innych podobnych skojarzeń w żaden sposób na mnie nie działają. I nie, nie gram na skrzypcach. Będę waszą nauczycielką języka polskiego i mam nadzieję, że przez kolejne cztery lata jakoś się dogadamy i dotrzymy wspólnie do waszej matury.

I tyle.

Podobno każde ziarenko robi wszystko, żeby wykiełkować. Nieważne, czy ma idealne podłoże, czy tylko suchą ziemię – i tak będzie walczyć do upadłego, ponieważ wykształciło w sobie cały szereg cech przystosowawczych, dopasowanych do zmieniających się warunków środowiska. Adaptacja to podstawa przetrwania.

Ziarenko Tekli początkowo wysiało się smutkiem, z czasem zaś coraz większym rozgoryczeniem. A jednak ciągle tliła się w nim nadzieja, zamknięta w seledynowej kopercie wysyłanej z uporem maniaka co roku w połowie grudnia.

– Po co ja to robię? Pewnie mnie nie pamięta, a nawet jeśli, to jego życie najwyraźniej nie miało spleść się z moim. Mam absolutną rację, odgórny nakaz łączenia się w pary jest zwyczajnym idiotyzmem.

A potem szła na pocztę i wysyłała list, za każdym razem zamykając oczy i zaciskając kciuki, gdy cicho upadał na dno skrzynki.



Początki były typowe. Wściekłość i negacja wszystkiego. Tekla rozbiła kilkanaście talerzy oraz szklanki i kubki w ilości zaskakującej ją samą. Krzyczała do ścian, zgolila włosy niemal do zera, starła twarz pumeksem i zjadła własne paznokcie. Potem przyszło wyciszenie. Patrzenie przez okno całymi godzinami, czytanie jednego zdania po kilkadziesiąt razy, słuchanie tykającego budzika. Na samobójstwo była zbyt silna, choć miewała momenty „czarnej dziury”, w którą wpadała i całymi dniami nie umiała znaleźć wyjścia. Samotność była łatwa do zaakceptowania, nieszczęśliwa miłość również, ale kalectwo? Niemożność swobodnego wysikania się, umycia własnego tyłka? Dobrze, że jej mama tego nie doczekała, bo zaraz po wylaniu wiadra kisielowatego współczucia, powiedziałyby:

– Gdybyś miała męża i dzieci, byłoby ci łatwiej.

Być może.

Ale trudno wychodzić za męża na wszelki wypadek. Bo zachorujemy, dopadnie nas udar krwotoczny, przejedzie tramwaj i urwie nam nogę. Bo nie będziemy sobie radzić z papierem toaletowym.

Mniej więcej po pół roku Tekla wpadła w stan milczącej akceptacji. Po serii zabiegów z rehabilitantem mogła wprawdzie poruszać prawą nogą, ale jej zdaniem poprawa była minimalna. Zrezygnowała więc z dalszych ćwiczeń. Doprowadziła za to do remontu mieszkania i wykupienia trzech kanałów filmowych. Wraz z tabletkami na nadciśnienie zaczęła połykać filmy oraz książki i tym samym zakładać buty głównych bohaterów. Przynajmniej w ten sposób znowu mogła chodzić.

Rozdział 3

DWIE KOPERTY

Zielona czapka została podarowana Karolinie, która wydawała się zachwycona tym niespodziewanym prezentem. Natychmiast też umościła się w niej wygodnie, miauknęła pieszczotliwie i posłała Zuzannie dziękczynne spojrzenie.

– Muszę lecieć. – Zuzanna pomachała jej ręką, wskazała leżące na stole owoce i obiecała, że natychmiast po pracy wraca do domu.

Karolina była dziś pobłażliwa, w końcu niecodziennie dostaje się piękną, zieloną czapkę, w której można zwinąć się w kulkę i pospać kilka godzin. Poza tym Zuzanna miała nowe nakrycie głowy. Wściekle czerwone, z wielkim pomponem. Idealnie pasowało do dużych, wiszących kolczyków w kształcie truskawek. Pompon był absolutnie zjawiskowy, szkoda, że zielona czapka go nie miała, ale Karolina nie była małostkowa. Poza tym na stole leżały dojrzałe banany, których była absolutną fanką. Idź już, Zuzanno.

W pokoju za zielonymi drzwiami było cicho, ale Zuzanna wiedziała, że Mila z pewnością jest już w pracy. Przychodziła pierwsza i wychodziła ostatnia. Grudzień był jej ulubionym miesiącem, bo właśnie wtedy dostarczano najwięcej listów, które koniecznie należało przeczytać.

– Mam herbatę z suszonych liści winogron. – Zuzanna wsunęła głowę do pokoju, wpuszczając jednocześnie słodki aromat.

Mila zmrużyła oczy i pociągnęła nosem.

– Pachnie cudownie. Dla mnie? – ucieszyła się, kiedy Zuzanna podała jej kubek.

Niebieski szal zastąpiła dzisiaj szmaragdowa chusta, mieniąca się srebrzystymi opiłkami.

– Kiedy ją noszę, mam wrażenie, jakbym pływała w morzu. – Mila upiła łyk herbaty i dotknęła chusty. – Dostałam ją od mamy na siódme urodziny i wyobraź sobie, że do dzisiaj nie straciła koloru. Nadal jest tak samo intensywnie turkusowa, jak te kilkadziesiąt lat temu.

Zuzanna pomyślała, że zielona czapka, którą podarowała Karolinie, z pewnością tyle nie przetrwa. Daje jej maksymalnie dwa tygodnie, po tym czasie zostanie poszarpana pazurkami i pewnie do połowy zjedzona.

– Pięknie tu u ciebie – powiedziała, rozglądając się z zachwytem po kantorku. Pomieszczenie było małe, ale niezwykle przytulne. Na małym stoliku stał imbryk z herbatą oraz różowy kubek z napisem *You are so lovely*. Na biurku leżały jakieś książki, miska z suszonymi owocami, rysunki dzieci, zestaw kolorowych długopisów i kilka piórek w różnych odcieniach. Na ścianach wisiały obrazki przedstawiające Mikołaja w jego najróżniejszych odsłonach – jowialny pan z brodą otoczony reniferami, czarno-biały rysunek szczupłego mężczyzny wrzucającego przez komin prezenty czy też roześmiany starszy gość unoszący się w powietrzu na ogonie komety.

Najbardziej zachwycające były jednak parapety, na których stały doniczki z prawdziwymi ziołami.

– Hodujesz je?

Mila kiwnęła głową.

– Uwielbiam ich zapach i cudowną moc. Poza tym są niezwykle łatwe w hodowli. Taka pietruszka

na przykład. Jedna z najbardziej popularnych roślin, lubi miejsca zarówno słoneczne, jak i lekko zacienione. Uwielbiam ją, bo wywar z niej rozjaśnia piegi. O, albo rozmaryn. Odświeża powietrze, a dodany do kąpieli pobudza krążenie krwi. Naparem z liści można płukać ciemne włosy, choć w moim przypadku to raczej nieistotne. Jestem siwa jak gołąbek – zachichotała. – a palone gałązki rozmarynu odstraszały owady. Dam ci trochę, wypróbujesz latem.

– A to? – Zuzanna wskazała palcem na roślinę o długich, wąskich, prawie kreskowatych liściach.

– Estragon. Korzeń łagodzi ból zębów, a picie herbatki z zaparzonych liści poprawia apetyt i trawienie. W dawnych czasach wykorzystywano ją do walki ze smokami i węzami. – Mila puściła do niej oko.

Zuzanna była zachwycona.

– Przyniosłam ci trochę listów od dzieci, na wszystkich jest napisane Święty Mikołaj, więc pomyślałam, że będzie lepiej, kiedy trafią w twoje ręce. Resztę już posegregowałam. I zobacz – wyciągnęła z kieszeni spódnicy dwie podłużne koperty, jedną w odcieniu seledynowym, a drugą błękitną – piękna papeteria, prawda?

– Który dzisiaj? – zainteresowała się Mila.

– Siedemnasty grudnia – zdziwiła się Zuzanna.

Mila tylko kiwnęła głową.

– To był już najwyższy czas. Czekałam na nie.

Zuzanna raz jeszcze popatrzyła na dwie koperty, a potem spojrzała pytająco na Milę.

– Błękitna i seledynowa koperta przychodzi do nas regularnie od trzydziestu siedmiu, no teraz już trzydziestu ośmiu lat. Tylko raz w roku, w połowie grudnia.

– Czytałaś je?

Mila zaprzeczyła.

– Nie, ale mam wszystkie.

– Przecież listy utylizujemy!

– Ale nie sądzisz chyba, że ktoś sprawdza, czy wszystkie z nich zostały zniszczone! To zaledwie siedemdziesiąt kilka cienkich kopert, które trzymam w swoim prywatnym pokoiku, w specjalnym kartonie. Nikomu nie przeszkadzają.

Zuzanna spojrzała na Milę z zaciekawieniem.

– Dlaczego je trzymasz?

Mila wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba też spodobała mi się papeteria. Poza tym te listy mają w sobie jakiś smutek, który wyczuwam, mimo że nie znam treści. Nie potrafiłabym tak po prostu ich wyrzucić. Gdzieś w głębi serca ciągle mam nadzieję, że trafią do adresata.

– Nie ma adresu nadawcy, ani na jednym, ani na drugim. Tylko imiona, niekompletne adresy i niewyraźny stempel urzędu pocztowego – zauważyła Zuzanna.

– Dlatego też nie możemy ich odesłać.

– I na każdym dodatkowo informacja „adresat nieznan”.

Mila pokiwała głową.

– Te listy spotykają się u nas każdego roku. Ich właściciele najwyraźniej nie mają takiego szczęścia.

– Tekla i Gaspar. Strasznie dziwne imiona – zaśmiała się Zuzanna. – Ale papeteria rzeczywiście urocza.

Na seledynowej kopercie odcisnięty był liść paproci, na błękitnej – miniaturowe gwiazdki. Papier wyglądał na stary, koperty miały delikatnie zażółcone rogi, zupełnie jakby ktoś lata temu wyciągnął

je z szafy i używał aż do wyczerpania zapasów. Zuzanna powąchała listy.

– Jak ci powiem, że pachną nadzieją, to pewnie uznasz mnie za starą wariatkę – roześmiała się Miła. – Ale wierz mi, są listy, które nawet po kilkudziesięciu latach w końcu zostają przeczytane. Co prawda nie zawsze przez adresata, ale jednak wyływają na światło dzienne.

Zuzanna spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Naprawdę. Jakiś czas temu brytyjska prasa pisała o ostatnim pożegnaniu szeregowego Josepha Ditchburna, który w sierpniu 1914 roku napisał list do swojej matki. List nigdy nie dotarł i dopiero niedawno został upubliczniony. Korespondencja, mająca przygotować rodzinę na najgorsze, została zatrzymana ze względu na informacje o ruchach wojsk, które nieroztropny żołnierz zdradzał w liście.

– Ale do matki list nie dotarł?

Miła poprawiła szmaragdowy szal.

– Może to i lepiej? Sama nie wiem. Ale wierzę, że każdy list, który nie zostanie spalony, prędzej czy później będzie odczytany. Tak było z pocztówką, która została nadana Dwudziestego siódmego stycznia 1877 roku w miejscowości Sains-du-Nord we Francji. Miała dotrzeć do Trélon oddalonego zaledwie o dziesięć kilometrów.

– I co? – spytała z zaciekawieniem Zuzanna.

– I dotarła, ale dopiero po stu trzydziestu ośmiu latach. Oczywiście adresat nie zdołał jej już odebrać, bo nie żył od stu osiemnastu lat. Przesyłkę od listonosza przyjęła za to jego prawnuczka, osiemdziesięcioletnia Thérèse Pailla.

– Niewiarygodne.

– Ale są też historie z większym listowym *happy endem*. Dwudziestego lutego 1958 roku w Pensylwanii młoda dziewczyna napisała list do swojego narzeczonego. Pech chciał, że list gdzieś się zagubił i adresat otrzymał go dopiero po pięćdziesięciu trzech latach. Był już jednak wtedy po rozwodzie, więc odpisał tej dziewczynie i miesiąc później wzięli ślub.

– Ona też była po rozwodzie?

– Była wdową.

Do pokoju ktoś zapukał.

Zuzanna zamknęła zielone drzwi i poszła otworzyć. Lepiej, żeby nikt nie widział, że zamiast pracować, ucina sobie pogaduszki z Miłą. W końcu to najbardziej gorący miesiąc w roku.

Aneta stanęła w progu i dokładnie zlustrowała pokój. Jej wzrok zatrzymał się na zdjęciu Karoliny, które Zuzanna ustawiła sobie na biurku.

– Co to?

– Lotopałanka karłowata.

Wzrok Anety sugerował, że uważa swoją rozmówczynię za osobę uszkodzoną psychicznie.

– Słucham?

– To takie zwierzątko z rodziny torbaczy, trochę podobne do wiewiórki. Potrafi latać.

– Rozumiem. – Aneta nie rozumiała, ale uznała, że dalsza rozmowa na temat lotopałanki jest zbyteczna. W końcu nie po to tu przyszła.

– Dostarczono mnóstwo nowych paczek. Jesteś potrzebna na magazynie, listami zajmiesz się później – oznajmiła suchym tonem i raz jeszcze spojrzała z odrazą na zdjęcie. Latająca wiewiórka. Absolutny kretynizm.

Zuzanna ściągnęła sweter (podczas sortowania można się było nieźle spocić), bezskutecznie próbowała ułożyć sterczącą na wszystkie strony grzywkę i podreptała za piaskowo-orzechową Anetą, ubraną dzisiaj w wąską sukienkę, która tylko podkreślała jej szerokie biodra oraz całkowity

brak biustu. Aneta przypominała dzwon i naprawdę trudno było dostrzec w jej sylwetce cokolwiek atrakcyjnego.

Magazyn rzeczywiście był przepelniony. Chodziło się po nim wąskimi ścieżkami, bo wszędzie ułożone były paczki i worki z listami. Wszystkie opieczutowane i ponumerowane. Teraz dodatkowo trzeba było przeskakować, a nawet wykonać coś w rodzaju szpagatu, żeby przedostać się do kolejnej alejki. Na przeszło tysiącu metrów kwadratowych zalegały tu prawdziwe cuda, a całość przypominała dawne sklepy z tysiącem i jeden drobiazgów. Zuzanna wypatrzyła sutanny, zamknięcia do trumien i części samochodowe, z których dałoby się złożyć niejedno auto. Były zabawki, a wśród nich nawet lalka na szubienicy i miś z nożem wbitym w oko, a także ludzkie palce w formalinie, na szczęście po szczegółowym badaniu okazało się, że wykonano je z gipsu. Były fekalia wysłane zapewne w celu zemsty, brudna bielizna, stare urządzenia AGD, nikomu niepotrzebne, bo najzwyczajniej w świecie zepsute, buty bez podeszwy, a nawet kurczak z różną. Pomysłowość ludzka nie miała granic.

Zuzanna otworzyła niewielkie pudełko i wyjęła z niego kartonik z zapakowanym plastikowym bobrem. Wyglądał dość paskudnie i z pewnością nie był zabawką dla dzieci. Żadne dziecko nie chciałoby się tym bawić, nawet przez chwilę.

– Co to? – spytała koleżankę, rozpakowującą właśnie karton z karmą dla psów.

– Jak się po to nikt nie zgłosi, zawieziemy do schroniska – ucieszyła się dziewczyna i spojrzała na plastikowego bobra. – Nie wiem. Wygląda jak bóbr, ale dziwnie wąski. Nie ma ogona i zupełnie nie rozumiem, czemu nosi białe gacie. Od spodu jest jakiś przycisk.

Zuzanna wcisnęła guzik, a wtedy bóbr zaczął charakterystycznie wibrować.

Obie spojrzały na siebie zdumione, po czym Zuzanna natychmiast wyłączyła zwierzę i schowała je z powrotem do kartonu. Po jaką cholere kobietą miałyby wkładać tam sobie bobra?



Miasteczko, w którym znajdowało się Biuro Przesyłek Niedoręczonych, wydawało się nieustająco drzemać. Ilekroć Zuzanna wychodziła ze swojego małego mieszkania, odnosiła dziwne wrażenie, że jest jedną z pierwszych osób, które pojawiają się na ulicy. Kawiarnie dopiero otwierały oczy, piekarnie ziewały zapachem świeżego pieczywa, a pozostałe sklepy spały tak twardo, że nie był ich w stanie zbudzić nawet ryk syreny strażackiej. Ludzie nigdzie się nie spieszyli, nie biegli w pogoni za nie wiadomo czym, nie ścigali własnych pleców. Zuzanna była zdumiona, że nie ślizgają się po jej twarzy wzrokiem, tylko zatrzymują na moment i kłaniając się, mówią „dzień dobry”. No, może nie wszyscy, ale właściciel kawiarni o wyrafinowanej nazwie „Kawiarnia” – zawsze. W końcu postanowiła regularnie zaglądać do niego jeszcze przed pracą i zrezygnować z domowych śniadań. Obliczyła, że koszt kupionej kawy i ciepłego rogalika nie jest aż tak zatrważający i stać ją na ten przyjemny rytuał. Karolina na szczęście nie zauważyła, że jej pani wychodzi ostatnio dziesięć minut wcześniej.

„Kawiarnia” nie była urokliwa i nie przypominała wystrojem pięknych wnętrz z katalogów „Country & Home”, a jednak miała w sobie ten rodzaj przyciągania, który po prostu zmuszał do wybrania jednego ze stolików przykrytych białą ceratą zamówienia kubka kawy. Zuzanna usiadła przy oknie i zapatrzyła się na ośnieżone ulice. Podobały jej się ten spokój i cisza, których nie potrafiła znaleźć w swoim rodzinnym mieście. Choć tak naprawdę to nie hałas wygnał ją z miasta,

tylko właśnie pewien list, którego nigdy nie odważyła się wysłać.

– Kawa i rogalik? – Właścicielem „Kawiarni” był starszy mężczyzna z siwym warkoczykiem i pasującym do koloru włosów, popielatym spojrzeniem. Szczupły, niewysoki, w szerokich spodniach od dresu i kraciastej koszuli. Nikt nie zwróciłby na niego większej uwagi w dużym mieście, tutaj jego *casual look* wykończony gumowymi butami z futerkiem był nawet dość uroczy.

Zuzanna skinęła głową.

Kawa była świetna, rogalik doskonały. I tego smaku nie popsuły ani biała cerata na stole, ani zwykle krzesło z odrapanym oparciem, ani nawet brak lampy, który obnażał nagość dyndającej na czarnym sznurze żarówki.

– Mieszkasz tu od niedawna. – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Przytaknęła.

– Pracujesz przy listach?

– Skąd pan wie?

Wzruszył ramionami.

– Tu nie ma zbyt wielu miejsc pracy, a w Biurze zawsze szukają kogoś nowego. Udało ci się już odnaleźć odbiorcę jakiejś paczki?

Zuzanna uśmiechnęła się odrobinę przepraszająco.

– Jestem tu dopiero od trzech tygodni, więc jeszcze nie miałam okazji. A każdemu się udaje?

Właściciel podrapał się po głowie.

– Różnie jest. Niektórzy urządzają sobie nawet zawody w dostarczeniu jak największej liczby przesyłek, których adresat jest w zasadzie niemożliwy do ustalenia. Innym jest wszystko jedno.

Zuzanna przełknęła ostatni kęs rogalika i zastanowiła się, czy jej też jest wszystko jedno. To w końcu tylko praca, którą pewnie za jakiś czas znowu zmieni. Poza tym, czy to naprawdę aż tak istotne, jeśli ktoś raz nie otrzyma listu? Wiedziała, że tak. Że to czasem wszystko zmienia. Nie chciała jednak o tym myśleć.

– Ja na razie jakoś nie miałam szczęścia. Wczoraj na przykład przyszła do nas sutanna. Na paczce ktoś napisał: „Dla Wojtusia, świeżo wyprane. Góra”.

Właściciel uniósł brwi ze zdumienia.

– Góra? W sensie, że sam Szef mu wyprał?

– Nie, to chyba nazwa miejscowości. Znalazłam Górę na Dolnym Śląsku, ale w urzędzie miejskim nie znali księdza Wojtusia. A jeśli to Jelenia Góra? Albo Zielona? Czasem naprawdę nie wiem, w jaki sposób trafić na choćby najmniejszy ślad. A podobno każda przesyłka ma szansę trafić w ręce adresata.

– Bo to prawda. Ostatnio jakiś Holender otrzymał list pożegnalny napisany do niego w czasach drugiej wojny światowej. Od ojca, którego właśnie wysyłano do obozu koncentracyjnego w Niemczech. List napisał w 1943 roku w formie pożegnania ze swoim dziesięcioletnim synem. Ale wiadomość nie została dostarczona. List schowano do portfela, gdzie został znaleziony, gdy do obozu wkroczyli Anglicy i odesłali go do jakiegoś archiwum. Kilka lat temu naukowcy otrzymali dostęp do wszystkich pamiątek z tamtego okresu. Ktoś trafił na ten niedostarczony list i wysłał go do adresata. To dopiero niespodzianka, co?

Zuzanna zamyśliła się.

– Miła też mi opowiadała o takich historiach. Ale to wszystko są przykłady z zagranicy. A w Polsce, czy pan...

– Maciej i możesz mi śmiało mówić po imieniu – wpadł jej w słowo.

Zuzanna zaczerwieniła się. Po imieniu do dużo starszego mężczyzny? Z Miłą to jednak zupełnie

co innego...

– Czy słyszałeś o takiej historii w Polsce? – zaryzykowała jednak.

Zastanowił się przez chwilę.

– Paczki często znajdują swoich prawdziwych odbiorców, ale nie wiem, jak to jest z listami. Pewnie się nimi nikt tak bardzo nie przejmuje. W końcu to tylko kilka słów napisanych na papierze.

Tylko kilka słów. W zasadzie ma rację.

Z drugiej jednak strony, czasem nawet jedno słowo może odmienić czyjeś życie. Dlaczego list miałby mieć mniejsze znaczenie od sutanny? Albo od kurczaka z różną? To, że ktoś nie dostanie czajnika bezprzewodowego, to jeszcze nie koniec świata. Ale kiedy w porę nie usłyszy najważniejszych słów w swoim życiu, może ten świat widzieć już tylko w czarnych barwach.

– Dziękuję – powiedziała Zuzanna. – i do jutra.

Maciej odprowadził ją popielatym spojrzeniem.

Rozdział 4

SPOTKANIE

Wózek trochę się zachwiał, ale koniec końców utrzymał równowagę. Najgorzej było z kąpielą. Przeniesienie bezwładnego ciała z wózka do wanny byłoby niemożliwe, na szczęście po wyjściu z czarnej dziury rozpaczy Tekla kazała przerobić łazienkę, w której zainstalowano prysznic bez brodzika, za to z automatycznym wyłącznikiem wody. Do tego doszła specjalna osłona na syfon umywalki, pomoc toaletowa mocowana do podłogi oraz najróżniejsze uchwyty: proste, kątowe i narożne. Nadwyżka finansowa, którą miała na koncie po sprzedaniu mieszkania mamy, zniknęła niczym magiczny pył, ale Tekla przynajmniej nie bała się własnego mieszkania.

Dzwonek do drzwi wybrzmiał świergotem wilgi, tak przynajmniej zachwalał towar sprzedawca. Tekla dała się złapać na tę wilgę i w sumie nie żałowała. Przyjemny świergot. O, znowu. To pewnie ta dziewczyna z Caritasu. Jakimś cudem załapała się na bezpłatne wizyty (dwa razy w tygodniu) dość sympatycznej wolontariuszki, która robiła zakupy, sprzątała mieszkanie, pomagała umyć Tekli włosy, a czasami nawet piekła ciasto. Tym razem jednak przyszedł ktoś inny. Tekla nie lubiła zmian, zwłaszcza takich, których się nie spodziewała. Nowa dziewczyna miała niecałe trzydzieści lat i była krzykliwie ubrana. Na dodatek bez przerwy trajkotała.

– Dzień dobry. Zastępuję Majkę, bo jej babcia zachorowała i teraz musi się nią zajmować. Ale jak tylko będzie lepiej, wróci do pani. Myślę jednak, że się jakoś dogadamy. Umyć pani okna? Jak wpadnie trochę więcej słońca, to od razu zrobi się tu sympatyczniej. Wprawdzie mamy zimę, ale przecież nie będziemy się nią aż tak bardzo przejmować, prawda?

Ciekawe, jak może stać się sympatyczniej od wymytych okien komuś, kto od pasa w dół ma dwie kłody, a kiedy sika, cieknie mu po nodze.

– Mam na imię Monika. Ale to pewnie pani wie, pani profesor... – dziewczyna zaśmiała się trochę nerwowo i chyba puściła do niej oko.

Tekla spojrzała na nią zdziwiona i odrobinę wystraszona. Coś jej umknęło? Skąd się znają? Monika poklepała ją po ręku swoją zadbaną dłońią z błękitnymi paznokciami ozdobionymi błyszczącymi kwiatkami. Tekla aż się wzdrygnęła.

„Sztuczne pazury. Miałam taką uczennicę lata temu. Byłam pewna, że nie doczeka drugiej klasy i zostanie pracownicą solarium”.

Kotowska Monika.

Rzeczywiście nie doczekała, po pięciu miesiącach przeniosła się gdzieś indziej, pewnie do jakiegoś technikum zawodowego, a Tekla usunęła jej twarz z pamięci. Najwyraźniej jednak dziewczyna nie poszła w kierunku solarium. A nawet jeśli, to po drodze zahaczyła o wolontariat.

Z czasem Monika Kotowska zaczęła przychodzić regularnie, wpadała też bez zapowiedzi, ot tak, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Tekla przyzwyczała się do niej i kiedy starła wyrzuty sumienia związane ze sztucznymi pazurami i solarium, zaczęły normalnie i swobodnie rozmawiać. O tamtych czasach, kiedy uczniowie czuli respekt przed kadrą pedagogiczną, kiedy bali się lekcji z surowym profesorem i tak zwanego dywanika u dyrektora. O tym, jak popalali po

kryjomu, jak kombinowali z wagarami, jakie mieli metody na przełożenie klasówek. I o tym, jak to wygląda dzisiaj.

– Odeszłam, bo te zmiany mnie przerosły. Młodzież zdziczała, nałykała się chamstwa i przerażającej pewności siebie. Chce wszystko zdobyć gwałtem, szturmem, bez żadnej taktyki, żadnych starań. Szkoła stała się dla nich kupą łajna, w którą świadomie wdepnęli, ale którą też próbują za wszelką cenę z siebie zeszkrobać i poszukać czegoś mniej śmierdzącego. Mają gdzieś zasady, o moralności nie wspominając. Dymem z papierosa dmuchają nam prosto w nos. W przenośni i dosłownie – Tekla westchnęła i pokręciła głową.

Monika słuchała w skupieniu, malując jednocześnie paznokcie swojej byłej nauczycielce. Tekla początkowo się przed tym wzbraniała, w końcu doszła do wniosku, że zadbane dłonie w niczym jej nie zaszkodzą. Bordowy odcień czerwieni z granatową kropelką pośrodku. Nawet ładne.

Zmiany w szkole zbiegły się wraz z nadejściem nowego stulecia. Dwudziesty pierwszy wiek przerósł jej najśmielsze oczekiwania. Szkoła zaczęła przypominać ogród zoologiczny pełen chichoczących hien, ospałych leniwców, puszających się pawie, ryczących lwów, hałaśliwych gęsi i skrzeczących małp. Dywanik u dyrektora dawno stracił na swojej sile, dzisiaj można było na niego splunąć i zagrozić psychicznym mobbingiem, który to termin młodzież dość chętnie wykorzystywała i zasłaniała nim swoje chamstwo. Pedagog przestał być nietykalny, stał się raczej lalczką z materiału, w którą wtykano szpilki, opluwano, wykręcano ręce i której kneblowano usta. Nawet pokój nauczycielski przestał być już schronieniem, teraz każdy uczeń mógł tu wejść bez pukania i przerwać rozmowę. Tekla nie znosiła tego miejsca, ale ponieważ alternatywą był rozwrzeszczany dziedziniec, koniec końców wracała do dziupli przeżartej smrodem starych swetrów starej kadry i przepoconych trykotów młodej.

Właśnie. Młoda kadra.

Po roku 2001 do ich szkoły napłynęło kilka nowych okazów, z tym charakterystycznym odęciem na ustach i pogardą wobec wszystkich, którzy przekroczyli czterdziestkę. Tekla była dla nich dinozaurzą. Nawet nie próbowali nawiązywać z nią bliższego kontaktu, który wykraczałby poza to, co konieczne.

– Zrobić pani kawy? – Takie pytanie nigdy nie padło, ani żadne inne zagajenie z serii nadprogramowych.

– Maturalna B nie powinna mieć studniówki – ośmielił się powiedzieć kiedyś profesor Warzecha, wiekowy już geograf (dobiegał sześćdziesiątki). – Ta klasa jest przerażająco rozwydrzona i nie ma pojęcia, gdzie leży Gibraltar.

Młodsza kadra spojrzała po sobie bez zrozumienia. Tekla była gotowa przysiąc, że też tego nie wiedzieli.

– E tam, po prostu są młodzi. – Tak zwykle rozpoczynał się pokoleniowy dialog, tym razem prowadzony przez młodziutką polonistkę, którą bardziej fascynowały rymy hip-hopu niż trzynastozgłoskowiec.

Geograf aż się zatrząsł pod dawno już niemodną dwurzędową marynarką z poliestru.

– To nie tłumaczy buczenia na lekcjach ani tym bardziej swobodnych i kwiecistych rozmów o seksie. – Ściszył nieco głos, bo seks jako taki zawsze go krępował.

– Oni są po prostu uzdolnieni oralnie – zaśmiała się polonistka, a geograf zrozumiał, że jego miejsce jest w Biskupinie. Usiadł przy stole i zamarł niczym skamielina.

Tekla czuła się obco. Jeszcze kilkanaście lat temu uczniowie byli inni. Owszem, nigdy szczególnie nie przepadała za młodzieżą, ale tamci mieli w sobie tę odrobinę pokory, która kazała im okazywać szacunek starszym, mówić „dzień dobry” i „przepraszam”, a czasem nawet przepuszczać

w drzwiach. Obecna młodzież wszystko miała w dupie. Łącznie z samą sobą.

Piętnastego stycznia tego roku Tekla szła w kierunku sali numer sto siedem z dziennikiem pod pachą i opracowaniem psychobiologicznego temperamentu Mickiewicza. „Mickiewicz był człowiekiem utkanym z różnych emocji – pisała w swoich notatkach – zgłębiał istotę bytu, był uczuciowy, nadwrażliwy, miał też problemy z przystosowaniem się. Uciekał od rzeczywistości, szukał pocieszenia w samotności. Chciał być niezależny, wolny”. Czy kogoś to w ogóle zainteresuje?

Nagle poczuła w przedramieniu ostry ból wywołany zderzeniem się z jakimś licealistą, który spojrzał na nią z pogardą (nie rzucił nawet „sorry”) i spytał: „Jak leziesz”? A potem pobiegł dalej, nonszalancki, wielki, z szerokimi spodniami i brudem za paznokciami. Trzy dni później złożyła wypowiedzenie i przeszła spokojnym krokiem na wcześniejszą emeryturę.

Po tygodniu nie mogła już chodzić.



Zgodnie z definicją piękno to pozytywna właściwość estetyczna bytu, odbierana przez zmysły i wynikająca z zachowania proporcji, harmonii, barw, dźwięków, stosowności, umiaru i użyteczności. Piękno to paż królowej, nenufar, koliber, kościół Santa Maria Novella we Florencji, *Narodziny Wenus* Botticellego dla jednych, żuk Mandelbrota dla drugich, a dla niej samej pięknem był Gaspar, choć zupełnie nie rozumiała dlaczego. Zwyczajny chłopak z trochę za długą grzywką, zniewalającym uśmiechem i długimi nogami. Przechodząca właśnie dziewczyna zupełnie nie zwróciła na niego uwagi, dlaczego więc Tekli stanęło serce? Zakochanie to zdecydowanie emocjonalna paranoja, której żaden naukowiec nie jest w stanie opisać. Dlatego zajmują się tym poeci. Wszystkie te badania i dyskusje na temat dopaminy, noradrenaliny czy też innych hormonów to stek bzdur, które musiały zostać wymyślone, żeby w jakikolwiek sposób wyjaśnić, co dzieje się z zakochanym człowiekiem. Tylko po co? Tekla zdecydowanie wolała nie znać chemicznych procesów zachodzących w organizmie, wystarczyło jej, że na widok chłopaka zatrzepotało jej serce, a wraz z nim wszystkie inne narządy wewnętrzne. Gdyby tylko spróbowała unieść się nad ziemią, z pewnością pofrunęłaby do nieba.

Miała wtedy dwadzieścia cztery lata i głowę pełną marzeń. Skończyła polonistykę, przymierzała się do pracy w szkole podstawowej. Nigdy wcześniej nie była zakochana, to znaczy nie tak całą sobą, kiedy od palców stóp aż po czubek głowy przechodzi przez ciebie prąd, a ty wcale nie czujesz bólu.

Był rok 1976, koniec lipca. Irena Szewińska ustanowiła właśnie rekord świata w biegu na czterysta metrów wynikiem czterdzieści dziewięć i dwadzieścia osiem setnych sekundy i wszyscy oszaleli z radości. Tylko Tekli jakoś uciekła ta informacja, bo na środku Starego Rynku obcas jej białych szpilek utknął w studziencie kanalizacyjnej i zupełnie nie wiedziała, jak ma się uwolnić. Kręciła nogą na wszystkie strony, poczuła nawet klucie w prawej kostce, ale but za żadne skarby nie chciał drgnąć. Chciało jej się płakać, godzinę wcześniej zgubiła torebkę, a teraz jeszcze to.

– Proszę go zdjąć – usłyszała nagle i zanim zdążyła przepuścić przez swoją głowę pierwszą myśl, zatopiła się w brązowych oczach wysokiego chłopaka.

I to w zasadzie wystarczyło, by znaleźć się w zupełnie innym wymiarze rzeczywistości, kiedy to zwolnieni jesteśmy z racjonalnego myślenia i trzeźwej oceny sytuacji.

– Gaspar.

– Tekla.

Dwa dziwaczne imiona spotkały się nad kocimi łbami, trzy metry od Ratusza, i skupiły nad białym bucikiem, który w końcu pozwolił się uwolnić. Spędzili ten dzień razem, pomijając kwestie „zupełnie się nie znamy” czy też „nic o tobie nie wiem”. Przesiedzieli na ławce trzy godziny, dwie kolejne nad kawą w „Hawanie”, a potem spacerowali po mieście i kompletnie nie wiedzieli, jak to się dzieje, że nie potrafią się od siebie oderwać.

Rozdzielił ich dopiero żółto-niebieski pociąg, którym Gaspar musiał w końcu odjechać do swojej rodzinnej miejscowości. Ale coś sobie wtedy przyrzekli.

Rozdział 5

PISARZ

Mila musiała być bardzo zapracowana, bo zupełnie zignorowała dwukrotne stukanie do drzwi. W końcu Zuzanna nacisnęła klamkę i zastała swoją koleżankę pogrążoną nad jakimś listem, mocno skupioną i najwyraźniej zafrasowaną, czego dowodem była pionowa zmarszczka biegnąca przez sam środek czoła.

– Coś ważnego? – spytała od razu, pomijając codzienne powitanie i zachwyt nad kolejną apaszką lub szalem Mili. Dzisiaj był czerwony, zdobiony czarnymi piórkami, które śmiesznie podskakiwały na końcach szala nawet przy najdrobniejszym ruchu ramion. Kilka czarnych piórek miała też wetkniętych w kok.

Mila westchnęła.

– Otworzyłam list, bo byłam pewna, że jest od jakiegoś dziecka. Zresztą sama zobacz. – Wyciągnęła rękę z kopertą, na której były wymalowane misie w najróżniejszych odsłonach. Śliczny był zwłaszcza jeden, choć bez ucha.

Zuzanna pomyślała, że rysunki są zdecydowanie zbyt staranne, by mogło je namalować dziecko.

– Od kogo? – spytała tylko.

– Od Pisarza.

Zuzanna spojrzała na nią zdziwiona.

– To jakiś pseudonim?

Mila poprawiła szal na ramionach i odsunęła się od biurka.

– I tak, i nie. Na pewno znasz opowieści o przygodach Małego Chłopca, które stały się absolutnym bestsellerem wśród najmłodszych czytelników.

Kiwnęła głową. Chyba wszyscy o nich słyszeli.

– No właśnie. I coś mi się wydaje, że ten list oraz zawartą w nim bajkę napisał autor tych opowieści. Podpisał się tylko „Pisarz”, ale ja wiem, że to o niego chodzi. Problem polega na tym, że bajka jest napisana specjalnie dla jakiegoś dziecka, które uwierzyło w to, że będzie zdrowe, jeśli napisze do niego sam autor.

– Ale list nie dotarł? – zmartwiła się Zuzanna.

– No właśnie. Nie wiem dlaczego, bo teoretycznie adres jest dobry. Nie ma wprawdzie nazwiska, tylko imię Michał, ale cała reszta zdaje się prawidłowa. Ulica, numer domu, kod i miasto. A jednak list trafił do nas z adnotacją „adresat nieznanym”.

– Mogę rzucić okiem?

– Jasne, czytaj.

Michale!

Nie pytaj mnie, skąd wiem, ale jestem pewien, że wyzdrowiejesz. Nawet bez mojego listu dasz radę, bo masz w sobie siłę wojowników ninja. Pamiętaj, że jesteś znacznie większy od bakterii, która próbuje Cię zniszczyć, a na

dodatek dużo mądrzejszy. Ja mogę tylko odrobinę pomóc, ale skoro wierzysz, że wspólnie ze mną będziesz silniejszy, to absolutnie staję u Twego boku. We dwójkę pokonamy nie tylko Twoją chorobę, ale także całą armię wirusów, które będą próbowały stanąć nam na drodze.

Mam dla Ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Bajkę.

Bajkę, napisaną wyłącznie dla Ciebie. Bajkę, która pozwoli Ci uwierzyć, że nie ma rzeczy niemożliwych, są tylko niedowiarki, które próbują nas przestraszyć.

Do boju!

Twój Pisarz

Zuzanna złożyła kartkę i spojrzała zaniepokojona na Milę.

– I co teraz? On musi dostać ten list.

– Absolutnie. Jadę do Wilczych Dołów, to niemożliwe, żeby ten adres był całkowicie zły. Może błędna jest tylko ulica? Albo numer? Czasem to drobiazg decyduje o tym, że listy zamiast do adresata docierają do naszego Biura. Drobną pomyłką albo zwykłą ignorancją pracownika poczty.

Zuzanna spojrzała na nią z podziwem, ale i pewną obawą.

– Naprawdę tam pojedziesz? A praca?

– Spokojnie. Zniknę tylko na dwa dni, Aneta nawet nie zauważy. Rzadko tu do mnie zagląda, a w razie czego powiesz, że jestem w magazynie.

– Jasne. Czytałaś bajkę?

– Nie. Pomyślałam, że skoro jest napisana specjalnie dla tego chłopca, to on powinien przeczytać ją jako pierwszy. Zerknęłam tylko na tytuł – *Chłopiec i bursztynowa łąka* – Mila posprzątała kartki na biurku, założyła płaszcz, poprawiła czerwony szal i wcisnęła na głowę szary kapelusik. Wyglądała jak wróżka wybierająca się na arcyważną misję. Wsadziła do ust listek jakiejś rośliny i powiedziała:

– Mięta. Odświeża oddech i odstrasza myszy. A ty życz mi szczęścia. To musi się udać, w przeciwnym razie stracę wiarę w działalność naszego Biura. Aha, mam dla ciebie coś zabawnego.

– Wskazała ręką na kartkę papieru leżącą na biurku. Anetka wywiesiła to dzisiaj na tablicy ogłoszeń. Nie bardzo wiem po co.

Zuzanna ucałowała ją spontanicznie w policzki i obiecała, że zrobi wszystko, by szefowa nawet przez ułamek sekundy nie nabrała podejrzeń, że jedna z jej pracownic związała na dwa dni. Kiedy Mila zniknęła, usiadła za jej biurkiem i zerknęła na listę.

Jak się zachować, kiedy otrzymamy nietrafiony prezent?

Przede wszystkim nie okazuj swojego rozczarowania, żalu ani tym bardziej niesmaku. Uśmiechnij się i podziękuj ofiarodawcy.

Jeśli dostałaś na przykład koszmarną szkatułkę z muszelek, nie wpadaj też w przesadny zachwyty i nie obiecuj, że postawisz ją na honorowym miejscu w pokoju. Zbyt łatwo można to zweryfikować.

Jeżeli ofiarodawca czeka na twoją opinię, a ty nie masz zielonego pojęcia, co powiedzieć, spróbuj dopatrzeć się w upominku czegoś wyjątkowego. Zachwyć się niespotykaną strukturą kryształowego wazonu lub zaskakującym zapachem balsamu do ciała. Nawet jeśli cię zemdlilo.

Aby uniknąć podobnych doświadczeń w przyszłości, spróbuj dużo wcześniej podpowiedzieć swoim znajomym czy rodzinie, co chciałabyś dostać. Poinformuj ich, że zbierasz kubki z podobizną kota, a nie przepadasz za sztuczną biżuterią lub paputkami w kształcie mordy misia.

Pod żadnym pozorem nie obdarowuj swoim prezentem jakiejś innej osoby, bo całkiem przypadkowo możesz się pomylić i oddać niechciany upominek komuś, kto ofiarował ci go rok temu! Jeśli naprawdę nie wiesz, co zrobić z

różową ramką w kształcie kotka, schowaj ją na dnie szafy, a za jakiś czas po prostu wyrzucić.

Zuzanna zachichotała. Aneta najwyraźniej czuła się specem od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z podarunkami. I chyba podchodziła do swojej pracy niezwykle poważnie. Ciekawe, ile sama otrzymała takich nietrafionych prezentów?



Karolina patrzyła na Zuzannę, nic nie rozumiejąc. Jej pani od kilku dni zachowywała się jakoś dziwnie. Wzdychała, patrzyła bez przerwy w okno, a wczoraj zapomniała kupić mango, które było absolutnym przysmakiem każdej lotopałanki. Wydała więc z siebie pisk oburzenia, przypominający skrzypnięcie starych drzwi, a nawet fuknęła zadziornie, co jednak również pozostało bez odpowiedzi. Zuzanna najwyraźniej była skupiona na czymś innym, a dokładnie na dwóch kopertach, które nosiła w swojej torebce i od czasu do czasu wyciągała tylko po to, by na nie popatrzeć lub ewentualnie je powąchać.

– Nie wiem, co zrobić, Karolino – odezwała się wreszcie. – Bo jednak w naszym Biurze obowiązuje zakaz czytania cudzych listów, choć tak naprawdę nie ujęto tego w żadnym regulaminie.

Karolina nie rozumiała słów „biuro” ani „regulamin”, pozostałych również, pojęła jednak, że za sprawą tych dwóch kopert została zaburzona domowa równowaga. I bardzo jej się to nie podobało. Przeleciała więc pięknym łukiem z szafy na lampę, a następnie wylądowała na kolanach Zuzanny, rozdzierając niechcący jedną z kopert. Niebieską.

– Karolino! – Zuzanna zerwała się wystraszona i spojrzała odrobinę zezłoszczona na swoją pupilkę.

Jasne. Tyle zamieszania o kawałek papieru. A mango nadal nie ma.

Zuzanna zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie. Otworzyć? W końcu i tak spory kawałek jest rozdarty i można śmiało wyjąć list. Jak to powiedziała Aneta?

– Wiem, że w innych krajach nie ma problemu z otwieraniem cudzych listów, ale ja postanowiłam zachować przynajmniej jakąś namiastkę tajemnicy korespondencji. Dlatego bez wyraźnego powodu nie otwieramy.

W zasadzie można to zinterpretować w sposób odpowiadający własnemu sumieniu. Po pierwsze, na całym świecie w miejscach takich jak Biuro Przesyłek Niedoręczonych nie obowiązuje tajemnica korespondencji, a to, że akurat u nich nie wolno otwierać listów, jest subiektywną decyzją Anety. Po drugie, nikt nie wie, co oznaczają „wyraźne powody”. Przecież ten powód może pojawić się dopiero po przeczytaniu wiadomości i mieć decydujące znaczenie zarówno dla adresata, jak i nadawcy.

Poza tym list otworzyła Karolina...

Zuzanna popatrzyła na swoją lotopałankę, która po raz kolejny fuknęła na nią ostentacyjnie.

– Co jest? A! Mango! – Zuzanna uderzyła się w czoło. – Zupełnie zapomniałam! No dobrze, pobiegnę do marketu, może uda mi się jeszcze coś kupić. W najgorszym razie dostaniesz larwę drewnojada – mrugnęła do niej i odłożyła list na półkę.

Rozdział 6

GASPAR

Szanse na studia w Niemczech były praktycznie żadne, a jednak Gaspar nie przestawał marzyć, żeby wyjechać do sąsiedniego kraju i tam liznąć trochę innej wiedzy. I najeść się do woli misiów Haribo oraz czekolady z okienkiem. W Polsce skończył farmację, ale ciągle był głodny dalszej nauki i przekonany, że zagranicą dowie się czegoś więcej. Sytuacja poprawiła się nieco w latach siedemdziesiątych za czasów Gierka, kiedy dostrzeżono, że wyjazdy zagraniczne przynoszą korzyści gospodarcze w postaci napływu dewiz. Wycieczki zagraniczne zaczęto zatem organizować nieco częściej i na jedną z nich załapał się ojciec Gaspara, natychmiast odstępując miejsce synowi. Nie były to wprawdzie studia, ale Gaspar miał szansę zostać kilka miesięcy w Niemczech, a dzięki przyjacielowi ojca mógł uczęszczać na zajęcia jako wolny słuchacz.

Paszport nie był wtedy normalnym dokumentem obywatela i dostawało się go trochę „z łaski”. Albo i nie, w zależności od kaprysu kogoś z góry. Gaspar najpierw napisał „podanie o paszport” i wypełnił niezwykle zawiły kwestionariusz, w którym zdradził panięskie nazwiska matki i babki, miejsce pracy całej bliższej i dalszej rodziny, informacje, kto był za granicą, kiedy i w jakim celu. Odstał też kilka godzin w kolejce, aż wreszcie niesympatyczny urzędnik z tłustymi włosami, w buraczanym golfie i śmierdzących, sztucznych skarpetkach podanie przyjął. A przez kolejne dwa miesiące cała rodzina czekała na wiadomość, czy Gaspar dostanie paszport, czy też raczej odmowę „z ważnych przyczyn społecznych i państwowych”.

Udało się.

Z początkiem sierpnia 1976 roku mógł wyjechać do Niemiec. I jak jeszcze kilka tygodni temu cieszył się niczym dziecko, tak po dwudziestym dziewiątym lipca wszystko się zmieniło. Świat zamknął się do piegowatej twarzy z ciemnym warkoczykiem, do białych pantofelków na szpilce, białej sukienki, zapachu zielonego jabłuszka i imienia Tekla.

Oczywiście osoby postronne wyśmiałyby miłość, która zakwitła w ciągu kilku godzin, ale oni wiedzieli swoje.

– Muszę tam pojechać, ale wracam przed Bożym Narodzeniem. Spotkajmy się dwudziestego czwartego grudnia o godzinie siedemnastej. Jeśli nam się to uda, bez listów, bez telefonów, bez żadnych innych ustaleń, to znaczy po prostu, że nie ma takich przeciwności losu, które mogłyby stanąć nam na drodze. Przyjdiesz? – spytał, całując ją delikatnie i patrząc w zielone oczy tak intensywnie, że aż pociemniały.

Kiwnęła głową. Była absolutnie pewna, że za kilka miesięcy spotkają się znowu, ale wtedy już na zawsze.

Z początkiem sierpnia Gaspar wyjechał do Niemiec, a Tekla czekała na niego, oglądając premierowe odcinki serialu *Szaleństwa Majki Skowron*, przeżywając z całą Polską mecz Stal Mielec – Real Madryt, przyjazd Abby do Studia 2 oraz plenum KC PZPR, którego podstawowym zadaniem była poprawa zaopatrzenia rynku przez zwiększenie produkcji oraz import pasz, mięsa i tłuszczów za półtora miliarda dolarów. Gaspar tymczasem chodził na zajęcia z farmacji i cieszył się, że po

powrocie przejmie aptekę ojca, a potem sprowadzi do swojego miasteczka Teklę i będą żyli tak, jak większość chciałaby żyć, ale rzadko kiedy to się udaje.

Dwudziestego czwartego grudnia 1976 roku słońce weszło o godzinie siódmej czterdzieści jeden, w zenicie znalazło się o jedenastej trzydzieści pięć, a zaszło o piętnastej dwadzieścia dziewięć. Imieniny obchodzili nie tylko Adam i Ewa, ale także Adamin, Adela, Delfina, Druzjanna, Eryk, Ewelina, Godzisław, Grzegorz, Herman, Irma, Józef i Zenobiusz.

Gdy w Narodzenie pogodnie, będzie tak cztery tygodnie.

Jak w Wigilię z dachu ciecze, zima długo się przewlecze.

Wigilia jasna, święty Jan ciemny, obiecują rok przyjemny.

Słota w dzień Adama i Ewy, zabezpiecz od zimna cholewy.

Takie i inne przysłowia podśpiewywał pod nosem Gaspar, jadąc lodowatym pociągiem osobowym, w którym najwyraźniej zapomniano o ogrzewaniu. Ale jemu było ciepło. Ciepło aż do dziewiętnastej pięćdziesiąt dziewięć, kiedy zrozumiał, że Tekla już nie przyjdzie. Czekał na nią trzy godziny, potem musiał złapać ostatni tego dnia pociąg do swojej miejscowości. Nie pamiętał, czy w końcu zmarzł, czy płakał, czy był zły, czy miał przy sobie bilet i jak bardzo musiał tłumaczyć się rodzicom, że przegapił wigilijną kolację.

Tekla nie przyszła. I już.



Apteka, w której pracował przez niemal czterdzieści lat, prawie w ogóle nie zmieniła swojego wystroju. Ludzie przyzwyczaili się do ciemnych mebli, tysiąca drewnianych szufladek i uśmiechu Gaspara, który o lekarstwach wiedział chyba wszystko. Współczesne apteki są jasne, przestronne, schludne i skomputeryzowane. Brakuje im jednak dawnego półmroku, wszechobecnej woni ziół i lekarstw oraz odrobiny magii i tajemniczości.

Gaspar o aptekach wiedział niemal wszystko, podobnie zresztą jak jego ojciec i dziadek. Kiedy inni wymieniali jednym tchem największe hity radiowej Trójki, on mógł godzinami opowiadać, jak to w szesnastym wieku przy oficynach aptecznych zaczęto zakładać depositories, w których magazynowano środki pochodzenia roślinnego (*vegetabilia*) – kwiaty, korzenie, żywice – a także zwierzęcego i ludzkiego (*animalia*) – pijawki, suszone żmije, propolis, tłuszcz ludzki i mocz. A z leków mineralnych – ametyst, kryształ, korneol, antymon, kaolin, kredę oraz siarkę.

Co prawda w jego aptece nie było już pijawek ani suszonych żmij, ale i tak miała ona ten niezwykły urok starych miejsc, do których coraz więcej osób chętnie powracało. No i nadal pachniało tu ziołami. Leczył nie tylko pigułkami, miksturami i kropelkami do nosa, ale także zwykłą rozmową, na którą zawsze miał czas.

– Proszę pana, czy pan może wie, jak pozbyć się pajaków? – To pytanie zadała mu pewnego mroźnego poranka sześciolatnia dziewczynka o imieniu Malina, której mama kupowała właśnie rozgrzewającą maść, idealną na zimowe przemarznięcia.

– Kotku, nie męcz pana. – Typowa reakcja mamy prawie zawsze kończyła się tak samo: – Gaspar tłumaczył, że absolutnie żadne pytanie nie powinno zostać bez odpowiedzi.

– Jest kilka sposobów, czytałem o tym w pewnej książeczce dla dzieci. Jesienią na przykład należy pozbierać kasztany w łupinach i porozkładać je pod meblami. Pajaki obrażą się wtedy, że coś je notorycznie kłuje i same wyprowadzą się z naszego domu. Można też z początkiem zimy wyłączyć

w domu ogrzewanie. Wtedy pójdą do sąsiada, bo nie lubią marznąć – wyjaśniał skupiony i poważny.

– Ale ja też nie lubię marznąć.

Gaspar zastanowił się przez chwilę.

– Gdzie są te pająki?

– Pod szafą, ale ciągle wylazą – szepnęła Malina.

– Rozsmaruj tam tę maść rozgrzewającą, którą kupiła twoja mama. Pająki się do niej przykleją, poczują miłe ciepło i nie będą miały ochoty spacerować po pozostałej części domu.

Malina zastanowiła się przez chwilę i skinęła głową.

– Dobra. A w razie czego po prostu zatłukę je butem.

Gaspar puścił do niej oko i uśmiechnął się do Malinowej mamy.

Raz do roku pisał list. A dwudziestego czwartego grudnia jechał do Poznania, w którym pierwszy i ostatni raz widział Teklę, i przez ponad godzinę stał na placu pełen wiary, że tym razem się uda. I czekał. Przez trzydzieści siedem lat ani razu nie stracił nadziei, choć pogodził się z myślą, że być może będzie musiał jeszcze kilka razy przyjeżdżać w to miejsce.

„W końcu przyjdzie” – uśmiechał się do siebie, kupował gorący barszcz w plastikowym kubeczku i wracał do domu. Życie płynęło dalej, a on płynął wraz z nim. Aż do kolejnej Wigilii.

Tego roku poczuł dziwne ukłucie, kiedy wyciągnął ostatnią niebieską kopertę i ostatnią kartkę niebieskiego papieru. Tak jakby los chciał mu zasugerować, że skoro skończyła się papeteria, to może nie ma sensu więcej pisać...

Rozdział 7

NIETOPERZ W STANIKU

Zuzanna nie przyznała się właścicielowi mieszkania, że wprowadza się wraz z lotopałanką. Po pierwsze dlatego, że w umowie wyraźnie napisano „żadnych zwierząt”, po drugie, doskonale zdawała sobie sprawę, że na hasło „torbacz”, „lotopałanka” lub „rodzaj wiewiórki” natychmiast usłyszy dobitne „nie”, wynikające chociażby w fakt, że nikt nie miał pojęcia, co to za rodzaj zwierzęcia. Było coś jeszcze. Otóż lotopałanki mają dość specyficzny aromat na skutek wydzielanego przez ich futerko piżma, które dla jednych pachnie jak przypalona wata cukrowa, dla innych jednak najzwyczajniej w świecie cuchnie. Karolina musiała pozostać anonimowa.

Okazało się to nie lada wyzwaniem w pewne sobotnie przedpołudnie, kiedy właściciel mieszkania, a dokładniej jego syn Rafał zadzwonił do Zuzanny i oznajmił, że „za chwilę wpadnie po jakieś książki”.

– Poszukam ich dla pana i przygotuję – wrzasnęła przytomnie do słuchawki, ale było już za późno.

– Karolino, musisz udawać, że nie żyjesz – Zuzanna stanęła w niewielkiej kuchni, gdzie pod stołem znajdowała się klatka i czule pogłaskała zwierzątko.

Karolina prychnęła, było jeszcze dość wcześnie, a ona po nocnych harcach wśród mebli, firanek i kuchennych szafek miała ochotę trochę dłużej pospać. Trudno. Zuzanna narzuciła więc na klatkę swój wielki, czarny sweter i modliła się w duchu, żeby syn właściciela szybko znalazł to, czego potrzebuje. Z wrażenia zapomniała zupełnie o listach, które odłożyła na półkę w sypialni i które w końcu postanowiła przeczytać. Mila z pewnością uznałaby to za dobry pomysł. A na zdaniu Mili wyjątkowo jej zależało. Wprawnym ruchem związała niesforne włosy w byle jaką kitkę i założyła czystą koszulkę.

Rafał zjawił się dziesięć minut później i od razu pociągnął nosem.

– Coś się przypaliło?

Zuzanna przełknęła ślinę.

– Kawa...

– Ale chyba coś jeszcze. Mięso?

Zwariował? Lotopałanki na pewno nie śmierdzą spalonym mięsem.

– To chyba od sąsiadów z góry – uśmiechnęła się niepewnie i szybko wskazała ręką na pokój.

– Tam są pana książki, prawda?

Skinał potakująco głową, ciągle jeszcze zabawnie marszcząc nos.

Wrażliwiec.

Po piętnastu minutach, kiedy wyszedł w końcu z czterema opasłymi tomami jakichś ekonomicznych dzieł, dobiegł go dziwny dźwięk połączony z szamotaniem.

– Co to? – zaniepokoił się, a Zuzanna zaczęła głośno kaszleć, próbując zagłuszyć wściekłą Karolinę, która prawdopodobnie nie umiała wyswobodzić się spod czarnego swetra.

– Nie wiem, to chyba też od sąsiadów, oni ciągle coś remontują.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Ci z góry? To raczej on. Tam mieszka tylko starszy pan bez nogi.

Oj.

Nagle prosto w twarz Rafała uderzyło coś wielkości dorodnej myszy, owinięte czarną szmatą, w której Zuzanna rozpoznała swój stanik. Pewnie zaplątał się w swetrze.

– Ratunku!!! – wrzasnął przerażony chłopak, machając rękami i próbując bronić się efektownymi kopniakami. Zuzanna postanowiła zrobić wszystko, by nie wybuchnąć śmiechem, którego historyczna potrzeba pojawia się zawsze w najmniej oczekiwanych sytuacjach.

Czarne coś zaskrzeczało złowrogo, po czym wylądowało za szafą.

W pokoju zapadło milczenie. Zuzanna zastanawiała się, czy syn właściciela wyrzuci ją od razu, czy najpierw porozmawia z ojcem i poczekać chociaż do końca grudnia, gdy tymczasem Rafał wziął kilka głębszych oddechów i spojrzał na nią z niepokojem.

– Nie boi się pani?

Karoliny? Pewnie będzie wściekła, ale szybko jej przejdzie.

Pokręciła przecząco głową.

– Poprzedni właściciel też narzekał. Cholera, myślałem, że mamy ten problem z głowy.

Zuzanna postanowiła milczeć, żeby na wszelki wypadek nie powiedzieć zbyt dużo. Najwyraźniej w tej całej sytuacji pojawiła się jakaś furtka, z której zamierzała skorzystać. Lepiej odczekać.

– Nietoperze – westchnął Rafał. – Co jakiś czas tu wracają. Albo jakiś został i dopiero teraz się uaktywnił. No nic, zamówię kogoś, kto je wyłapie.

– Nie trzeba – wpadła mu w słowo. – Sama wszystko załatwię, poza tym nie boję się nietoperzy.

Z tego co wiedziała, ssaki te zapadają w sen zimowy, bo najzwyczajniej w świecie brakuje im owadów i innego pożywienia, poza tym raczej nie fruwać po cudzych mieszkaniach. Ale może był to jakiś specjalny rodzaj nietoperza albo Rafał nie miał zielonego pojęcia o hibernacji.

Uśmiechnęła się do niego.

Popatrzył na nią zdumiony i potarł ręką czoło.

– Jest pani pewna?

Szybko przytaknęła.

– Absolutnie.

– No, dobrze. To w takim razie proszę zapłacić w tym miesiącu tylko połowę czynszu. Taka rekompensata za te niedogodności.

Zuzanna spojrzała na niego mile zaskoczona. Równie miły okazał się jego przepraszający uśmiech połączony z trochę za dużym nosem oraz kręconymi włosami. Kiedy człowiek pozbędzie się wstępnych uprzedzeń, strachu oraz ogólnej niechęci, nagle okazuje się, że widzi znacznie więcej, niż mógłby tego oczekiwać. I jest to zazwyczaj całkiem przyjemny widok.

Siedem minut później Zuzanna głaskała obrażoną Karolinę i podsuwała jej pod nos łyżeczkę jogurtu.

– No, nie gniewaj się. I wiesz, jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna. Zarobiłaś trzy stowy, część z tego absolutnie ci się należy. Chcesz kołowrotek? Albo jakiś tunelik?

Karolina zapiszczała wysokim dźwiękiem, który Zuzanna zinterpretowała jako zgodę na tunel dla gryzoni.



Maciej sprzedawał nie tylko świetną kawę, ale także wspomniane już doskonale rogaliki, które niewiele miały wspólnego z typowymi croissantami, ponieważ były od nich o niebo lepsze. Delikatnie chrupiące, z jakąś pomarańczową nutą i ledwo wyczuwalnym posmakiem czekolady. Zuzanna wiedziała, że nigdy im się nie oprze, nawet jeśli obwód jej bioder się znacząco powiększy.

– Sprzedajesz też lody? – zdziwiła się następnego dnia po historii z nietoperzem, kiedy wpadła po południu na szybką kawę, wykorzystując drzemkę Karoliny. Lotopałanki są czasem bardziej zazdrosne niż kobiety, dlatego lepiej ich nie drażnić.

– No pewnie.

– Zimą?

Maciej roześmiał się.

– Zimą są zdrowsze, uwierz mi. Zdecydowanie rzadziej dochodzi wtedy do przeziębień niż podczas jedzenia ich latem. Lody schładzają nasze ciało, a ponieważ zimą temperatura, w której przebywamy, jest niższa, to różnica temperatur również jest mniejsza.

– Czyli latem powinniśmy jeść ciepłe posiłki?

Przytaknął.

– Spójrz na Turków, którzy piją gorącą herbatę w upalne dni.

Zuzanna wstała i podeszła do lady.

– A jakie masz?

Maciej dumnie wypiął pierś.

– Trzy niebiańskie smaki, ale za to własnej roboty. Kiedy byłem gówniarzem, w naszym mieście rządził lodowy mistrz Bródka. Wszystkie dzieci go uwielbiały, bo sprzedawał najlepsze lody na świecie. Smaki były trzy – waniliowe, czekoladowe i jagodowe. Nie to co dzisiaj, kiedy w budkach można kupić co najmniej trzydzieści odcieni samego niebieskiego o podejrzanych nazwach smurf, angel, bubble gum i surprise, a wszystkie z nich zawierają co najmniej pół tablicy Mendelejewa. Chyba nie muszę też mówić, że dawniejsze lody jagodowe zawierały w sobie owoce, a nie barwnik. Dlatego postanowiłem odtworzyć ich smak.

– Uwielbiam jagodowe lody.

– Mam je również w wersji wegańskiej, która powstała dzięki inicjatywie mojej wnuczki.

Zuzanna roześmiała się. Wegańskie lody?

Maciej zaś opowiadał dalej.

– Wróciła kiedyś ze szkoły i oznajmiła, że jej przyjaciółka z klasy postanowiła zostać weganką. Patrzy na mnie spod tej swojej potarganej grzywki i mówi: „Od dzisiaj Kasia nie będzie jadła niczego, co pochodzi od zwierząt. Robi wyjątek wyłącznie dla kabanosów i hamburgerów z McDonalda”.

Zuzanna roześmiała się.

– A gotujesz też dla swojej wnuczki sam?

Wywrócił zabawnie oczami.

– No, ba! Dla wnuczki i wnuka, którymi zajmuję się trzy razy w tygodniu po szkole. Ale wierz mi, wymyślanie obiadów dla tych dwóch potworów może być bardzo męczące. Nie ukrywam, że najłatwiej jest kupić kawał mięcha i cisnąć nim na środek patelni. Albo parówkę wrzucić do wody. Ale synowa mówi, że mięso wypadałoby ograniczyć, w parówkach mieszka zmielone zło i w związku z tym mam znaleźć tak zwane obiady zastępcze. I tu pojawia się problem. Jedno je tuńczyka, drugie łososia. Jedno uwielbia szpinak, drugie nim gardzi bardziej niż zdechłą myszą. Jedno pochłonie każdą ilość ryżu, drugie nawet na ryż nie spojrzy. Poszukiwanie kompromisów zwykle kończyło się zakupem kurczaka, ale ostatnio nawet na drób wybrzydząją. Aż wpadłem na

pomysł, żeby same ustalały, co lubią, byle było w tym jakieś warzywo, zero mięsa, a samo danie wymagało niewiele roboty.

– Udało się? – spytała zaciekawiona Zuzanna.

Skinął potakująco głową.

– Ostatnio po odrzuceniu papryki, brokułów, szpinaku i brukselki padło hasło „kalafior”. „Może być”, uznali oboje, więc pytam dalej, czy lubią mleko kokosowe. Kokos skojarzył im się pozytywnie z kokosowymi pralinkami, więc kiwnęli zgodnie głowami. „Ananas?”, pytam dalej. „Ja świeży!”, woła wnuczka. „Ja z puszki”, dodaje wnuczek. „To kupię świeży, ale go ugotuję, wtedy smakuje jak ten z puszki, a wy oboje macie wyrazić zachwyt i wdzięczność, że pogodziłem jedno z drugim”, powiedziałem im, zanim zaczęli protestować.

– Brzmi pysznie – oblizwała się Zuzanna.

Maciej uśmiechnął się.

– Najważniejsze, że zjedli. I to ze świadomością, że to ich własne danie. Ech, gdyby ich tak raz wrzucić w sam środek PRL-u, gdzie za rarytas uchodziła kanapka ze świeżym ogórkiem – westchnął marzycielsko.

– Moja babcia najbardziej lubiła chleb z musztardą.

Maciej uśmiechnął się.

– Twoja babcia czuje poezję smaku.

Rozdział 8

SĄSIAD

Mila zadzwoniła w idealnym momencie. Aneta właśnie stała za plecami Zuzanny i wydawała polecenia jakiemuś pracownikowi, choć wiadomo było, że jej uszy słyszą absolutnie wszystko.

– Dobrze, Milu, zrozumiałam, że jesteś w magazynie numer osiem. Tak, widzimy się później przy listach – powiedziała głośno, a kiedy upewniła się, że do Anety również dotarła ta wiadomość, schowała się między regałami i spokojnie zaczęła rozmawiać z koleżanką.

– I co? Udało się?

Mila chrząknęła.

– Jeszcze nie, ale mam pewien trop. Pod tym adresem, który był na kopercie, mieszka jakaś starsza kobieta, lekko przygłucha, i zanim ustaliłyśmy, że nie ma chorego wnuczka, minęło trochę czasu. Musiałam jej też szczegółowo wyjaśnić zalety rumianku, bo okrutnie na mnie kichała. Dałam jej przepis na maść rumiankową, mam nadzieję, że wszystko dokładnie zrozumiała i nie zje jej na obiad.

Zuzanna potarła ręką nos.

– Słuchaj, a gdyby dotrzeć do tego Pisarza? Może on się po prostu pomylił, może powinien raz jeszcze zerknąć na adres i wtedy okaże się, że błędnie wpisał nazwę ulicy.

Mila westchnęła.

– Łatwiej byłoby odnaleźć Bursztynową Komnatę. Ten Pisarz to taki człowiek-widmo. Nikt go nigdy nie widział, nikt nie wie, gdzie mieszka. Podobno kontaktuje się tylko z jedną osobą z wydawnictwa i to za pośrednictwem e-maili. Nie wiem, czy w ogóle telefony odbiera. Jego nazwisko to oczywiście pseudonim. Napisał tyle cudownych opowieści dla dzieci, ale nigdy się z nimi nie spotkał. List od Michała pewnie trafił do wydawcy i ten mu go przekazał. Ale nie sądzę, by był to wystarczający powód, żeby zechcieli podać nam adres Pisarza.

Zuzanna zamyśliła się.

– I co teraz?

– Ta starsza pani poradziła mi odwiedzić miejscowego aptekarza, on podobno zna wszystkich ludzi. Pójdę i popytam, może uda mi się jakoś namierzyć tego chłopca. Czuję, że on gdzieś tu mieszka, że te Wilcze Doły nie okażą się tak podstępne, jak ich nazwa. Odezwę się!

Zuzanna postanowiła, że mimo wszystko spróbuje szczęścia w wydawnictwie. W końcu idą święta, a wtedy wszystkim rośnie poziom empatii. Może w drodze gwiazdkowego wyjątku, doprawionego prośącym śniegiem i oczekiwaniem na prezenty, zdradzą jej adres Pisarza albo chociaż numer telefonu do niego i w ten sposób uda się jej odnaleźć Michała. Postanowiła, że zajmie się tym jeszcze dzisiaj, najpierw jednak musiała rozdzielić osiemnaście paczek, w których znajdowały się takie skarby, że sam Ali Baba oszalałby z radości.

Najpierw jej oczom ukazało się czarne pudełko (które wcześniej bardzo dokładnie prześwietlono), a w nim niejaki „Secret Drinker”, czyli ekskluzywny zestaw dla miłośnika dobrych trunków. Wyglądał jak księga oprawiona w skórę i miał pewnie nawiązać do dawnych czasów, kiedy to

w takich właśnie książkach przemycano broń, lekarstwa i alkohol. Współczesna księga zamiast tradycyjnych kartek zawierała jednak zminiaturyzowany barek – na aksamicie leżały srebrne kieliszki, buteleczki i maleńka beczka z korkiem. Oraz karteczka z napisem: „Dla Dzidziołka, który ma już wszystko”. Niestety, Dzidziołek, kimkolwiek był, nie otrzyma w tym roku zestawu „Secret Drinker”, bowiem jego nadawca zapomniał wpisać kod i miasto. A ulic Piątkowskich było zapewne w Polsce więcej niż publicznych szaletów. Swoją drogą, jak ktoś na poczcie mógł przeoczyć brak miasta?

– A to co? – krzyknęła z przerażeniem, wyciągając z kartonu miskę w kolorze padliny, która na dodatek zaczęła wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki.

Zerknęła na opis. „Upiorny pojemnik na orzeszki, popcorn, chipsy lub ciastka”. Jego upiorność polegała na gumowej trupiej dłoni przymocowanej do dna. Za każdym razem, kiedy sięgało się do wnętrza miski, tajemniczy głos mówił „Thank you” i wydawał z siebie diabelski chichot.

Zuzanna pomyślała, że czasem lepiej jest, gdy niektóre prezenty trafią najpierw na półki, a potem zostaną zutylizowane. Na przykład ten wibrujący bóbr.

Po południu zadzwoniła do wydawnictwa.

– Nie ma takiej możliwości – usłyszała niemal natychmiast, zanim do końca wyjaśniła, o co chodzi.

– Ale to z pewnością jest list napisany przez waszego autora, tylko po prostu nie trafił w odpowiednie ręce. Gdybyście państwo dali mi numer telefonu...

– Nie podamy. Ani telefonu, ani adresu, ani czegokolwiek, co mogłoby zdradzić miejsce jego pobytu. Po pierwsze, nie ma żadnej gwarancji, że ten list napisał właśnie on, a po drugie, mamy absolutny zakaz udzielania takich informacji osobom nieupoważnionym.

Zuzanna westchnęła i zacisnęła pięści. Co za świat! Nikt już dzisiaj nikomu nie ufa.

– Ten chłopiec czeka na list.

– A ja, proszę pani, czekam, aż mi odrosną włosy na zakolach. I podejrzewam, że również się nie doczekam. Do widzenia.

Cóż było robić?

Zuzanna rozłączyła się i popatrzyła przed siebie. Tym razem nawet tańczące płatki śniegu nie zdołały poprawić jej ponurego nastroju.



Karolina kończyła właśnie przeżuwać kiwi, kiedy do jej uszu dobiegł dźwięk otwieranych drzwi.

Zuzanna! Ale dość mocno spóźniona, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. Nie tak wyobrażała sobie wspólne mieszkanie.

– Przepraszam, ale grudzień to naprawdę najgorszy miesiąc w roku. Nawet nie masz pojęcia, ile paczek i listów do nas dziennie przychodzi, a czasem bywa nawet niebezpiecznie. Dzisiaj na przykład jedna z pracownic otworzyła paczkę od spodu. Na dole była bateria, więc ją automatycznie wyjęła. A potem zaczęła szarpać za resztę, żeby całość wyciągnąć i wtedy wypadła kartka z napisem „Zaraz zginiesz, gnoju”. Wiesz, co to było?

Lotopałanka nie miała bladego pojęcia, poza tym nadal bardziej interesowało ją kiwi.

– Bomba! – zawołała Zuzanna. – Bomba domowej roboty w kształcie dawnego telefonu z cyferblatem. Aneta zadzwoniła po saperów i kiedy przyjechali, ocenili, że był to całkiem spory

ładunek wybuchowy. I tak sprytnie skonstruowany, że podczas skanowania nikomu do głowy nawet nie wpadło, że w środku może być bomba. Oczywiście adres nadawcy był fałszywy, więc trop urwał się dość szybko.

Karolina oblizwała się ze smakiem i spojrzała na Zuzannę odrobinę nieprzytomnie. W zasadzie to była mocno zmęczona. Lotopałanki zazwyczaj śpią w ciągu dnia i Karolina taki też miała plan, niestety co chwila dochodziły ją z góry jakieś dziwne odgłosy. Ktoś pukał, stukał, rzucał czymś ciężkim o ziemię, a czasem nawet wrzeszczał. Nie był to jednak wrzask człowieka potrzebującego pomocy, tylko raczej mocno wściekłego. Karolina przez moment poczuła nawet pewne zagrożenie i z własnej woli schowała się do klatki, w końcu jednak nastąpiła cisza.

– Hej, maluchu, zasypiasz? – dobiegło ją pytanie Zuzanny.

Lotopałanka karłowata zamknęła oczka i bez dalszych wyjaśnień zapadła w sen.

Zuzanna pokręciła z niedowierzaniem głową, przeniosła Karolinę do klatki i zabrała się za przygotowanie kolacji. Prażone migdały, suszone pomidory, winogrona i wędzony łosoś. Bardzo szybkie i bardzo smaczne danie, które podsunął jej Maciej. Stwierdził, że smakuje nawet kulinarnie wybrednym bachorom, więc zapewne miał na myśli swoje ukochane wnuki.

W Miasteczku od tygodnia sypał śnieg i świat za oknem zamknął się w bieli. Trudno było nawet rozpoznać poszczególne płatki, które skleiły się w całość i tworzyły specyficzny śnieżny parawan. Nawet przejeżdżające samochody wyglądały jak wielkie białe nic, bo po prostu nie było ich widać. Zuzanna pomyślała, że nie zdziwiłby jej widok Yeti i trzech małych pingwinów spacerujących ulicami.

– Moje wnuki przeszczęśliwe. Zniknęły wczoraj w ogrodzie i wróciły po trzech godzinach nawet niespecjalnie odmrożone. Podobno wykopały podziemne tunele, tyle że w śniegu, a nawet mini zoo i wybieg dla koni. Zanim zdążyłem powiedzieć, że obiad na stole, pożarły makaron z łososiem i mlasnęły niczym śnieżne kojoty – opowiadał Maciej.

– Lubią łososa?

– Tylko jedno. Drugie nienawidzi.

– O! – zdziwiła się Zuzanna.

– Nienawidzi, kiedy wie, że jest na talerzu. W każdym innym przypadku jej smakuje.

– Czyli wnuczce. Powiedziałaś jej?

– Jasne. Natychmiast wrzasnęła, że nie znosi łososa i że przeze mnie złoży ikrę.

Zuzanna roześmiała się. Wnuki Macieja musiały być fantastyczne.

Huk rozbijanego talerza, kubka lub czegokolwiek innego szklanego był tak zaskakujący, że Zuzanna o mało co sama nie wypuściła noża z ręki. Spojrzała odruchowo w górę, jakby w obawie, że to coś, co upadło, zrobiło dziurę w jej suficie. Odczekała chwilę i wytarła rękę. Rafał wspominał, że tuż nad nią mieszka starszy sąsiad bez nogi. Może potrzebuje pomocy? Może zasłabł, przewrócił się i nie jest w stanie sam wstać? Karolina spała jak zabita, dziwne, że ten hałas jej nie obudził. Zuzanna doszła do wniosku, że jednak warto sprawdzić te dźwięki, a przy okazji poznać sąsiadów. Lub na początek chociaż jednego. W końcu wprowadziła się tu już trzy tygodnie temu, ale jakoś nie miała możliwości, żeby spotkać innych mieszkańców kamienicy.

Dzwonek nie działał, więc cicho zapukała. Przyłożyła ucho do drzwi i wsłuchiwała się w ciszę po ich drugiej stronie. Ktoś najwyraźniej był w środku, czuła to, poza tym talerz czy kubek z pewnością nie spadł sam.

Zapukała głośniejsze.

– Przepraszam, jestem pana sąsiadką z dołu, czy nic panu nie jest? – zaryzykowała w końcu.

Cisza.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Spierdalaj – dobiegło ją tak głośno, wyraźnie i stanowczo, że aż podskoczyła. Sąsiad bez nogi najwyraźniej znajdował się tuż przy drzwiach i chyba nie potrzebował żadnej pomocy.

– Ale... – spróbowała raz jeszcze.

– Spierdalaj, młoda damo – powtórzył głos.

Zuzanna doszła do wniosku, że nie jest to zaproszenie na sąsiedzką kawę.

Rozdział 9

PRZED WSCHODEM SŁOŃCA

Są godziny, które wloką się w nieskończoność, godziny nudne i bardzo do siebie podobne. Wypełniają poszczególne dni, miesiące i wreszcie lata. Ale są też godziny pełne emocji, poszarpane, gwałtowne, które nie wiedzieć czemu kończą się szybciej niż inne. Tak było każdego roku w Wigilię. Czas między siedemnastą a osiemnastą biegł na oślep, był chaotyczny i pełen niepokoju. Minuty prześcigały się, jakby chciały pokazać czekającej kobiecie, że na końcu tej godziny nie ma jednak nic. I że znowu może wrócić do domu.

Co zatem zmuszało ją, że rok w rok szła na spotkanie, które zamiast radości kwiatów i spełnionych marzeń dawało jej tylko rozczarowanie? Tekla bardzo nie lubiła przywoływać dawnych czasów, ale wspomnienia same wyświetlały się w jej mózgu i bez ostrzeżenia atakowały o najróżniejszych porach dnia.

Czy to możliwe, żeby człowiek potrafił być szczęśliwy przez kilka miesięcy, a potem jednego wieczoru stracił cały zapas endorfin, którymi się naładował? A może to ona była winna, obiecując sobie nie wiadomo jak piękne zakończenie jednego lipcowego dnia 1976 roku.

Czterdzieści dwa lata później Richard Linklater nakręcił romantyczny film *Przed wschodem słońca*. Kiedy Tekla obejrzała go w kinie, chciała wstać i zacząć krzyczeć, że to nie jest historia Francuzki i Amerykanina, i że akcja wcale nie działa się w Wiedniu. To była ich historia. Tekli i Gaspara, którzy spotkali się zupełnie przypadkowo w jej mieście i chociaż nigdy nie powiedzieli sobie „kocham”, to przecież oboje wiedzieli, że tak właśnie jest. Erotyzm i wzajemna fascynacja mieszały się z nieśmiałością i niepewnością. Te wszystkie gesty, spojrzenia, to jak niechący dotknął jej nogi, kiedy zdejmował z niej białą szpilkę, były cudownymi przerywnikami między rozmową, która zdawała się nie mieć końca. Drobne szczegóły, niewiele znaczące detale miały większą siłę rażenia, niż gdyby od razu poszli do łóżka. On odgarnęła mu grzywkę z czoła, on objął ją ramieniem, kiedy zaczęło robić się chłodniej. Pili kawę z jednej filiżanki, jedli wspólną watę cukrową. On zachwycał się jej ustami, które oranżada ze szklanej butelki zabarwiła na intensywny, czerwony kolor, ona śmiała się z niego, kiedy zafascynowany oglądał urządzenie do podświetlania jajek w miejscowym sklepie spożywczym. Czasem milczeli, ale nawet wtedy stanowili jedność. I te nieśmiałe pocałunki. Ostrożne, żeby nawzajem się nie spłoszyć.

– Na pewno przyjedziesz w grudniu? – spytała, stojąc na peronie i patrząc, jak wsiada do pociągu.
– Dokładnie w Wigilię. Będę czekał o godzinie siedemnastej na Placu Wolności.
– Wielkopolskim.

– No tak, ciągle mi się mylą – roześmiał się jeszcze, a potem wyskoczył na moment z pociągu i z całej siły przycisnął ją do siebie.

Czuła to przytulenie przez kolejnych trzydzieści osiem lat. W ciągu dnia trochę blakło przytłoczone codziennymi sprawami, wieczorami, wraz z pierwszym zamknięciem powiek, powracało wyraziste i silne. I chyba bardzo idiotyczne. Żenująco romantyczne i głupie. Miłość to jednak biologia i chemia. Dopamina wywołuje uczucie euforii, krew szybciej płynie w żyłach,

przyśpiesza tętno. Fenyloetyloamina powoduje ściskanie w dołku, brak tchu. A spadek poziomu serotoniny jest odpowiedzialny za brak koncentracji, chaotyczne działania, problemy ze snem i obsesyjne myślenie o ukochanym. Tylko tyle. I naprawdę nie ma w tym nic pozaziemskiego.



Kandydatów na męża było dwóch. Jednego znalazła jej matka, drugi pojawił się sam i prawie osiągnął sukces. Niestety na drodze stanął im dwudziesty czwarty grudnia, kiedy Tekla bez słowa wyjaśnienia wyszła po południu z domu i wróciła dopiero późnym wieczorem. Zmarznięta, smutna i z miną mówiącą, że „jednak nic z tego nie będzie”.

– Powiedz mi, dlaczego od dziesięciu lat wychodzisz w Wigilię i wracasz w taką pustką w oczach? – spytała ją wtedy matka, a przyjaciel Tekli, po raz pierwszy zaproszony na wigilijną kolację, spojrział zdumiony na swoją przyszłą (taką miał wtedy nadzieję) żonę.

– Od dziesięciu lat? – spytał tylko.

Tekla usiadła na krześle i bez słowa nalala sobie odrobinę barszczu. Miała trzydzieści cztery lata, narzeczonego po prawej i wizję nieudanego małżeństwa przed sobą. Postanowiła skorzystać jedynie z barszczu, który, o dziwo, niezmiennie jej smakował.

– Tak – powiedziała w końcu. – Od dziesięciu. I może się okazać, że będę to robiła przez kolejne dziesięć. Albo i dłużej. I dlatego, mój całkiem sympatyczny, ale jednak nie jedyny Wiktorze, nic z tego nie będzie.

– Z czego? – nie zrozumiał od razu lub próbował odwlec w czasie nieprzyjemną odpowiedź.

– Z nas. Ja po prostu nie mam zamiaru być niczyją żoną. Ani formalnie, ani umownie.

Do Wiktora od razu dotarło, że Tekla nie flirtuje, nie wystawia go na próbę i nie ma stanu napięcia przedmiesiączkowego. Ona po prostu wyprasza go ze swojego życia i to na zawsze.

Matka tylko jęknęła i schowała twarz w dłoniach.

Z radia sączyła się świąteczna pieśń o wielkiej radości, narodzinach Pana i ogólnym triumfie wiary w lepsze jutro.

– Dupa, nie triumf – powiedziała głośno matka Tekli i z wściekłością rozgniotła na talerzu niewinnego pieroga z kapustą i grzybami, a Wiktor zniknął, zanim na stole pojawił się makowiec.

Tekla jak zwykle specjalnie się nie przejęła. Jej pojęcie miłości było zupełnie inne niż ogólnie przyjęta norma. Miłość nie polegała na wspólnym wiciu gniazdka z mężczyzną, na posiadaniu dzieci i dużego psa oraz urządzaniu rodzinnych obiadów w weekendy. Nie zamykała się na dobieraniu zasłon do salonu, na radości ze zdobycia paczki kawy i na wizytach w Centralnej Składnicy Harcerskiej, gdzie kupowało się enerdowskie modele do sklejanania. Jej miłość sprowadzała się do słowa „Gaspar”, bez żadnych wizji przyszłości, ponieważ nie było ich na czym budować. Choć dwudziestego czwartego grudnia 1976 roku Gaspar nie pojawił się w wyznaczonym miejscu, właśnie w tym momencie Tekla zrozumiała, że już nigdy nikogo nie pokocha. I w jej przypadku była to rzeczywiście prawda. Uczucia, które kotłowały się w niej przez ostatnie miesiące, nagle wyparowały, a ona sama poczuła, że nie interesuje ją kompletnie nic.

Kilka godzin później w Polsce doszło do jednej z głośniejszych zbrodni tamtego okresu. We wsi Zrębin dokładnie w Boże Narodzenie w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego grudnia 1976 zamordowano osiemnastoletnią Krystynę w piątym miesiącu ciąży, dwunastoletniego

Mietka oraz dwudziestopięcioletniego Stanisława. Sprawcami okazali się sąsiedzi z tej samej wsi. Jeśli kogoś kompletnie nie obeszła ta wiadomość, to tym kimś była właśnie Tekla.

Bo sama czuła się tak, jakby ktoś popełnił zbrodnię na jej lipcowo zakochanym sercu.

Rozdział 10

SKARPETKI

„Choć przed świętami jesteś okropnie zabiegana i na nic nie masz czasu, spróbuj złapać chwilę oddechu. I zastanów się, w jakim stroju zasiądziesz do wigilijnego stołu. W błyszczącej sukience, eleganckim garniturze czy z modną pelerynką na ramionach?

Projektanci zgodnie twierdzą, że najważniejszy jest detal. Jeśli więc nie masz ochoty kompletować nowej kreacji, zadbaj przynajmniej o jakiś szczegół, który pozwoli ci poczuć się wyjątkowo i świątecznie. Pelerynka to absolutny hit tej zimy”.

Zuzanna parsknęła śmiechem. To niesamowite, na jakich bzdurach skupiają się niektórzy ludzie. Całe Biuro stało na głowie, żeby ustalić przynajmniej niektórych odbiorców świątecznych paczek, gdy tymczasem kolorowe magazyny uznawały brak pelerynki za największe zmartwienie nadchodzących świąt. Trzy minuty później okazało się, że jej własne zmartwienie jest dużo większe, a na dodatek pachniało przemoczonymi skarpetkami i ogólnym wychłodzeniem organizmu.

Dokładnie przeszukała całą torebkę, a nawet wysypała jej zawartość na ziemię. Znalazła stare posklejane cukierki, pamiętające chyba jeszcze czasy liceum, bilet do kina na film *Avatar*, więc też niemalże zabytkowy, kilka długopisów, z których działał tylko jeden, bilet autobusowy z czasów Miasta, kolczyki-wężyki oraz miniaturowy lakier do włosów. Niestety nigdzie nie było kluczy.

„Może zostawiłam je w pracy?” – zastanowiła się Zuzanna i dość szybko odpowiedziała sobie sama, że to niemożliwe. Nie otwierała dzisiaj torebki, nie miała nawet czasu, żeby zaparzyć herbatę, tyle mieli roboty. Dobrze, że nikt nie szukał Mili, zwłaszcza że nawet Aneta włączyła się do dzisiejszej segregacji.

– Czy to jest urna? – spytała z niedowierzaniem, rozpakowując jedną z paczek i zaglądając do środka.

Nie dość, że była to urna, to jeszcze z wygrawerowanym napisem: „Wesołych Świąt!”. Wszyscy zastanawiali się, czy jest to przesyłka przeznaczona dla kogoś, kto jeszcze żyje, czy raczej już dla nieboszczyka.

– Cholera – powiedziała głośno Zuzanna. Mrok powoli skradał się w stronę Miasteczka, jako pierwsze dopadając dachy, które wyglądały, jakby ktoś otulił je szarym kocem.

Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do właściciela. Na szczęście odebrał Rafał.

– Chyba zatrasnęłam drzwi i zapomniałam wziąć ze sobą klucze – powiedziała przeproszającym tonem.

– Mogę być najwcześniej za godzinę.

Dobre i to.

– Dziękuję, będę czekać pod drzwiami.

– Zadzwoń do pani.

Zuzanna usiadła na schodach i poczuła, że jej przemoczone nogi nie mają najmniejszej ochoty z nią współpracować. Choć zaciekle machała palcami, chcąc je chociaż odrobinę rozgrzać, nadal

pozostawały lodowate i mokre.

– Trudno. Zaryzykuję – powiedziała głośno i weszła piętro wyżej.

Za kilka dni są święta, to musi mieć pozytywny wpływ na poziom ludzkiej empatii.

Zapukała stanowczo do drzwi, a kiedy usłyszała dość ciche, ale jednak szuranie, zawołała stanowczym głosem:

– Zanim się dowiem, że mam spierdalać, pragnę pana poinformować, że zapomniałam kluczy i mam przemoczone nogi. Właściciel przyjedzie dopiero za godzinę, dlatego proszę mnie wpuścić i pożyczyć skarpetki.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Co, przepraszam, pożyczyć?

Zuzanna zaczerwieniła się.

– Skarpetki... – wystękała zdecydowanie mniej pewnym głosem niż jeszcze przed chwilą.

Starszy mężczyzna z dwudniowym zarostem, ciemnymi oczami i brązowymi, gęstymi włosami, przetykanymi nitkami srebra, zaśmiał się niskim głosem, w którym nawet dziecko rozpoznałoby nutę szyderstwa.

– Mam tylko pojedyncze egzemplarze.

Zuzanna spojrzała odruchowo na jego prawą nogę, której... nie było.

– Nie szkodzi. Mogą mieć różne kolory – powiedziała odważnie, wychodząc z założenia, że jeśli zacznie przeproszać, starszy mężczyzna z pewnością wyrzuci ją za drzwi. To nie był typ, którego można było kupić uległością i rzewnym głosem.

Miała rację.

– Właz. Daję ci godzinę, po tym czasie, nawet jeśli twój właściciel się nie zjawi, wychodzisz stąd sama, wcześniej oddając mi skarpetki.

Skinęła głową na znak, że się zgadza.

Korytarz był ciemny, ale miał w sobie jakiś urok. Może to za sprawą wiśniowej tapety i starych zegarów, które w zadziwiającej liczbie wisiały na ścianie.

– Czterdzieści siedem.

– O, właśnie chciałam policzyć.

Starszy mężczyzna prychnął.

– Przewidywalność niektórych zachowań jest gorsza nawet od zbyt nudnej konwersacji.

Zuzanna pomyślała, że bezpieczniej będzie milczeć.

Pokój, w którym się znalazła, był piękny i kompletnie nie pasował do ponurego nastroju jego właściciela. Przede wszystkim znajdowały się w nim kwiaty cięte oraz całe mnóstwo urokliwych storczyków, niemal we wszystkich możliwych kolorach. Uśmiechnęła się. Jeśli jakiegokolwiek kwiaty pasowały do tego gburą, to mogłyby to być najwyżej...

– Kaktusy? – wpadł jej w słowo.

Spojrzała na niego z przestraszeniem. Czyżby czytał w jej myślach?

– Lubi pan storczyki? – spytała udając, że nie dosłyszała pytania.

Mężczyzna podał jej dwie wełniane skarpetki (o dziwo, w tym samym kolorze) i wskazał głową fotel. Usiadła, zdjęła przemoczone obuwie, a swoje mokre podkolanówki zwinęła w kulkę.

– Daj – powiedział i wprawnym ruchem rzucił je na kaloryfer.

Rozejrzała się wkoło. Na trzech ścianach pokoju stały ogromne regały z książkami, a na czwartej półki ze storczykami. Wyglądało to urokliwie i bardzo bajkowo.

– Proszę mówić do mnie „panie Stanisławie”.

– Dobrze – kiwnęła głową i wyciągnęła rękę. – Zuzanna.

Oczywiście nie podał swojej, tylko mówił dalej.

– Brakująca odpowiedź na pani pytanie, czy lubię storczyki, brzmi twierdząco. Tak, lubię. I tak, świetnie się na nich znam. Zapewne myśli pani, że kompletnie do mnie nie pasują, ale to błędne rozumowanie. Orchidee są trudne, kapryśne i egoistyczne. Dlatego je właśnie cenię. I dlatego tak dobrze się rozumiemy. I pozwolił pani, że ubiegnę jej kolejne uprzejmości. Proszę nigdy nie przynosić mi własnoręcznie upieczonego ciasta, nie pytać, czy potrzebuję jakiejś pomocy i nie proponować zrobienia zakupów. Nie mam nogi, ale mam całą resztę i dlatego nie muszę korzystać z pomocy osób, którym wydaje się, że dobro zawsze wraca i dlatego na wszelki wypadek od czasu do czasu próbują być mili.

Zuzanna zrozumiała, że pan Stanisław nigdy nie osiągnie statusu zaprzyjaźnionego sąsiada, któremu ona będzie się zwierzać ze swoich sercowych problemów (jeśli ją takie dopadną) i który w razie nieprzewidzianych okoliczności zaopiekuje się Karoliną. Sympatyczni starsi panowie, o twarzy usianej symetrycznymi zmarszczkami dodającymi im uroku, istnieli wyłącznie w filmach lub bardzo infantylnych powieściach dla kobiet. Rzeczywistość dopuszczała brzydotę, złośliwość oraz całkowity brak dobrych chęci.

– Mam lotopałankę karłowatą.

Pan Stanisław zastygł ze zgryźliwą odpowiedzią na końcu języka, a to dlatego, że po raz pierwszy od bardzo dawna go zatkalo.

Zuzanna poczuła przewagę, z której szybko postanowiła skorzystać.

– Najfajniejsze są w niej takie skórne fałdy, rozpostarte po bokach ciała między przednimi a tylnymi łapami. To umożliwia im lot ślizgowy. Mogą w ten sposób pokonać nawet pięćdziesiąt metrów, co oczywiście w moim mieszkaniu na dole nie jest możliwe. Ale i tak nieźle sobie radzi.

– Kompletnie nie wychwyciłem sensu tej informacji.

– Że lotopałanka dobrze lata?

– Że w ogóle informuje mnie pani o posiadaniu latającej wiewiórki. Czy ja wyglądam na miłośnika torbaczy?

Zuzanna pomyślała, że Stanisław wygląda raczej na wielbiciela węży i pajaków, i to najlepiej takich, które uśmiercają innych ludzi.

– Gdybym nic nie mówiła, udławiłabym się ciszą.

– Zbyt duża ilość słów deformuje twarz.

– Ale podobno milczeć można wyłącznie w towarzystwie osoby, która milczy podobnie do nas.

Pan Stanisław uniósł wysoko brwi.

– Sugeruje pani, że milczymy różnie?

– Pana milczenie mogłoby mnie zadusić. A ja przecież muszę wracać do siebie i przygotować kolację. No i jutro rano powinnam stawić się w pracy.

– Pewnie Biuro Przesyłek Niedoreczonych? I co? Myśli pani, że jak odnajdzie w porę odbiorcę laleczki, misia lub nowych butów, to zbawi pani tym samym świat?

Spojrzała na niego ponuro.

– Świat nie, ale może komuś ulepszyć święta.

Prychnął.

– Szkodniki, które atakują orchidee, to przedziorki, wełnowce, wciornastki i tarczники, czyli małe pasożyty atakujące liście, kwiaty, podłoże i łodygi. Wśród ludzi tych pasożytów jest taka ilość, że naprawdę jeden dobry uczynek niczego nie zmienia na dłuższą metę.

– Zrobi mi pan herbaty?

Drgnął, po raz kolejny mocno zaskoczony.

– Nie będziesz ze mną polemizować na temat ludzkich pasożytów i przekonywać mnie, że świat jest piękny?

– Z cytryną?

Wstał, chrząknął coś pod nosem i wspierając się na kulach poszedł do kuchni.

Początkowo chciała mu pomóc, uznała jednak, że mogłoby to się dla niej tylko źle skończyć.

Kiedy wypila herbatę do końca, zabrzączał jej telefon.

– Czekam na dole – powiedział Rafał, a ona zdziwiła się, że ta godzina tak szybko minęła.

– Następnym razem pani nie wpuszczę – powiedział pan Stanisław na do widzenia.

– Jasne. Ale trochę szkoda, bo chętnie popatrzyłabym na pana storczyki. Zwłaszcza dendrobium bardzo mi się podoba.

Zaśmiał się.

– Dendrobium? Przypadkowo znała pani nazwę czy szybko sprawdziła w komórce?

Zuzanna posłała mu słodki uśmiech, na widok którego natychmiast się skrzywił.

– Nazwa tego storczyka pochodzi od greckich słów *dendron* – drzewo i *bios* – życie, czyli „mieszkający na drzewie”. Ma on podługne, lancetowate liście od ośmiu do piętnastu centymetrów długości. Kwiatostany są zwykle łukowato wygięte lub poziome, ale mogą być też zwisające. Kwiaty mają różne rozmiary i barwy. Jeśli nie są narażone na kontakt z wodą, utrzymują się miesiącami, tak więc optymalnie uprawiana roślina potrafi prawie stale kwitnąć. Moja babcia kocha storczyki.

– Żegnam panią – powiedział oschle Stanisław, a ona postanowiła, że skarpetki, które jej pożyczył i które ciągle miała na nogach, odda mu następnym razem. Bez względu na poziom jego niechęci.

Rozdział 11

POCZTÓWKA DŹWIĘKOWA

Gaspar stanowił nieodłączną część swojej apteki. Był nie tylko doskonale zorientowany w najnowszych lekach, ale także dodatkowo pasjonował się ziołolecznictwem oraz medycyną naturalną, którą chętnie wspomagał różne dolegliwości. Ufał specjalistom od pigułek, ale ufał też naturze, a przede wszystkim swojemu instynktowi. Doradzał, odradzał i zawsze znajdował złoty środek.

– Mogę oprócz tych leków pić herbatkę z krwawnika? – Takich pytań zadawano mu dziesiątki i za każdym razem cierpliwie tłumaczył co dla kogo i w jakich proporcjach.

Mila stanęła pod ścianą i z przyjemnością słuchała jego spokojnego głosu.

– Pani Mario, Polacy znajdują się na drugim miejscu w Europie w spożyciu leków pochodzenia roślinnego i z jednej strony jest to dobre, z drugiej niestety trzeba wiedzieć, że większość z nich aplikujemy sobie sami, wychodząc z błędnego założenia, że naturalny produkt nie może być szkodliwy. Pierwszym i podstawowym błędem jest mieszanie ziół z lekami. To wyjątkowo niebezpieczne, ponieważ zioła mogą zmienić działanie leków – wzmocnić lub osłabić zaleconą dawkę i wywoływać szkodliwe działanie zapisanego lekarstwa. Dlatego cieszę się, że pani pyta; proszę pytać zawsze i o każdej porze. Nie wybaczyłbym sobie, gdyby pani coś zaszkodziło.

Pani Maria niemal natychmiast poczuła się zdrowa.

– Jeśli zaś chodzi o krwawnik, to proszę to najpierw skonsultować ze swoim lekarzem. To zioło rzeczywiście działa oczyszczająco i odtruwająco, a także przeciwdziała kumulowaniu się złogów i tworzeniu kamieni w nerkach oraz woreczku żółciowym. Ale nie wiem, na ile pani stan zdrowia pozwala rezygnować z leków.

Pani Maria obiecała, że wszystkiego się dowie, a potem wróci do niego z podziękowaniem oraz domową roladą z królika.

– W czym z kolei mogę pani pomóc? – tym razem Gaspar zwrócił się bezpośrednio do Mili. – Cudowny szalik – dodał natychmiast.

To fakt. Cytrynowy szal z angory rozświetlał nawet najbardziej pochmurne popołudnie. Idealnie komponował się też z żółtą czapeczką ozdobioną niebieskim piórkiem.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Mila. – Ja w zasadzie nie po poradę aptekarską, tylko w zupełnie innej sprawie. Choć muszę przyznać, że z zachwytem wysłuchałam pana opowieści o krwawniku. Sama kocham zioła. No, ale wróćmy do tematu. Powiedziano mi, że pan zna wielu ludzi, a ja szukam pewnego chłopca. Wiem tylko, że jest chory, ma na imię Michał i mieszka w Wilczych Dołach, tyle że ulica lub numer domu, pod którym go szukałam, nie zgadzają się.

Gaspar spojrział na kopertę.

– Klasyczna pomyłka. Ulica Brwinowa już nie należy administracyjnie do Wilczych Dołów, choć większość ludzi nadal tak uważa, bo w zasadzie łączy dwie miejscowości. Ta druga to Wilczyna. I jeszcze jedno – numer siedem, a nie jeden. A Michała znam.

Mila aż podskoczyła.

– Naprawdę?

Kiwnął głową.

– Kardiomiopatia przerostowa.

– Nie rozumiem...

– To taka choroba serca polegająca na występowaniu samoistnego, zwykle asymetrycznego przerostu lewej komory serca. Ten mały chłopczyk ma po prostu za duże serce i leki powoli przestają działać. Rozmawiałem ostatnio z jego rodzicami, lekarze niestety nie wykluczają operacji.

Mila pomyślała, że po powrocie będzie musiała poważnie porozmawiać z Anetą i zmusić ją do zrezygnowania z zakazu czytania cudzych listów. To było bardzo błędne rozumienie etyki. Gdyby Mila w porę nie przeczytała listu, Michał nigdy nie dowiedziałby się, że Pisarz stworzył dla niego osobistą baśń. A tak ciągle istniała szansa, że zdąży z listem przed świętami.

– Ogromnie panu dziękuję – uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Zaraz tam pojadę.

– Coś ważnego? – spytał zaciekawiony.

– Mam dla niego list. List, który nie dotarł, bo był zaadresowany na Wilcze Doły.

– I zamiast Michała znalazła pani pod tym adresem przemiłą, acz odrobinę głuchą staruszkę?

– Zgadza się.

Kiwnął głową.

– To dobrze, że wysłała panią do mnie. W Wilczynie proszę kierować się na kościelną wieżę, a kiedy zobaczy pani świątka udekorowanego balonami, proszę skrócić w prawo. I pierwszy, taki niewielki, żółty dom, to będzie właśnie dom Michała.

Uradowana Mila chciała natychmiast jechać do Wilczyny, ale na moment odwróciła się jeszcze i spytała z zaciekawieniem:

– Dlaczego balonami?

Gaspar zaśmiał się wesoło.

– Jakieś dziecko we wsi wymyśliło, że świątek ma urodziny. Zanieśli mu balony, posypali konfetti, odśpiewali *Happy Birthday*, a w prezencie przynieśli krawat.

Mila ze zrozumieniem pokiwała głową. Poważny prezent.

Największą zaletą Gaspara była bezinteresowność oraz szczerą chęć sprawiania przyjemności innym. Ta cecha nie wyparowała z niego nawet wtedy, gdy wdepnął obiema nogami w dorosłość i zaczął potykać się o niemiłe przeszkody. I kiedy po raz kolejny nie spotkał Tekli w Wigilię. Uznał jednak, że to tylko chwilowa przerwa w ich miłości, którą z pewnością pewnego dnia sobie wyjaśnią. A potem już nigdy się nie rozstaną. I choć straszliwie za nią tęsknił, nie chciał zapaskudzić sobie życia niechęcią wobec innych, zamknięciem się w sobie i żalem, który chlupałby w jego ciele niczym woda w kaloszach.

Uśmiechnął się.

To niesłychane, jak jedno spotkanie może odmienić czyjeś życie. I dać stuprocentową pewność, że właśnie udało się odnaleźć brakujący kawałek siebie. Jakieś sto lat temu, na obozie w Białce Tatrzańskiej wydawało mu się, że kocha Tamarę. Pomieszkiwali wtedy na tak zwanych kwaterach prywatnych, spali po siedmiu w jednym pokoju, w którym unosiła się woń młodzieńczej pasji do gór, pomieszana z zapachem skarpetek ze sztucznych włókien i pierwszej miłości do dziewczyny, śpiącej trzy kwatery dalej z kilkoma znacznie mniej ładnymi koleżankami. W miłości owej przodował wprawdzie Tomasz, choć Gaspar też ukradkiem zerkał na Tamarę, zwłaszcza gdy ta kąpała się w pobliskim potoku i śmiała perliście niczym bajkowa syrenka. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, że to właśnie ta jedyna. Tamara zdawała sobie sprawę z własnego uroku, dlatego

nie odpowiadała na żadne konkretne zaloty, słusznie rozumując, że tym samym zamknęłyby sobie drogę do innych męskich westchnień. Obóz zbliżał się jednak ku końcowi i jakiegoś wyboru należało dokonać. Gaspar postanowił w końcu wycofać się z pola bitwy i pomóc swojemu koledze z kwatery.

– Ona kocha Halinę Kunicką, podobno powiesiła sobie nad swoim łóżkiem jej plakat – doniósł pewnego dnia Tomaszowi, ale z asem w rękawie jeszcze chwilę zaczekał.

Tomasz spojrział na niego z tłącą się wdzięcznością w oczach i instynktownie czekał na ciąg dalszy. Gaspar postanowił dłużej go nie męczyć.

– Masz – wręczył koledze mały niebieski prostokącik.

Tomasz aż się zachłysnął podziękowaniem, więc tylko coś wybełkotał skotłowanym językiem. Nic dziwnego. Gaspar podarował mu pocztówkę dźwiękową z piosenką Kunickiej. Jeszcze tego samego dnia Tamara dokonała wyboru i przy wieczornym ognisku usiadła obok Tomasza, a potem ostentacyjnie oparła swoją głowę o jego ramię. Odgłosy strzelających polan zmieszały się z jakąś smętną piosenką, pękającymi sercami i jękiem poniżenia. Tylko Gaspar cieszył się, że tak łatwo uszczęśliwił kolegę. Kiedy po latach zobaczył Teklę walczącą z zaklinowanym obcasem, zrozumiał, że wtedy w Białce Tatrzańskiej dokonał najlepszego wyboru, rezygnując z walki o Tamarę. Bo to Tekla była mu przeznaczona.

Rozmyślenia przerwał dzwonek zawieszony nad drzwiami.

– Proszę pana, potrzebuję pomocy.

Gaspar przybrał poważny wyraz twarzy. Zawsze tak robił, kiedy z problemami przychodzili jego najważniejsi klienci. Średnia wieku – pięć.

– Chodzi o to, że nie lubię szpinaku, a mama każe mi go jeść, bo ma żelazo. I ja właśnie dlatego go nie lubię. A mama mówi, że muszę polubić ze względu na żelazo. Którego nie lubię.

Gaspar wyszedł zza lady i przycupnął przed małym chłopcem.

– To nie do końca prawda z tym żelazem...

– Jak to? – przerwała mu kobieta, która najwyraźniej była mamą kilkulatka nienawidzącego szpinaku i jednocześnie osobą mocno wytraconą z równowagi. Szpinak to przecież marynarz Popey, który swoją moc czerpał z puszek ze szpinakiem bogatym w żelazo. Wszyscy to wiedzieli.

Gaspar postanowił zostać pogromcą tego najsłynniejszego medycznego mitu i wyjawić w końcu prawdę.

– To chyba jedna z najbardziej znanych literówek w historii medycyny. W 1890 roku jeden z amerykańskich naukowców prowadził szczegółowe badania nad szpinakiem. Jego asystentka zamiast wpisać w raporcie, że sto gramów tego warzywa zawiera trzy miligramy żelaza, pomyliła się i napisała trzydzieści. No i dzięki jej pomyłce szpinak zyskał sławę nadzwyczaj zdrowego.

– Nie jest zdrowy? – wyszeptła przerażona kobieta.

– Jest. Ale nie dlatego, że posiada żelazo. Szpinak to potas, kwas foliowy, przeciwutleniacze i całe mnóstwo innych rzeczy, o których jednak nie radzę wspominać synkowi. Przynajmniej nie w tym wieku.

– Nie ma w nim żelaza? – spytał uradowany chłopiec.

Gaspar uznał, że na wszelki wypadek nie wspomni nawet o tych małych ilościach.

– Nie. Ale kto je szpinak, w przyszłości będzie bardzo mądry.

– Lubię pana. Co pan chce dostać pod choinkę?

Gaspar spojrział na chłopca.

– Coś bardzo dla mnie ważnego. Ale to nie jest rzecz. To raczej ktoś, kogo chciałbym spotkać.

– Spełni się – chłopiec kiwnął uroczyście głową i chwycił mamę za rękę. Nadal była bardzo blada,

zupełnie jakby wieści o szpinaku wypłukały z jej organizmu całe żelazo.

Spełni się. Dwa proste słowa wypowiedziane ustami małego chłopca. Nigdy nie wiadomo jednak, co jest tylko obietnicą, a co przepowiednią.

Rozdział 12

LISTY

Skarpetki zostały wyprane w proszku o delikatnym zapachu wiosennej łąki, choć Zuzanna była gotowa przysiąc, że łąka pachnie zupełnie inaczej. Najważniejsze jednak, że były czyste i musiały w końcu wrócić do właściciela. Podobnie zresztą jak jej własne podkolanówki, które spoczęły na kaloryferze pana Stanisława i prawdopodobnie nadal tam leżały. Zapomniane, choć suche. Początkowo Zuzanna chciała wziąć ze sobą kilka rogalików od Macieja, w porę jednak przypomniała sobie słowa starszego pana, żeby nigdy nie odważyła się odwiedzić go z ciastem. To chyba rzeczywiście nie był najlepszy pomysł. Poza tym nie szła z pustymi rękami.

Miała skarpetki.

Kiedy zapukała do drzwi, niemal natychmiast usłyszała niecierpliwy głos pana Stanisława.

– Nie wierzę. To znowu pani?

– Skąd pan wie?

– Po pierwsze, nikt inny nie odważyłby się tu przyjść wcześniej nieumówiony, a ponieważ ja się z reguły nie umawiam, więc tym samym lista gości zdecydowanie się zawężyła. Po drugie, puka pani w dość charakterystyczny sposób.

Zuzanna zdziwiła się.

– To znaczy?

– Typowe *crescendo*, czyli stopniowe wzmacnianie natężenia dźwięku. Zupełnie jakby ktoś krzyczał: „No, dalej, przecież wiem, że tam jesteś!”.

– Bo jest pan.

– Zawsze jestem. Natomiast nie rozumiem, po co pani znowu przylazła.

– Chciałam tylko oddać skarpetki i zabrać swoje.

Stanisław najwyraźniej przeżuwał tę informację, gdyż na kilka sekund zapadła cisza, a następnie po prostu otworzył drzwi.

Zuzanna próbowała zmiękczyć go uśmiechem, ale mężczyzna był wyjątkowo odporny na takie zabiegi.

– Leżą na kaloryferze. Brać i wyjść.

Dziewczyna pokręciła głową i pomyślała, że Stanisław zdecydowanie nie wygrałby w konkursie na Dziadka Roku.

– Pan w ogóle kogoś lubi? – spytała nagle i aż zasłoniła sobie usta ręką. Teraz to już na pewno ją stąd wyrzuci.

– Tak. Dzieci.

Zuzannę zatkało. Po pierwsze dlatego, że w ogóle jej odpowiedział, a po drugie, bo nie tego się spodziewała.

– Dlaczego akurat dzieci?

Wzruszył ramionami.

– Bo nie śmierdzą.

– No wie pan! Ja też nie śmierdzę!

Stanisław złośliwie się zaśmiał.

– Pani tylko chwilowo ukryła autentyczny zapach swojego ciała. Ukryła pod mydłem, szamponem, kremem i dezodorantem. Dziecko tego nie musi robić, a wie pani dlaczego? Zapachowe różnice między dorosłym a dzieckiem wynikają ze złożonych interakcji między gruczołami skóry, wydzielinami ciała i aktywnością bakterii. Aktywność gruczołów łojowych, uwalniających złożoną mieszaninę lipidów i kwasów tłuszczowych w młodym wieku jest niewielka. Dlatego właśnie dziecko pachnie. Naturalnie. Sobą. A dorosły człowiek śmierdzi. I już.

Zuzanna odruchowo pociągnęła nosem.

– Pójdę już – powiedziała w końcu.

Stanisław klasnął w dłonie.

– Cudowny pomysł!

Odwróciła się i spojrzała na niego odważnie.

– Ale nie obiecuję, że nie wrócę.

– Po prostu nie otworzę pani drzwi.

– Zobaczymy jeszcze – kiwnęła mu głową i wyszła, machając suchymi skarpetkami na do widzenia.



Chwilę później rozejrzała się po swoim pokoju i pomyślała, że przydałby się tu mały remont. Co prawda właściciel ostrzegwał, że mieszkanie dawno nie było malowane, ale wtedy jakoś jej to nie przeszkadzało. Teraz jednak poczuła ogromną ochotę, aby dopaść te brudnobeżowe ściany i za pomocą pędzla trochę je odświeżyć. Zawsze kiedy była zdenerwowana, zła albo dopadały ją ponure myśli, rzucała się w wir porządków, a wraz z wyrzucaniem kolejnych szpargałów sprzątała też we własnej głowie. Starszy pan okropnie ją zdenerwował. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś może z własnej woli być tak zgryźliwy i złośliwy, i to tylko dlatego, że nie ma nogi. Owszem, wielokrotnie słyszała o ludziach, którzy stawali się zgorzkniali, bo nie potrafili poradzić sobie z własnym kalectwem, ale pan Stanisław zdecydowanie był najgorszym z możliwych przykładów.

Usiadła na kanapie, podkurczyła nogi i pogłaskała za uchem wylegującą się Karolinę, która dzisiaj była wyjątkowo spokojna. Spojrzała na stosik książek, leżących na stole i zatrzymała wzrok na seledynowej kopercie, wystającej z jakiejś romantycznej, nudnej i bardzo niezyciowej powieści.

Przygryzła wargę i sięgnęła po telefon. Jakaś część podświadomości już pozwoliła jej otworzyć list, ale chciała się jeszcze upewnić.

– Miła?

– Jadę właśnie do Wilczyny. Wyobraź sobie, że rzeczywiście zaszła tu pomyłka i chłopiec mieszka dosłownie wioską obok. Jestem taka szczęśliwa, że zaraz przeczytam mu ten list! No i bajkę! Cieszę się, że w tym przypadku tak dobrze zadziałał rachunek prawdopodobieństwa.

– Nie rozumiem.

– Jaką mamy szansę, że dzisiaj jest niedziela?

– No, żadną, bo jest czwartek.

– Ale tak teoretycznie?

– Jedną do siedmiu?

– No właśnie. Chodzi o to, że zawsze istnieje szansa zaistnienia określonego zdarzenia, tylko czasem trzeba w tym wziąć udział i odrobinę pomóc losowi.

Zuzanna uśmiechnęła się i doszła do wniosku, że już nie musi pytać o pozwolenie odczytania błękitnego i seledynowego listu. Aneta nie miała racji, wymyślając te reguły, a ich Biuro funkcjonowało przecież po to, by czasem osiągnąć niemożliwe.

Nie wiem, czy w tym roku przyjdę. Po raz pierwszy od trzydziestu ośmiu lat, nie wiem.

Odważnie weszłam w nowy rok i chociaż znowu nie spotkałam Cię w Wigilię, czułam, że może jednak ciągle nie wszystko jeszcze stracone. Pomyślałam, że jeśli będę optymistycznie patrzeć przed siebie przez kolejne miesiące, to w końcu Cię zobaczę.

I wtedy to się stało. Osiemnastego stycznia miałam wylew i przestałam ruszać nogami.

Bajki to są naprawdę tylko bajki i nic więcej. Nie przenikają do świata prawdziwych ludzi, nie odmieniają im życia i nie zabierają problemów. A jeśli nie będę już nigdy chodzić?

A jednak dopada mnie strach, że jeśli nie pojawię się w Wigilię w naszym umówionym miejscu, to wszystko przekreślę. Z drugiej strony, jak mam Ci się pokazać na wózku?

I dlaczego ja ciągle tak bardzo za Tobą tęsknię?

T.

Zuzanna upuściła seledynowy papier listowy i niemal natychmiast rozerwała błękitną kopertę, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego tak bardzo trzęsą jej się ręce.

Niewiarygodne, ile rzeczy wydarzyło się przez ostatnich trzydzieści osiem lat! W tym czasie Chiny wznowiły sprawowanie suwerennej władzy nad Hongkongiem i Makau, stworzyły też Szanghajską Organizację Współpracy i posadziły blisko trzydzieści pięć miliardów drzew. Pisma ekonomiczne donoszą, że wskaźnik biedy absolutnej na świecie spadł z trzydziestu jeden procent do dwudziestu czterech. W Polsce liczba dzieci z nadwagą wzrosła trzykrotnie, a w biologii molekularnej zawrotną karierę zrobiło promieniowanie synchrotronowe. W zasadzie mógłbym tak wymieniać bez końca. Chemia, fizyka, biologia, matematyka – niemal w każdej z tych dziedzin doszło do jakiejś rewolucji.

I tylko dwoje ludzi mieszkających w tym samym kraju, mówiących tym samym językiem, jakoś nie może się spotkać...

Chciałbym napisać, że znowu będę czekał. Jak zawsze. Jak co roku.

Ale...

Ale może najwyższa pora się pożegnać? Zobaczyć, jak będzie wyglądał świat, jeśli ten jeden, jedyny raz nie przyjdę? Usiąść spokojnie do Wigilii z córką, bez tego szamotania się, poszarpanej nadziei, wiatru w oczach i gnienienia w sercu? Skończyła mi się niebieska papeteria. Nie mam więcej niebieskich kartek ani niebieskich kopert. Czy to jest jakiś znak?

Tekla, czy Ty mnie w ogóle jeszcze pamiętasz?

G.

Następnego dnia Zuzanna zrobiła coś, co w każdej innej sytuacji można byłoby nazwać wykroczeniem. Ale ponieważ wiedziała, że czasem trzeba nagiąć prawo, by mogło wydarzyć się coś dobrego, postanowiła zaryzykować. Do pracy przyszła nieco wcześniej niż inni, nawet Maciej zdziwił się, że w takim pośpiechu pije kawę, i niemal natychmiast poszła do pokoju Mili. Przekreśliła kluczyk w drzwiach i dokładnie się rozejrzała. W kartonach i plastikowych skrzyniach

leżały posegregowane listy, podobnie zresztą jak na półkach. Otworzyła górną szufladę, potem kolejne i wreszcie jej wzrok padł na granatowe pudełko, stojące na samej górze regału.

Rachunek prawdopodobieństwa dawał dużą szansę, że to musi być to, czego szukała.

I było. Trzydzieści siedem błękitnych kopert i tyle samo seledynowych. Rozerwała pierwszy list, który wpadł jej w ręce.

Mija kolejny rok. W październiku Wenus została zasłonięta przez Księżyc i tak sobie pomyślałem, że może Ciebie też ktoś mi zasłonił? Może stało się coś, przez co nie mogę Cię odnaleźć i tak stoję jak ten dureń na Placu, a Ty może jesteś gdzieś obok, tylko kompletnie dla mnie niewidoczna?

W tym roku będę się bardzo uważnie rozglądał. Będę chodził i zaczepiał ludzi, i pytał o Ciebie. A może pomyliłem godziny? Przyjdę więc już o szesnastej i poczekam do samego wieczora.

Ty wiesz, że ja nawet polubiłem te nasze Wigilie? Tylko tak bardzo chciałbym już wziąć Cię za rękę. A nie tylko to sobie wyobrażać...

G.

I następny...

Podobno Włosi od stuleci kultywują tradycję noszenia podczas sylwestrowej nocy czerwonej bielizny. Ma im to zapewnić powodzenie w miłości w nadchodzącym roku. Również Wenezuelczycy zakładają w sylwestrową noc czerwone dessous po to, by w nowym roku znaleźć życiowego partnera. Zresztą kolor czerwony od wieków uważany jest za kolor przynoszący szczęście i obfitość. Już w starożytnych Chinach czerwień była kolorem radości, powodzenia i miłości, dlatego podczas ceremonii ślubnych panny młode zakładały czerwone suknie.

Zgadnij...

Tak, w tym roku będę ubrany cały na czerwono. Po tym mnie rozpoznasz, bo możliwe, że od naszego ostatniego razu odrobinę się postarzałem. Wypatruj więc czerwonego faceta (tylko nie pomył mnie ze Świętym Mikołajem!), z czerwoną czapką, w czerwonym szaliku i pewnie też z czerwonym nosem. Czerwień podobno przeciwdziała melancholii, depresji, smutkowi, a nawet letargowi. Ja wpadam w letarg każdego roku, a dokładnie dwudziestego piątego grudnia, kiedy już wiem, że muszę czekać na Ciebie kolejne trzysta sześćdziesiąt cztery dni.

Ale będę czekał.

Bo jesteś Moja.

G.

Zuzanna poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nigdy nie lubiła romansów, a już całkowicie gardziła książkami, w których jedynym problemem było to, czy on ją w końcu pocałuje, a ona potwierdzi, że go kocha. Związek jej rodziców był najlepszym dowodem na to, że ludzie nie są monogamiczni z natury i że wystarczy inny zapach, by odwrócili głowę. Tak zrobił jej ojciec. A potem poszedł za tym zapachem i tyle zostało z romantycznych przysięg. Wyczytała kiedyś, że mężczyźni zdradzają, bo tak są zaprogramowani, bo mają w sobie wrodzony, prymitywny zew łowcy. Kiedy wchodzi do tramwaju, sklepu czy lokalu, automatycznie lustrują wszystkie kobiety. Ich wierność jest relatywna – odchodzą wtedy, kiedy w związku jest źle. Interpretacja „złego związku” jest oczywiście dowolna i nieskończenie pojemna. Poczucie winy? Jeśli ktoś pali, to pali, a nie myśli o tym, że będzie miał raka.

A jednak historia Gaspara i Tekli porządnie ją wzruszyła. Zupełnie jakby nie obchodziły ich statystyki, dane, opinie psychologów i socjologiczne podejście do tematu wierności. Oni byli sobie

wierni. Od trzydziestu ośmiu lat.

Sięgnęła po seledynową kopertę.

Zauważyłam, że od kilku lat systematycznie staję się nerwowa, gdy tylko zbliża się listopad. Myślałam, że ma to związek z pogodą, z brakiem słońca, z melancholią za oknem i duszącym kolorem szarego nieba. Ale to nie to...

Ja po prostu czuję już zapach dwudziestego czwartego grudnia, zapach nadziei, ale i rozczarowania. Podobno jakiś amerykański psychoterapeuta wpadł na pomysł, jak nerwowość i złe samopoczucie przemienić domowymi sposobami w pozytywne efekty. Tuż po przyjsciu do domu należy zdjąć buty, stanąć boso w lekkim rozkroku i ręce opuścić wzdłuż ciała. Najlepiej jeśli nasza podłoga jest kamienna, jeśli nie – wystarczą kafelki w łazience. Przez dwie, trzy minuty należy wyobrażać sobie, że znajdujemy się w całkowitym odosobnieniu, że nie mamy żadnej pracy i nie musimy robić obiadu. Że nie trzeba płacić żadnych rachunków, ani przejmować się ewentualnymi wymówkami szefa. Że nie spotka nas nic złego. Że życie płynie tak, jak chcemy. Całkowite wyluzowanie i oddalenie od siebie natrętnych myśli.

I wiesz co?

Nigdy mi się nie udało.

Bo tęsknoty nie da się zagłuszyć żadną kamienną terapią.

T.

Rozdział 13

RACHUNEK PRAWDOPODOBIEŃSTWA

„Niech Ω będzie skończonym wzorem wszystkich zdarzeń elementarnych. Jeżeli zajście każdego zdarzenia elementarnego jest jednakowo prawdopodobne, to prawdopodobieństwo zajścia zdarzenia $A \subset \Omega$ jest równe:

$$P(A) = \frac{|A|}{|\Omega|}$$

gdzie $|A|$ oznacza liczbę elementów zbioru A , zaś $|\Omega|$ – liczbę elementów zbioru Ω ”.

Oczywiście rachunek prawdopodobieństwa polega na tym, że eksperyment należy powtarzać.

Mila usiadła na pniu, chuchnęła w zmarznięte ręce i popatrzyła na pusty, żółty dom. Cały problem polegał właśnie na tej pustce. Czekala już trzecią godzinę i nic nie wskazywało na to, że ktoś się w końcu pojawi. Prawdopodobieństwo, że akurat teraz wyjechali z chorym dzieckiem, wydawało jej się znikome, ale najwyraźniej matematyka lubi czasem płatać figle. Obeszła dom raz jeszcze, postukała w szyby, spróbowała zajrzeć do środka. Firanki były dość gęste i Mila nie dała rady przebić się przez nie wzrokiem.

Chciała nawet zakląć pod nosem, ale przypomniało jej się, że akurat ona nie powinna używać brzydkich wyrazów.

– Nie ma ich – dobiegło ją w końcu.

No tak. Czyli jednak wyjechali.

Spojrzała na starszą kobietę, wracającą najwyraźniej z zakupów, na co wskazywała ciężka siatka, z której wystawał rybi ogon. Dobrze przynajmniej, że się nie ruszał.

– Pani to krewna?

Mila zaprzeczyła.

– Nie, ale mam coś dla Michała. To bardzo ważne, dlatego muszę go koniecznie zobaczyć.

– Nie ma szans. Pojechali na operację i nie wiem, czy wrócą przed świętami. Zresztą święta im teraz nie w głowie. Ten mały ma chore serce i nie wiadomo, co będzie.

Mila zagryzła wargi. To po prostu niemożliwe, że się spóźniła!

– A dokąd wyjechali, zna pani adres?

Starsza pani przełożyła siatkę do drugiej ręki i pociągnęła nosem.

– Do Warszawy. Tyle wiem.

– A szpital? Który to szpital?

– Nie mam pojęcia. Oni w ogóle dużo nie mówili, tyle, że mały dostał szansę. A potem się

spakowali i od wczoraj ich nie ma.

– Od wczoraj? – Mila jęknęła. Do dupy z tym rachunkiem prawdopodobieństwa. Zawsze kiedy obstawisz czarne, wyskakuje czerwone.

– A może ktoś inny wie, ktoś z sąsiadów?

– A pani to krewna?

– No mówiłam już, że nie.

– To proszę poczekać, aż wrócą i przyjechać za jakiś czas. Jak się uda, to mu wtedy pani da ten prezent, a jak się nie uda... to... nie będzie komu dać – stwierdziła niby logicznie, ale jakoś tak nieudolnie.

Mila rzuciła ostatnie spojrzenie na żółty dom i postanowiła, że tak łatwo się nie podda.



Planowanie remontu najczęściej kojarzy się z bałaganem, chaosem i stertą rachunków do zapłacenia. Zuzanna postanowiła zatem uniknąć planowania i natychmiast przejść do rzeczy.

– Ale rozumiem, że chce pani za to sama zapłacić? – upewnił się Rafał, kiedy zadzwoniła do niego z propozycją odnowienia mieszkania.

– Tak. Wiem, że tego nie ma w umowie, dlatego absolutnie nie domagam się niczego z państwa strony. Po prostu chciałabym pomalować ściany i może zawiesić jakieś dodatkowe półki.

– A kolor? Bo jeśli to miałby być jakiś ciemny fiolet albo nie daj Boże czarny, to chyba muszę najpierw zapytać ojca.

Zuzanna roześmiała się.

– Myślałam o bardzo rozmytej brzoskwini.

– Jak bardzo rozmytej?

– Bardzo. W zasadzie to byłaby morela ze śmietaną.

Rafał zastanowił się przez chwilę.

– Brzmi dość jasno, myślę, że nie ma problemu, a ojciec z pewnością nie zauważy różnicy między dotychczasowym beżem a morelą.

Jeszcze tego samego dnia Zuzanna kupiła farby, pędzle, wałek oraz cudowną, białą półkę na książki w kształcie ślimaka. Leżała porzucona w jedynym w Miasteczku sklepie meblowym, wśród rzeczy przecenionych, całkowicie pozbawiona nadziei, że komuś jeszcze mogłaby się spodobać. Po południu Zuzanna zabrała się do roboty, kompletnie ignorując upływający czas. W głowie układała sobie plan działania.

Po pierwsze – oni muszą się spotkać.

Po drugie – Tekla musi chcieć przyjechać na spotkanie, nieważne czy na wózku, czy o kulach, czy z pomocą trzeciej osoby. Gaspar też musi chcieć, mimo braku niebieskich kopert

Po trzecie – trzeba odnaleźć Teklę

Po czwarte – trzeba odnaleźć Gaspara.

O ile cztery pierwsze punkty brzmiały w miarę jasno i sensownie, o tyle przy kolejnych Zuzanna uświadomiła sobie, że brakuje jej czasu, adresów i paru innych danych, które sprawiłyby, że całość zakończy się wigilijnym *happy endem*. Musiałyby też wziąć urlop, przynajmniej na jeden dzień, a szanse na to, że Aneta zrezygnuje przed samymi świętami z pomocnej pary rąk, były naprawdę niewielkie.

Wieczorem postanowiła przeczytać wszystkie listy i ustalić, co się takiego stało, że ta dwójka od tyłu lat nie może się spotkać. Listy nie były ponumerowane, nie widniały też na nich żadne daty, dlatego należało przeczytać wszystkie i mniej więcej ułożyć je chronologicznie. Gdzieś przecież musiała kryć się odpowiedź. Zarówno Gaspar, jak i Tekla przez trzydzieści osiem lat żyli nadzieją, że w końcu się spotkają. Nie zapomnieli ani o sobie, ani o tych paru godzinach w lipcu 1976 roku, więc coś innego musiało im przeszkodzić.

Karolina przefrunęła z szafki na kanapę i z zainteresowaniem przyglądała się pracującej Zuzannie. Co prawda wspólna zabawa byłaby znacznie bardziej pasjonująca, ale walek tańczący po ścianie i zmieniający jej kolor na apetyczny pomarańcz również wydawał się ciekawy. Poza tym podobał jej się zapach farby. O godzinie dwudziestej drugiej pokój był skończony, a Zuzanna wykończona. Padła na fotel i zamknęła oczy.

– Chyba dzisiaj zrezygnuję z prysznic – powiedziała głośno i niemal natychmiast zerwała się na równe nogi.

Jak on to powiedział? „Aktywność gruczołów łojowych, uwalniających złożoną mieszaninę lipidów i kwasów tłuszczowych w młodym wieku jest niewielka. Dlatego właśnie dziecko pachnie. Naturalnie. Sobą. A dorosły człowiek śmierdzi”.

Zuzanna uznała, że należy jednak oczyścić własne gruczoły łojowe i naturalny zapach potu zastąpić kwiatem paczuli. Nie da panu Stanisławowi tej satysfakcji i nie będzie śmierdzieć.

Zapach zielonego jabłuszka będzie mnie już zawsze prześladować. Tak pachniały Twoje włosy i ja nadal to pamiętam.

A wiesz, że ja uwielbiam jabłka pod każdą postacią? Podam Ci przepis na sos, który dostałem od mojej babci. Mówi, że uwiode nim każdą dziewczynę. Nie muszę każdej, wystarczy, jeśli Ty się mną zachwycisz. Mną i sosem.

Pokrojone na kawałki jabłka wraz ze skórką (ale bez gniazd nasiennych) zalewamy wodą tak, aby je lekko przykrywała. Możemy też dodać szklankę czerwonego wina. Gdy owoce się rozgotują, przecieramy jabłka przez sito, dodajemy sok, który powstał w czasie gotowania, oraz kilka łyżeczek cukru. Sos powinien być gęsty. Idealnie komponuje się z udźcem baranim, drobiem czy schabem. Taki sos można też urozmaicić, dodając do niego żurawinę oraz odrobinę tartego chrzanu.

Już czujesz ten smak?

Kiedys zrobimy taki sos razem.

G.



Mila weszła do apteki i znowu zasłuchała się w przyjemny głos Gaspara.

– Nie zawsze trzeba kupować witaminy. Czasem wystarczą domowe sposoby, a już z pewnością domowe mikstury.

– Ale w telewizji mówili, żeby kupować, zwłaszcza jesienią i zimą. A potem też na wiosnę. – Urocza dama około siedemdziesiątki, ubrana w równie urocze futerko w kolorze oberżynowym, nie wyglądała na przekonaną.

Gaspar pogłaskał ją łagodnym spojrzeniem.

– Proszę pamiętać, że przesadne przyjmowanie preparatów witaminowych może w konsekwencji prowadzić do choroby.

– To chyba paradoks?

Kiwnął głową.

– Ale bardzo częsty. Teoretycznie nasz organizm potrzebuje witamin, ale nie wolno mu dostarczać ich zbyt wiele.

– To co mam robić? Jak walczyć z zimowymi bakteriami?

– Proponuję eliksir chrzanowy.

Uroczą damę spojrzała na Gaspara z dużym zaciekawieniem. Bardzo spodobało jej się słowo eliksir.

– Można go u pana kupić?

– Można go samemu zrobić. Potrzebujemy około dwustu gramów korzenia chrzanu, trzech szklanek czerwonego wytrawnego wina oraz dwóch łyżek miodu. Chrzan należy obrać i zetrzeć na drobnych oczkach tarki. Następnie zalać winem i odstawić na trzy dni w ciemne miejsce, a dodatkowo raz dziennie wstrząsać. Po tym czasie przecedzić miksturę przez lnianą ściereczkę i dosłodzić miodem. Zażywać przez trzy tygodnie, trzy razy dziennie, około pół godziny po posiłku.

– I będę zdrowa?

– Jak ryba.

Uroczą damę podziękowała lekkim skinieniem głowy, ozdobionej kapelutkiem również w oberżynowym kolorze, posłała Mili uprzejmy uśmiech i poszła trzeć chrzan.

– Odnalazła pani Michasia? – Gaspar wyszedł zza lady i podszedł do Mili.

Pokręciła przecząco głową.

– Tylko dom, w którym mieszka. Niestety wyjechali do Warszawy na operację, ale nie wiadomo, w jakim szpitalu się zatrzymali. A ja muszę mu dostarczyć list. I muszę to zrobić jeszcze przed operacją, bo tylko wtedy będę mieć stuprocentową pewność, że wszystko się uda.

Gaspar zmarszczył czoło.

– Pomogę pani. Nie wiem jeszcze jak, ale z pewnością uda mi się zdobyć adres szpitala. Proszę wracać do domu, zostawić swój numer telefonu i czekać na sygnał. Listy powinny docierać do swoich adresatów.

Mila spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Nie wiem, jak panu dziękować.

– Jeszcze nie ma za co. A na podziękowania zawsze znajdzie pani czas.

Pociągnęła nosem i kichnęła.

Gaspar szybko zapisał coś na kartce.

– Świeży sok z pigwy zmieszać w równych proporcjach z miodem i zażywać po jednej łyżeczce do herbaty trzy razy dziennie. Dodatkowo pigwę pokroić na cieniutkie plasterki, zasypać cukrem i dodawać do herbaty zamiast cytryny – odczytała głośno i obdarzyła Gaspara spojrzeniem tak miłym i ciepłym, że pod nogami poczuł niebo.



Według Stendhala istnieją cztery rodzaje miłości: miłość namiętna, miłość-upodobanie, miłość fizyczna i miłość wywodząca się z próżności. Ja dorzucam piątą – miłość wyciszoną, niepotrzebującą zbyt wielu słów. Są takie momenty w życiu, które nie trwają długo, a jednak zmieniają nas na zawsze. Czy to było prawdziwe uczucie?

Było. Tyle że rozgrywało się w niedopowiedzeniach, spojrzeniach i gestach.

Czekałam trzy godziny.

Nie jestem zła, bo wiem, że tylko coś niezwykle ważnego mogło Cię zatrzymać.

W tym roku przyjdę znowu.

Będziesz?

T.

Minął rok. Nie pojawiłaś się w ubiegłą Wigilię, ale wiem, że tym razem będzie inaczej. Będę czekał i kiedy się spotkamy, ten stracony rok przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Tak sobie myślę, że pewnie jesteś wspaniałą nauczycielką. Dzieci lubią Cię słuchać i lubią patrzeć na Twój uśmiech. A kiedy odwracasz się i piszesz coś na tablicy, Twój warkocz podskakuje na plecach.

Przyjdź, dobrze?

G.

Rozdział 14

DWA PŁACE

„Co zrobić, kiedy za oknem pada śnieg i wieje ponury wiatr? Zapalić kilka świeczek w łazience, nastawić nastrojową muzykę, a wannę napełnić gorącą wodą zmieszaną z kilkoma kroplami olejku eterycznego i czerwonym winem *bordeaux*. Po kąpeli owinać się miękkim kocem i rozluźnić grzańcem z dodatkiem aromatycznych goździków... Wiosna już za trzy miesiące”.

Zuzanna uśmiechnęła się do tej porannej radiowej propozycji i pomyślała, że aby wiosna mogła w przyszłym roku naprawdę zakwitnąć i wybuchnąć zapachem bzu, tulipanów i pierwszej trawy, ta dwójka z niebieskich i seledynowych kopert musi się w końcu spotkać.

– Miła, błagam, wróć wreszcie i mi pomóż. – Jeszcze tego samego ranka zadzwoniła do koleżanki i w skrócie nakreśliła jej historię Tekli i Gaspara.

– Czyżbyś przypadkiem znalazła granatowe pudełko z listami, stojące na najwyższej półce w moim pokoju? – zaśmiała się koleżanka.

Zuzanna zmieszana się trochę, ale natychmiast wyjaśniła, że ta sytuacja naprawdę jest wyjątkowa i dlatego musiała posunąć się do małego przestępstwa.

– Jasne. Zresztą ja się nie gniewam. Poza tym mam szczerą nadzieję, że tobie poszczęści się trochę bardziej. Ja co prawda odnalazłam dom Michała, ale niestety dzień za późno.

– To znaczy? – wystraszyła się Zuzanna.

– To znaczy, że leży gdzieś w warszawskim szpitalu, a ja nie mam bladego pojęcia w którym. Na szczęście poznałam przesympatycznego aptekarza, który obiecał, że zrobi wszystko, żeby mi pomóc. Liczę na to, mały absolutnie musi usłyszeć tę bajkę. Dzisiaj będę w domu, wpadnę do ciebie wieczorem i razem obgadamy sprawę twoich listów.

– Został tydzień.

– Wiem, Zuza. Ale czasem jest tak, że przez miesiące niewiele się dzieje, a ostatnie godziny potrafią postawić wszystko na głowie. Nie trać nadziei, na pewno uda ci się ich odnaleźć. Albo chociaż jedno z nich.

Najtrudniej było przekonać Anetę.

– Jak to musi pani wyjechać? – Jej zdumienie idealnie komponowało się z rudym kombinezonem wykończonym brązową lamówką. Chyba nikt inny nie założyłby czegoś równie nietwarzowego.

– Na jeden dzień. Moja mama zachorowała i po prostu muszę ją odwiedzić. – Zuzanna nie lubiła tego typu kłamstw, bojąc się, że podświadomie sprowokuje los, który złośliwie naprawdę położy jej matkę do łóżka. Do dzisiaj pamięta historię swojej kuzynki, która postanowiła uśmiercić babcię, byle tylko wyjechać na dodatkowy urlop. No i dopadła ją pozagrobowa zemsta. Babcia rzeczywiście umarła, tyle że dziesięć lat temu. Kuzynka pominęła jednak tę informację w rozmowie z szefem i zupełnie szczerze zalała się łzami, opisując ciepło staruszki, która pachniała drożdżowym ciastem i nosiła kraciaste fartuszki. Szef zadygotał ze wzruszenia i podpisał urlop aż na tydzień, bo babcia

oczywiście mieszkała bardzo daleko (gdzieś w Górach Sowich), a kuzynka obiecała rodzinie, że zajmie się wszystkimi formalnościami związanymi z pogrzebem. Wyjazd do Hiszpanii okazał się jedną wielką porażką. Nie dostała pokoju z widokiem na morze, tylko „od strony morza”, co oznaczało, że gdzieś tam rzeczywiście jest woda, tyle że trudno ją zobaczyć. Na dodatek plaża okazała się dzika. Wszędzie walały się gałęzie, kamienie, wodorosty, całkiem sporo śmieci i potłuczonego szkła.

– To klątwa babci – oznajmiła przez telefon kuzynka i poprosiła Zuzannę, żeby pojechała na grób staruszki i wyprosiła przebaczenie. Zuzanna na wszelki wypadek pojechała, odnalazła kamienną płytę i cicho w imieniu kuzynki poprosiła o odpuszczenie grzechu ponownego uśmiercenia. Od tego czasu jednak miała wielkie obawy przed tego typu kłamstwami.

Tym razem jednak naprawdę musiała.

– Jeden dzień i ani godziny dłużej – oznajmiła pani Aneta i posłała Zuzannie spojrzenie z serii „nie do wiary, o co mnie w ogóle prosisz”. Drugie spojrzenie wylądowało zaś na kolczykach ślimakach, wykonanych z drutu i kawałka sprężynki.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Zuzanna usiadła z Milą przy stole, rozłożyła wszystkie listy, wyciągnęła kartkę i zaczęła notować.

– Najpierw pojedę do Poznania, bo tam mieszka Tekla.

– Idź od razu do Głównego Urzędu Poczтового, może tam ci pomogą. Pokaż te listy, powiedz, skąd jesteś. Spróbuj wyjaśnić im, że to sprawa życia lub śmierci, że po prostu musisz odnaleźć adresata.

– A może najpierw sprawdzę ulicę?

Miła pokręciła przecząco głową.

– Nie ma sensu. Skoro na kopercie napisano „adresat nieznany”, to znaczy, że ona tam nie mieszka. W przeciwnym razie na pewno odpowiedziałyby na listy ukochanego. W końcu sama co roku pisze, czeka i ma nadzieję.

– Wiesz, że oni pomylili nazwę placu?

– Jak to?

Zuzanna podała jej dwa listy.

Na placu stanęła fontanna. Nazywa się tak jak sam plac. Podoba mi się. Dwa ogromne skrzydła-żagle, po których sphywa woda. Całość znajduje się w płytkiej, żelbetowej cembrowinie, przez którą przerzucona została kładka. Byłem tu latem z jakąś dziwną nadzieją, że może spotkam Cię tego samego dnia, co wtedy? Szukałem dziewczyny w białej sukience... I serce biło mi szybciej na widok każdego ciemnego warkocza. Ale może Ty obcięłaś włosy?

Przyjadę znowu w Wigilię.

G.

Coraz mniej lubię ten plac. Kiedyś rozmawiałam z kwiaciarkami, pytałam, co ludzie najchętniej kupują. I czy na wiosnę sprzedają takie maleńkie, pachnące fiołki.

Teraz siadam tylko na ławce, patrzę na wysiadających z tramwaju ludzi i łudzę się, że ostatnim pasażerem będziesz właśnie Ty.

Nie rozmawiam już z kwiaciarkami. Czy ty wiesz, że one handlują niebieskimi różami? Powiedziałam im, że w przyrodzie nie ma takich kwiatów. Wzruszyły tylko ramionami i bardzo szczegółowo powiedziały mi, jak oszukują naturę. Wyobraź sobie, że białym różom nacinają łodygę na kształt gwiazdki, a do wody dolewają atramentu. Im go więcej, tym barwa bardziej intensywna.

Mila spojrzała pytająco na Zuzannę.

– Ale z tych listów nie wynika, że pomylili nazwy. Tekla i Gaspar mówią tylko o placu.

– O dwóch różnych placach. Sprawdziłam to. Fontanna stoi na Placu Wolności i rzeczywiście też tak się nazywa. Poza tym nie ma tam żadnych kwiaciarek. I nie ma też pętli tramwajowej. A przecież Tekla pisze o ostatnim pasażerze. Tak jakby tramwaj kończył tam swój bieg i wszyscy musieli wysiąść.

– No i?

– No i jest taki plac. Wielkopolski. Oba znajdują się dość blisko siebie, ale to bez znaczenia. Jestem niemal pewna, że Tekla i Gaspar stoją na dwóch różnych placach. Nigdy nie uda im się spotkać, jeśli im nie pomożemy.



Pociągi bez względu na wszystko, a zwłaszcza upływający czas, zawsze wydzielają ten sam zapach – lekko zatęchły, obciowo-zasłonowy, a całość spotęgowana jest smrodem małego aluminiowego kosza na śmieci wiszącego pod oknem. Nawet jeśli podróżuje się stosunkowo krótko, człowiek jakoś przesiąka tym pociągiem i nawet jego bielizna staje się pociągowa. Zaczyna też śmierdzieć i to tym zapachem, którego najwyraźniej nie znosił pan Stanisław.

Zuzanna postanowiła jednak zignorować nieprzyjemny pociągowy aromat i przenieść swoje myśli zupełnie gdzieś indziej. Tyle że z jakimś dziwnym uporem wracało do niej wczorajsze pytanie Mili.

– Dlaczego aż tak bardzo ci zależy? To oczywiście jest fantastyczne, że chcesz im pomóc, że te błękitno-seledynowe listy tak bardzo na ciebie podziałały, ale za tym się coś kryje, prawda?

Zuzanna nie odpowiedziała. I chociaż zdawała sobie sprawę, że Mila jest jedyną osobą, której chciałaby się zwierzyć, jakoś nie potrafiła ubrać swojej opowieści w słowa. Nadać jej odpowiedniego wydźwięku, a jednocześnie znowu się nie rozpląkać.

– Okej, powiesz mi następnym razem. Ale pamiętaj, w życiu czasem jest tak, że dzisiaj nie masz siły, jutro nie będziesz mieć ochoty, a pojutrze może już nie być.

Koła stukały miarowo, kobieta siedząca naprzeciwko zajadała kanapkę z dość mocno cuchnącym pasztetem, a Zuzanna próbowała nie rozkleić się na wspomnienie słów „pojutrze może już nie być”. A wszystko przez list, którego nigdy nie odważyła się wysłać.

Rozdział 15

DWIE RÓWNOLEGŁE LINIE

Euklides, grecki matematyk, zakładał, że dwie nieskończone linie równoległe nigdy się nie przetną. Ale w matematyce stworzono również pojęcie geometrii nieeuklidesowej, dopuszczającej sytuację, w której te dwie nieskończone linie jednak się spotkają. Pewnego październikowego wieczoru 1998 roku w Programie Drugim Telewizji Polskiej wyświetlono film *Co się wydarzyło w Madison County*. Gaspar i Tekla obejrżeli go z zapartym tchem, tyle że każde w swoim mieszkaniu.

Robert Kincaid, fotograf współpracujący z „National Geographic”, przyjeżdża do Madison County, by sfotografować stare mosty. Przypadkiem trafia na Francescę Johnson, żonę farmera i matkę nastoletnich dzieci. Dwa różne światy, dwie różne osobowości. Niewinne zaproszenie na mrożoną herbatę spowodowało, że równoległe linie Euklidesa przecięły się na niewielkiej farmie w stanie Iowa.

Gaspar długo po obejrzeniu filmu siedział w fotelu i nie potrafił zebrać myśli. Tekla przepłakała całą noc. Następnego dnia napisała kolejny list, który tradycyjnie już wysłała w połowie grudnia.

Czasami dwoje ludzi spotyka się tylko po to, by stwierdzić, że zostali dla siebie stworzeni. Że tylko razem tworzą idealną całość. Niektóre spotkania są bez znaczenia, inne unicestwiają czas i rachunek prawdopodobieństwa. Kiedy poznajemy drugiego człowieka, często nie wiemy, kim on dla nas będzie. Jak zmieni nasze życie, jaki będzie miał na nie wpływ. Kilka godzin z Tobą stało się esencją mojego życia. I nawet jeśli nigdy się nie spotkamy, Ty będziesz żył we mnie do końca.

Głęboko wierzę, że drugi człowiek może zmienić naturę i prawa nią rządzące. Czasoprzestrzeń zagina się wtedy i dąży do tego jednego punktu, który staje się centrum świata. Nie wiem, czy to moje słowa, czy gdzieś je usłyszałam... Ale pasują tak bardzo, że musiałam je zapisać.

I wysłać do Ciebie, żebyś wiedział.

To pewnie egzaltacja, ckliwość i infantylizm pierwszego zauroczenia. Ale jakoś mnie to nie obchodzi. Przecież ja to piszę do Ciebie, a Ty na pewno mnie rozumiesz.

Do zobaczenia.

T.

Podobno zakochanie to stan nietrwały. Rodzaj chemii, narkotykowego odurzenia. Mija po kilku miesiącach. Od naszego spotkania minęły jednak lata. Zakochanie zatem powinno minąć, a ja o Tobie zapomnieć. A jednak ciągle widzę Twoje zielone oczy i cudny, nieśmiały uśmiech, kiedy mówiłem Ci komplementy.

Był taki moment, kiedy chciałem domknąć te wspomnienia. Pomyślałem, że może przeszkadzają mi w codziennym życiu, nie pozwalają zaangażować się w nic innego. Bojkotują nowe, a przecież... musimy żyć dalej.

Ale potem obejrzałem pewien film. I myślę sobie, że ja niczego nie muszę domykać, zamykać, oswajać ani zmieniać.

Bo nasze drogi kiedyś znowu się przetną.

Gaspar zdawał sobie sprawę, że wspomnienia o Tekli bojkotują każdy jego związek, rzucają na niego cień i nie pozwalają zaangażować się w stu procentach. Ale próbował. Miał świadomość, że jego fascynacja przypadkowo spotkaną dziewczyną mogłaby okazać się jedną wielką pomyłką. Związek dwojga ludzi to nie tylko patrzeć sobie w oczy, ale docieranie się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Oswajanie własnych wad, pielęgnowanie zalet. Cierpliwość, tolerancja, wybaczenie i zgoda na kompromisy.

Spotkanie drugiej, idealnej połówki to szansa jedna na siedem miliardów. Gdyby człowiek otrząsnął się ze wspomnień i romantycznych myśli, natychmiast doszedłby do wniosku, że to równie nierealne jak lot na Marsa. Problem polega na tym, że i tak wiemy lepiej.

Gaspar poznał Annę w 1985 roku. Po prostu weszła do jego apteki, przeziębiona, z zaczerwienionym nosem, a on pomyślał, że może to właśnie ta kobieta odczaruje jego marzenia o miłości jednej na siedem miliardów. Zakochał się w niej, ale było to uczucie „z marginesem”. Tak jakby chwilowo odłożył miłość do Tekli na półkę z napisem „na później”. Nadal jednak raz w roku pisał do niej list i wysyłał go z nadzieją, że tym razem się uda. Kiedy urodziła mu się córka, postanowił, że spróbuje zapomnieć. Zapomnieć o grudniu, o Wigilii i tym całym czekaniu nie wiadomo na co i na kogo. Patrzył na swoje dziecko i poczuł, jak zalewa go fala szczęścia i jak dociera w te zakamarki ciała, które jeszcze do niedawna dla nikogo nie były dostępne.

Dwudziestego grudnia 1987 roku obudził się zlany potem. Przerażony faktem, że nie dopełnił jakiegoś rytuału, że odpuścił. Zerwał się z łóżka i pobiegł do gabinetu. Nabazgrał wtedy kilka słów, chaotycznych, gwałtownych, sam nie do końca rozumiejąc, co pisze, po czym jeszcze tego samego dnia je wysłał. W Wigilię zaś okłamał Annę, że zachorowała jedna z jego klientek, a ponieważ jest śnieżycą, nie może sama pójść po leki.

– Będę najpóźniej za trzy godziny – obiecywał. – Wezmę co potrzebne z apteki, zawiozę jej i potem zaraz do was wracam.

Jego żona nic nie powiedziała, a on nie chciał patrzeć jej w oczy, żeby nie odczytać w nich wielkiego rozczarowania. Ubrał się szybko, wcisnął na głowę jakąś śmieszoną czapkę i pojechał do Poznania. W końcu to nie było aż tak daleko. W samochodzie głośno śpiewał kolędy, chcąc tym samym zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Obiecał sobie wtedy, że to już naprawdę ostatni raz. I że jeśli Tekla nie przyjdzie, kupi Annie największy bukiet róż, jaki uda mu się udźwignąć, i nigdy więcej nie zepsuje im wspólnej Wigilii.

Postanowienie tkwiło w nim krótko, rozplywając się w kolejnych miesiącach, by w końcu przemienić się w nic nieznaczącą obietnicę.

Raz jeden opowiedział obcej osobie o swojej dziwnej miłości. I o tym, że ciągle na nią czeka, choć sam nie rozumie dlaczego.

– Czy to jest miłość? Ta jedyna, prawdziwa, która przydarzyła mi się naprawdę? A co z Anną?

Mężczyzna był od niego o kilka, może kilkanaście lat starszy i poruszał się na wózku inwalidzkim. Niewiele mówił, ale widać było, że uważnie słucha. Spotkali się przypadkowo w parku. Gaspar siedział na ławce, obserwując dwuletnią córeczkę, która bawiła się w piaskownicy, a mężczyzna na wózku czekał na swojego opiekuna. Milczenie, które między nimi zapanowało, było dość krępujące, więc Gaspar postanowił je przerwać.

– Opowiem coś panu. Nie będziemy musieli wtedy patrzeć co chwila na siebie i głupio się uśmiechać. Ja będę mówił, a pan słuchał, okej? A potem i tak każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

Mężczyzna skinął głową.

– Ja odjadę – powiedział tylko.

Gaspar uśmiechnął się kącikiem ust.

Mniej więcej po pół godzinie znowu zapadła cisza.

– I co? – spytał Gaspar, patrząc jednocześnie na córkę, która po raz kolejny próbowała ustalić, czy piasek jej smakuje.

– Miłość się nie wydarza. Miłość to rodzaj pracy, na dodatek dwustronnej – powiedział w końcu mężczyzna.

– Myśli pan, że oszukuję samego siebie?

– Myślę, że stworzył pan piękny mit, w który uwierzył i który niekoniecznie musi się spełnić.

– Nie spotkam jej?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może w końcu pan ją spotka. Pytanie, co dalej. Proszę pamiętać, że nie jest pan bohaterem Goethego czy też Petrarcki i nie tańczy pan na stronach napisanych przez nich dzieł. Jest pan zwykłym mężczyzną, żyjącym w dość smutnych czasach, kiedy po raz kolejny podniesiono ceny żywności, opału, energii i benzyny. Ma pan dziecko i żonę, a marzy o kobiecie, której nie zna.

Gaspar ciężko westchnął.

– Pewnie uważa pan, że jestem idiotą.

– Nie. Tylko niepotrzebnie z góry założył pan, że tamto spotkanie było przeznaczeniem. Statystycznie patrząc, mógłby pan być szczęśliwy z całym mnóstwem innych kobiet. Problem polega na tym, że nie dostają tej szansy.

– Wierzy pan w istnienie „drugiej połówki”?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Każdy z nas jest niezależnym bytem. Ale całościowym. Nikt nie jest żadną połową drugiej osoby. Jeśli spotykamy kogoś, z kim nam po drodze, to znaczy, że trafiły na siebie dwa osobne byty, każdy na swój sposób inny, oddzielny i złożony.

– Nie pisać więcej?

– Ależ pisać. Pisać, kochać, tęsknić, ale i pamiętać, że pana rzeczywistość siedzi teraz w piaskownicy. Proszę się na niej skupić, a marzenia potraktować jako deser do obiadu. Miło, kiedy ktoś nam go zaserwuje, ale czy tak naprawdę jest konieczny?

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem pisarzem.

– Ale pewnie nie pisze pan książek o miłości?

– Piszę. Ale tylko dla dzieci.

– Dlaczego?

– Bo dziecko to uwidoczniona miłość. Proszę o tym pamiętać, patrząc na swoje.

– Ładnie powiedziane.

– To nie ja. To niemiecki filozof Georg Philipp Friedrich von Hardenberg.

Gaspar postanowił, że od tego dnia najważniejszym daniem w jego życiu będzie obiad. I zupełnie nie wiedział, dlaczego jego myśli i tak uporczywie krążą wokół deseru.

Rozdział 16

POCZTA GŁÓWNA

Zuzanna wysiadła z pociągu całkowicie wykończona. Po skonsumowaniu kanapki z odrażającym pasztetem pani wyjęła z torby telefon i rozpoczęła dziwny dialog.

– Jak to uciekł?

– ...

– To go łap, idioto.

– ...

– No. Idiota.

Potem było jeszcze gorzej, bo na kolejnej stacji wsiadła matka z dziewczynką, dziewczynka zaś z muchami w nosie. Nic jej się nie podobało, wszystko było głupie na przemian z debilnym, a kiedy kończyły jej się argumenty, po prostu wzruszała ramionami.

– Kup mi tę grę – powiedziała nagle do matki, która rozpoczęła właśnie zabieg pilowania paznokci.

– Nie masz tu Internetu.

– Jezu, czemu?

– Bo nie masz.

– Co za debilizm.

Matka wzruszyła ramionami i strzepnęła na ziemię biały proszek. Zuzanna poczuła, że odrobinę kręci jej się w głowie. Dawno nie podróżowała pociągami, ale tym razem zwyciężył strach przed pogodą. Od kilku dni zapowiadali silne opady śniegu w całym kraju i Zuzanna bała się jechać samochodem. Poza tym jutro miała stawić się w pracy, a gdyby nie daj Boże utknęła w jakimś korku i nie zdążyła w porę wrócić, pani Aneta z pewnością podziękowałaby jej za dalszą współpracę. Nie mogła też na tak długo zostawiać Karoliny...

Trochę obawiała się reakcji lotopałanki, którą podstępem oddała na całodniowe przechowanie panu Stanisławowi. Sąsiad wprawdzie burzliwie protestował, ale ponieważ Zuzanna dosłownie uciekła z jego mieszkania, siła perswazji starszego pana utknęła gdzieś między przedpokojem a zamykającymi się drzwiami.

– Musi mi pan pomóc, to jest sytuacja absolutnie awaryjna. Wiem, że lubi pan tylko dzieci, ale Karolina ma zaledwie dwa lata, więc teoretycznie powinien ją pan zaakceptować – przekonywała stanowczym głosem zamknięte drzwi mieszkania numer cztery.

– Mam się zająć pani dwuletnim dzieckiem? Poza tym pierwsze słyszę, że jest pani matką. – Pan Stanisław zrezygnował tym razem z ironii i sarkazmu, a wszystko dlatego, że jego zdziwienie było większe niż potrzeba złośliwości.

Kiedy drzwi lekko się uchylily, Zuzanna natychmiast wparowała do środka, niosąc ze sobą sporych rozmiarów klatkę oraz siatkę z pokrojonymi owocami.

– Trzyma pani dziecko w terrarium? Dość nietypowo – mruknął zjadliwie.

– To jest właśnie Karolina. Lotopałanka karłowata, wspominałam panu o niej. Tak naprawdę to

w dzień śpi, ale mimo wszystko nie powinna zostawać tak długo sama. W siatce są pokrojone owoce oraz dwa suszone świerszcze.

– Dla mnie?

– Nnnie, dla Karoliny. Je pan świerszcze?

Stanisław przewrócił oczami.

– To było pytanie ironiczne. W tym wieku powinna je już pani wyczuć. Poza tym nie bardzo rozumiem, dlaczego mam się zająć Karoliną. Nie jesteśmy rodziną, o ile sobie dobrze przypominam, a fakt, że suszyła pani u mnie skarpetki, doprawdy nie jest jeszcze powodem do dalszego spoufalania się.

Zuzanna pociągnęła nosem.

– Muszę kogoś odszukać.

– Jeśli to jakaś romantyczna, ckliwa i ohydnie lukrowana historia miłosna, to proszę mi jej oszczędzić.

– Jeżeli tej osoby nie odszukam, ta historia pozostanie już tylko dramatem.

– Brzmi pięknie.

– Jest pan cyniczny.

– To częste u inwalidów. Z drugiej strony przynajmniej jesteśmy szczerzy. I jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, domyślam się, że ma to jakiś związek z pani pracą. Proszę nie brać tych wszystkich listów, przesyłek i nedoręczonych wiadomości tak osobiście. Jestem zdania, że jeśli ktoś nie odczytał jakiegoś listu, to najwyraźniej tak właśnie miało być. A po drugie, proszę zabrać to zwierzę z mojego domu. Jestem inwalidą, nie niańką torbaczy, nawet dwuletnich.

Zuzanna błyskawicznie odsunęła się od klatki i zaczęła wycofywać w stronę drzwi.

Starszy pan próbował przytrzymać ją kulą, ale tylko niebezpiecznie się zachwiał.

– Wracaj, młoda damo, inaczej zjem sierściucha na obiad, polewając go obficie sosem koperkowym.

– Będę wieczorem, dziękuję, do widzenia – zawołała Zuzanna i skacząc po trzy stopnie zbiegła ze schodów.

Taksówka już na nią czekała.



Miasto powitało ją zapachem pieczonych kasztanów. Z przyjemnością wciągnęła powietrze i zamknęła oczy.

„Zuzanna lubi je tylko jesienią”.

A, nieprawda. Kasztany smakowały jej zawsze, a zimą to już chyba najbardziej. Często robiła je sama. Największą trudność sprawiało jej zawsze nacinanie łupiny, najlepiej na kształt krzyżyka. Bardzo uważała przy tym, by nie odłupać sobie palucha, nie wbić noża w dłoń lub nie oberwać kasztanem w oko. Kiedy przebrnęła przez nacinanie, wysypywała kasztany na blachę i piekła je około dwudziestu minut. Najlepiej smakowały z dipem czosnkowym lub też z odrobiną masła. Karolina też je uwielbiała.

Zuzanna kupiła małą porcję i spytała o adres Poczty Głównej. Trzeba jak najszybciej zabrać się za poszukiwania.

Kobieta w okienku spojrzała na nią bez cienia zrozumienia.

– Niestety nie mogę udzielić pani takiej informacji – powiedziała tylko, rezygnując nawet ze służbowego uśmiechu.

– To wyjątkowa sytuacja.

– Każda sytuacja jest wyjątkowa, to zdaje się ulubiony zwrot wszystkich klientów.

– Pani nie rozumie. Na tym liście nadawca wpisał najprawdopodobniej zły adres. I od trzydziestu ośmiu lat popełnia ten sam błąd.

Kobieta posłała jej spojrzenie pełne ironii.

– To chyba nie jest specjalnie rozgarnięty. Rozumiem, pomylić się dwa razy...

Zuzanna aż się zagotowała w środku, wiedziała jednak, że musi przyjąć minę zagubionej sarny, w przeciwnym razie z pewnością nie dojdą do porozumienia.

– Ale on nie wie, że ten adres jest niepoprawny.

– Skoro od ponad trzydziestu lat nie dostaje odpowiedzi, to raczej powinien się zorientować.

– Proszę mi pomóc.

Kobieta ciężko westchnęła, Zuzanna zaś próbowała nie słyszeć zniecierpliwionych posykiwań, uwag i komentarzy coraz bardziej rozzłoszczonej kolejki.

– Nie mogę pani pomóc. Mogę odesłać list do nadawcy.

– No właśnie nie mam jego adresu. Tylko imię...

– To zupełnie nie rozumiem, dlaczego zawraca mi pani głowę! Co ja mam zrobić z listem bez nadawcy?

– Pomóc mi odszukać adresata.

Kobieta wstała.

– Nie udzielamy takich informacji. Nie ma możliwości, żebym pani w tym pomogła. Dane adresata są podane na kopercie. Proszę więc dostarczyć list osobiście.

– Mam zły adres – chlipnęła Zuzanna.

A potem wszystko potoczyło się jak w bardzo złej bajce. Ludzie z kolejki uznali najwyraźniej, że atmosfera świąteczna nie dotyczy budynku poczty, i stanowczo poprosili Zuzannę, żeby wreszcie przestała marnować ich czas.

– Proszę dać sobie spokój z tym jednym głupim listem i zająć się czymś ważniejszym – poinformowali zbiorowo dziewczynę, kręcąc przy tym z dezaprobatą głowami. – Kupić karpia, odśpiewać *Lulajże Jezuniu*, poszukać choinki, cokolwiek. Tylko wreszcie opuścić kolejkę.

Kobieta z okienka raz jeszcze rozłożyła ręce w bezradnym geście i poradziła Zuzannie odpuścić.

– Żaden pracownik poczty nie udzielił pani takich informacji. Widocznie ten list nie ma być dostarczony – zakończyła filozoficznie i przestała interesować się zmartwioną dziewczyną.

Była godzina trzynasta, z nieba prószył drobny śnieg, a ludzie przemykali po ulicach ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zuzanna zerknęła na kopertę i pomyślała, że pojedzie na tę ulicę bez numeru i spróbuje szczęścia. A jeśli jakimś cudem spotka Teklę? Tylko po czym ją rozpozna? Z drugiej strony to dość nietypowe imię, może jednak ktoś będzie ją znał.

Zadzwoniła do Mili i zmartwiona przyznała, że nie jest łatwo.

– Na poczcie w ogóle nie miałam czego szukać. Nie mam żadnego innego pomysłu, dlatego pojedę pod ten adres, który jest na kopercie. Popytam ludzi, poszukam imienia Tekla wśród spisu mieszkańców.

– W najgorszym razie wybierzesz się do tej miejscowości, w której mieszka Gaspar. To nie jest duże miasto, więc może będzie łatwiej.

– Tak, ale jeśli o niego chodzi, to nie mam nawet nazwy ulicy. Tylko miejscowość i imię, a w

nawiasie hasło „aptekarz”. Dzisiaj na pewno nie zdążę, bo obiecałam Anecie, że jutro na sto procent zjawię się w pracy. A mamy coraz mniej czasu.

Miła westchnęła.

– Wiem i też mnie to martwi. Farmaceuta z Wilczych Dołów miał się odezwać, ale najwyraźniej ciągle niczego nie ustalili. Trudno, najwyżej zaryzykuję i wybiorę się do Warszawy. Objadę wszystkie szpitale, które operują dzieci z wadami serca, i będę tak długo szukać, aż w końcu znajdę. Ta bajka nie może dłużej czekać.

Zuzanna pomyślała, że spełnianie dobrych uczynków wcale nie jest takie proste. Być może właśnie dlatego tak niewiele osób decyduje się pomagać innym. Nie dość, że nie ma gwarancji *happy endu*, to jeszcze człowiek naraża się na niepotrzebne przykrości.

Zmartwiona i trochę już zmarznięta wsiadła do taksówki.

– Poproszę na Aleje Stalingradzkie.

Taksówkarz roześmiał się.

– Trochę się pani spóźniła.

– Nie rozumiem.

– Aleje Stalingradzkie to mieliśmy do 1990 roku. Teraz to jest, panienko, Aleja Niepodległości.

Zuzanna zarumieniła się. No tak. Zupełnie nie zwróciła uwagi na nazwę, więc nie pomyślała nawet przez chwilę, że Aleje Stalingradzkie rzeczywiście nie pasują do dzisiejszych czasów. Gaspar najwyraźniej też nie.

– A numer?

– Obojętnie. Proszę mnie wysadzić na początku ulicy, a ja sobie jakoś poradzę.

Taksówkarz kiwnął głową i ostrożnie ruszył. Sypało rzeczywiście coraz mocniej i robiło się bardziej biało.

Rozdział 17

29 LIPCA 1976 ROKU

To nie miał być żaden specjalny dzień, ot, zwyczajny, dwieście dziesiąty dzień roku w kalendarzu gregoriańskim. Nic nie zapowiadało życiowej rewolucji, ale Tekla miała wyjątkowo dobry humor. Nieźle się ubawiła, kiedy w radio poinformowali, że imieniny obchodzi dzisiaj Cirzpi bog, Cirzpi sław oraz Symplicjusz. Pomyślała wtedy, że są gorsze imiona niż jej własne, na dodatek ich posiadacze nigdy nie założą tak pięknej białej sukienki i pasujących do niej, idealnie skrojonych białych pantofelków na obcasie.

Tekla była chyba jedną z nielicznych kobiet, które ominął zachwyty modą hippisowską. Długie suknie do kostek, spódnice w stylu indiańskim z falbankami oraz wielokolorowe tkaniny skutecznie wyparły miniówki, które jeszcze do niedawna noszono z dumą i zachwytem. Do szerokich sukienek zakładano kolorowe trampki, sandały z paseczków lub buty na koturnach. Ale Tekla wolała klasyczne szpilki, które kupiła u miejscowego szewca za pierwsze zarobione pieniądze. Szyte były na miarę, z delikatnej, cięłej skóry, a noga wydawała się w nich wyjątkowo szczupła i zgrabna. Do tego prosta sukienka z lekko rozkloszowaną spódnicą i niebieskie korale.

Włosy umyła i jeszcze lekko wilgotne związała w warkocz, delikatnie upudrowała piegowaty nos i pociągnęła rzęsy czarną mascarą. Podobała się sobie, podobała się swojemu odbiciu w lustrze, a mama na jej widok aż klasnęła w dłonie.

– Śliczna jesteś. Tylko żeby mi cię nikt nie porwał.

Tekla poszła po prostu na spacer. Na Cytadelę i do Rosarium, na Plac Wielkopolski, gdzie kupiła bukietik kremowych róż, a potem na Stary Rynek. Najpierw zatrzymała się jednak w okolicach Hotelu Merkury, gdzie zebrał się spory tłum gapiów.

– Co jest? – spytała z zaciekawiona.

– Anna Jantar kręci teledysk, żeby pani widziała, jaką ma sukienkę! – powiedziała z zachwytem jakaś młoda dziewczyna. – Potem jadą nad Rusałkę, tak przynajmniej słyszałam.

Sukienka rzeczywiście była piękna. Długa, z odkrytym dekoltem, falbankami i bufiastymi rękawkami. Do tego rozpuszczone włosy i buty na koturnach. Nic dziwnego, że pół miasta patrzyło na piosenkarkę z niemym zachwytem. Tekla uśmiechnęła się do kamerzysty i poszła w kierunku ulicy Czerwonej Armii, a potem dalej na Plac Wolności, Wielkopolski i wreszcie Rynek. Wiatr bawił się rozczochranymi chmurami, a słońce leniwie przesunęło się po niebie. To był jeden z tych dni, w których nawet nieszczęśliwe jednostki zapominały o tym, jak im źle, i odpowiadały przyrodzie niezgrabnym uśmiechem.

– Nie mam torebki! – zawołała nagle Tekla i z przerażeniem rozejrzała się wkoło. Ludzie spokojnie spacerowali, jedli lody i watę cukrową, ale żaden z nich nie posiadał małej, białej torebki na srebrnym łańcuszku.

Tekla pomyślała, że pewnie zostawiła ją przy straganie z kwiatami i kiedy właśnie chciała pobiec w tamtym kierunku, obcas jej szpilki utknął w studziencie kanalizacyjnej. Szarpnęła mocniej, ale tylko zabolęła ją noga.

– Nie mogę zniszczyć tych butów – powiedziała do siebie, przykucnęła i raz jeszcze próbowała wyswobodzić nogę.

– Proszę go zdjąć – usłyszała wtedy, a kiedy podniosła wzrok, nic już nie było takie samo.

Początkowo chciała uciec, zupełnie jakby to było naturalnym odruchem na widok nieznanego chłopaka. Ale on najwyraźniej miał inny pomysł na to popołudnie. Otulił ją więc spojrzeniem swoich brązowych oczu, a kiedy dotarło do niej, że topi się jak lody, powiedział:

– Kiedy ratujesz komuś życie, stajesz się za niego odpowiedzialny, na pewno o tym słyszałaś.

Tekla zarumieniła się.

– Nie jestem pewna, czy ocalenie buta można porównać do uratowania życia – powiedziała ostrożnie.

Gaspar puścił do niej oko.

– Jak najbardziej. Mogłaś skrócić nogę w kostce, a to wcale nie jest tak błahe, jak ci się wydaje. Mimo że skrócenie początkowo może wydawać się niegroźne, to nieleczone lub leczone nieprawidłowo, może doprowadzić do niestabilności stawu skokowego i spowodować w przyszłości problemy.

– Na przykład?

– Całkowita niestabilność stawu.

– Jakies inne zagrożenia?

Gaspar zamyślił się na moment.

– Gdybyś złamała obcas, ciężko byłoby ci wrócić do domu. Kulejąc i kuśtykając mogłabyś stać się ofiarą drobnych złodziejasków, którzy wyrwaliby ci torebkę, wiedząc, że i tak ich nie dogonisz.

– To już się stało.

– Okradli cię? – Gaspar spojrzał na nią zaniepokojony.

– Nie... Chyba sama gdzieś ją zostawiłam i nawet domyślałam się gdzie.

– Zaprowadzę cię tam i poszukamy razem.

Tekla przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem. Jeśli do tej pory nie wiedziała, czym jest zakochanie, to teraz właśnie miała okazję się przekonać. Podobało jej się w nim wszystko. To, jak na nią patrzył i jaką miał niesforną grzywkę. Jego brązowe, ciepłe oczy, długie nogi, zielona kurtka i sprane spodnie. To, że miał delikatne ruchy, a kiedy ją niechcący dotykał, robiło jej się jakoś tak miękko. Z przyjemnością wsparła się na ramieniu, które jej podał, i poszła z nim do kwiaciarek szukać torebki. I kiedy tak szli blisko siebie, dotykając się niemal głowami, poczuła intymność, która zarumieniła jej policzki i szybciej zatrzepotała sercem.

– Co jest? – spojrzał na nią i natychmiast zamilkł. Tak jakby od razu zrozumiał i jakby przeżywał dokładnie to samo.

– Moja narzeczona zostawiła u pań torebkę – powiedział Gaspar chwilę później, a Tekla pomyślała, że przysięga małżeńska nie mogłaby zabrzmieć piękniej. Aż się sama skarciła za tę ckliwość i romantyczne bzdury.

Kwiaciarki były zdecydowanie mniej romantyczne, bo spojrzały na nich bez cienia uśmiechu, cmoknęły nawet mało apetycznie, ukazując skromność swojego uzębienia i oświadczyły zgodnie, że to niemożliwe. Tekla poczuła, że się czerwieni. Była niemal pewna, że właśnie tutaj po raz ostatni miała torebkę, kiedy płaciła za kwiaty, i była równie pewna, że kwiaciarki kłamią.

– Taka mała, biała, na srebrnym łańcuszku – powiedziała jeszcze, ale chyba mało przekonująco.

Gaspar postanowił użyć mocniejszego argumentu.

– Trudno, poprosimy o pomoc mojego wujka, pracuje tu niedaleko, na Młyńskiej.

Tekla spojrzała na niego zdumiona, kwiaciarki zaś wykonały ruch wskazujący na pewne

zdezorientowanie.

– Na Młyńskiej? – powtórzyła jedna z nich.

Gaspar skinął głową, udając, że nie dostrzega w tym pytaniu żadnego napięcia.

– Budynek penitencjarny III, wejście od Młyńskiej, znają panie?

Najwyraźniej znały, choć słowo „areszt śledczy” nie chciało im przejść przez gardło. Dwie minuty później jednej z kwiaciarek nagle przypomniało się, że jakiś przechodzień rzeczywiście znalazł kilka godzin temu torebkę i odniósł do nich.

– Mówił, że leżała na ławce, ale nie pamiętam, jakiego była koloru. Zaraz zobaczę – dodała jeszcze i z czeluści kraciastej torby wyjęła białą, skórzaną kopertówkę, na widok której Tekla aż podskoczyła z radości.

– Dziękuję ci – szepnęła Gasparowi do ucha i spytała: – To chyba nie musimy odwiedzać już wujka?

Tylko się roześmiał i zaprosił ją na kawę.

A potem czas jakby się zatrzymał. Siedzieli nad jedną filiżanką, bo Gaspar miał przy sobie tylko trochę drobnych, a Tekla ze smutkiem zauważyła, że jej torebka odnalazła się mocno niekompletna. Dokumenty na szczęście zostały, ale zniknął portfel. Pili więc jedną kawę i rozmawiali tak, jakby znali się od dzieciństwa.

– Naprawdę najbardziej lubisz chleb z masłem i cukrem?

– Nie mów, że nigdy nie próbowałaś!

– Wolę kogel mogel z cukrem. I z kakao.

– Kim chcesz zostać w przyszłości?

– Już tym kimś jestem. Skończyłam studia i od września zaczynam pracę jako nauczycielka.

– A ja będę aptekarzem. Uwielbiam sam robić różne mikstury. Testuję je potem na sobie i, jak widzisz, ciągle żyję.

– Co ostatnio zrobiłaś?

– Maść z ogona krokodyla.

Tekla spojrzała na niego z przerażeniem.

– Żartuję! – zaśmiał się uroczo. – Ale kiedyś rzeczywiście tak było. Kiedyś w ogóle, żeby zostać aptekarzem, trzeba było uczyć się przez kilka lat u... aptekarza. Nie tylko u niego pracować, ale i mieszkać. W zasadzie mogę powiedzieć, że ze mną właśnie tak było. Mój ojciec i dziadek byli farmaceutami, więc przyuczony do zawodu jestem naprawdę dobrze. No i mamy swoją aptekę. Co prawda ja mieszkam w Buku, a apteka jest w Wilczych Dołach, ale to niedaleko.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś z taką pasją opowiadał o swojej pracy.

Gaspar tymczasem mówił dalej:

– Dawniej to była nie tylko sprzedaż leków, maści i plastrów oraz przeróżnych mikstur, ale głównie ich przygotowywanie. Niektóre ze składników były naprawdę dość niezwykłe – poroże jelenia czy zaszuszonego ogona krokodyla. Do produkcji lekarstw potrzebne były wagi i moździerz oraz przeróżnej wielkości menzurki. Teraz wszystko jest łatwiejsze, ale samodzielne robienie mikstur, mazideł i maści nadal okropnie mnie kręci. Ojciec znalazł gdzieś stare niemieckie przepisy. Matka kazała wyrzucić, ale na szczęście je schował i kiedy skończyłem studia, dostałem od niego fajny prezent. To się czyta jak wiersze!

Tekla wpatrywała się w niego ze szczerym zachwytem.

– A ty będziesz najpiękniejszą nauczycielką w szkole, wiesz? Wszystkie dzieciaki cię będą kochały i będą chciały wyglądać tak jak ty. Czego będziesz uczyć?

– Najpierw nauczanie początkowe klas od pierwszej do trzeciej, a potem chciałabym uczyć języka polskiego. Żeby pięknie mówili. Jak Mickiewicz.

Zamknęła oczy, podniosła do ust pustą już filiżankę po kawie i wyrecytowała:

*Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju:
W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,
Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku
I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
Zapach moki i gęstość miodowego płynu².*

² Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Czytelnik, Warszawa 2014.

Gaspar patrzył na jej usta, na jej przymknięte powieki, a potem nagle nachylił się i szybko ją pocałował. Nawet nie otworzyła oczu, jakby chcąc zachować tę chwilę na zawsze.

– Kawa już zawsze będzie mieć dla mnie czarność węgla, przejrzystość bursztynu i smak twoich ust – powiedział jeszcze, a ona pomyślała, że kiedy człowiek naprawdę się zakochuje, to niebo wcale się nad nim nie otwiera. To jest coś znacznie piękniejszego.

Ten dzień minął zdecydowanie za szybko. Spacer po mieście, utkany z nieudomówień i niby niechących wzajemnych dotknięć, coraz prędkiej dobiegał do mety. Tekla i Gaspar usiedli jeszcze na moment na Placu Wolności, intensywnie patrząc w niebo, jakby siłą swoich spojrzeń chcieli oddalić moment zapadnięcia zmroku.

– Wiesz, że kiedyś było tu mnóstwo drzew? Moja mama je jeszcze pamięta, chociaż była wtedy dzieckiem. Ale potem wszystko wycięto, zamontowano elektryczne latarnie, a miejsca po dawnych pomnikach zamieniono w klomby. No i postawiono fontannę. A tam jest pomnik Higei – wskazała ręką.

– Bogini zdrowia – uśmiechnął się Gaspar.

A potem nie było już wyjścia. Kiedy Gaspar musiał w końcu wsiąść do ostatniego pociągu, oboje czuli się tak, jakby niechący ktoś zbyt szybko zdarł plaster z miejsca z raną. Bolało, piekło i drapało pod powiekami.

– Spotkamy się, prawda?

– Umówmy się dokładnie dwudziestego czwartego grudnia o godzinie siedemnastej. Wracam z Niemiec dzień wcześniej, więc na pewno zdążę. Przyjdziesz? – spojrzał na nią tak pięknie, że była w stanie tylko kiwnąć głową. – Idź już, jest późno. Daleko masz?

Machnęła ręką.

– Nie. Mieszkam blisko Alei Stalingradzkich, nie martw się, to parę metrów stąd.

– Przyjdziesz, prawda?

– A ty?

Nie musieli sobie odpowiadać, bo wszystko było jasne.

Kiedy wróciła późnym wieczorem do domu, mama na jej widok złapała się za serce:

– Tekla, naprawdę myślałam już, że cię porwali.

Uśmiechnęła się. Coś w tym było...

Rozdział 18

ZJADLIWY DZIAD

Zuzanna była kompletnie załamana. Misja odnalezienia Tekli nie powiodła się, choć pytała dosłownie wszędzie. Przeszła ponad dwa kilometry, od Armii Poznań aż do Niezłomnych, łudząc się, że w końcu trafi na kogoś, kto zna kobietę o tym dość nietypowym imieniu.

Nie znam. Nie słyszałem. Proszę mi nie zawracać głowy. Niestety. Bardzo mi przykro.

Plus wzruszenia ramion lub całkowity brak reakcji.

W końcu Zuzanna wsiadła do pociągu i zrezygnowana wróciła do domu. Z ponurą miną nacisnęła dzwonek do mieszkania pana Stanisława, zastanawiając się przez chwilę, czy Karolina w ogóle przeżyła.

– Przypomniała sobie pani o dziecku? – zauważył zgryźliwie. – i co pani ma w uszach?

Nie chciało jej się odpowiadać. W ogóle nic jej się nie chciało. A w uszach miała kolczyki w kształcie jaszczurek, wysadzane cyrkoniami.

– Może jakieś dziękuję, padam z wdzięczności, jak mogę to panu wynagrodzić? – zaproponował starszy pan.

Spojrzała na niego z takim rozżaleniem w oczach, że aż się cofnął.

– Co jest?

– Nic.

– Hej, młoda panno. Wsadziła mnie pani w swoje życie, to teraz proszę nie robić durnych minek. Zostałem wepchnięty na siłę w pani codzienność, pani lotopałankę i przemoczone nogi, ale wyjdę wtedy, kiedy będę chciał. To trochę tak jak z gośćmi. Zapraszamy ich na kawę z ciastem, a oni zostają tak długo, jak mają ochotę. I nawet dobitne „spierdalaj” jakoś do nich nie dociera.

Zuzanna spojrzała na niego z oburzeniem.

– No wie pan...

Pan Stanisław wzruszył ramionami i pokuśtykał do kuchni. Chcąc nie chcąc, Zuzanna poszła za nim.

– Boję się, że kiedy panu powiem, zostanę wyśmiana.

– To jest możliwe – kiwnął głową.

– No właśnie. Tyle że ja nie widzę w tej historii powodów do śmiechu, a pan cynicznie sprowadzi ją do poziomu cikliwego romansu.

Stanisław teatralnie powachlował się gazetą.

– Czyżbym wdepnął w sam środek miłosnej historii?

– O, widzi pan! Poza tym nie musi pan w nic wdeptywać, wystarczy nie pytać.

Umilkli oboje.

Karolina chrupała z zapałem kawałek marchewki, zupełnie ignorując fakt, że wróciła jej ukochana pani. Najwyraźniej pan Stanisław okazał się profesjonalnym opiekunem lotopałanek, co było dość dziwne, zważywszy na jego ogólne podejście do życia. Możliwe jednak, że lubił i dzieci, i torbacze.

– Karolina chyba pana polubiła – zauważyła głośno Zuzanna.

– Nic dziwnego. Nie wchodziliśmy sobie specjalnie w drogę. Fruwała do woli po moim pokoju, pożarła prowiant, a potem spała. Chciałbym, żeby ludzie byli równie mało kłopotliwi.

Zuzanna pociągnęła nosem.

– Mów w końcu, młoda damo, być może jako osoba starsza i bardziej doświadczona będę ci mógł jakoś doradzić. Nie bez złośliwości, oczywiście – dodał jeszcze i splótł obie dłonie na brzuchu.

Trudno.

Zuzanna opowiedziała mu więc historię listów, które od trzydziestu ośmiu lat lądują w Biurze Przesyłek Nedoręczonych, oraz o dwójce ludzi, którzy najwyraźniej popełnili błąd w nazwie placu i czekają na siebie się w dwóch różnych miejscach. Mówiła z uniesieniem, raz po raz przecierając oczy i pociągając nosem. Machała rękami, przyciskała dłonie do serca, aż w końcu wyjęła dwa listy i odczytała je z egzaltacją idealnie pasującą do jej wieku.

„Bóg nie ofiarował ludzkości nic, co byłoby lepsze lub cenniejsze od wina”, powiedział Platon. Wino jest „najpotężniejsze spośród napojów, najsmaczniejsze spośród lekarstw i najprzyjemniejsze spośród potraw”. To z kolei Plutarch. Tyle starożytni filozofowie. Każdego roku na początku grudnia kupuję butelkę czerwonego wina i wyobrażam sobie, jak w Wigilię wypijemy ją razem. Zabieram ją zawsze na nasze spotkanie.

I wiesz co?

Mam już dwadzieścia siedem butelek czerwonego wina.

I dwadzieścia siedem zadrapań na sercu.

Ale przyjdę po następne.

T.

Czy ty wiesz, że prawa półkula jest odpowiedzialna za nasze emocje, twórcze myślenie, wyobraźnię, intuicję, rozpoznawanie kolorów i rytmów, a z kolei lewa jest bardziej logiczna – zawdzięczamy jej zdolności matematyczne i analityczne? Harmonijna współpraca obu tych połówek owocuje sprawniejszym myśleniem logicznym. Tyle że mózg trzeba ćwiczyć. Wyczytałem, że codzienny spacer należy wykorzystywać głównie do poprawiania swojej spostrzegawczości. Obserwować ludzi, przedmioty, budynki i starać się zapamiętać, jak wyglądają. Po kilku minutach powtórzyć, co się widziało – mężczyznę z jamnikiem, kobietę z wózkiem, cztery samochody, kwitnący klomb. I za każdym razem próbować zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

To posłuchaj: cudowna dziewczyna w białej sukience, kończącej się tuż nad kolanem. W białych pantofelkach, dość niefortunnych do chodzenia po kocich łbach. Dziewczyna ma piegi na nosie, które układają się w konstelację Strzelca, wiem, bo potem sprawdziłem w domu. Ma też zielone oczy, długie, ciemne rzęsy i ciemny warkocz, związany białą tasiemką. Ma delikatne dłonie, krótko obcięte paznokcie i dwa pieprzyki na lewym ramieniu. Na szyi niebieskie korale. I pachnie zielonym jabłuszkiem.

Powiedz, czy mój mózg jest wystarczająco wyćwiczony?

Minęło dziewiętnaście lat.

A jakbym ujrzał Cię wczoraj.

G.

Zuzanna chlipnęła pod koniec czytania, a starszy pan zamyślił się.

– To niech pani jedzie w Wigilię na jeden z tych placów, spróbuje odnaleźć ją albo jego i powie im, że czekają na siebie w dwóch różnych miejscach – powiedział w końcu zdziwiony, że sama na to nie wpadła.

Dziewczyna rozpaczliwie pokręciła głową.

– No właśnie nie mogę. On po raz pierwszy chce odpuścić. Akurat teraz. Akurat w tym roku, kiedy w końcu ktoś odnalazł ich listy i rzeczywiście mógłby jakoś pomóc. Ona z kolei nie jest pewna, ale nawet jeśli przyjdzie, a jego nie będzie, to i tak nic z tego nie wyjdzie. Jestem kompletnie załamana, bo nie wiem, gdzie ich szukać i co zrobić, żeby w końcu się spotkali.

– A może to niewarte tego całego zachodu?

– Jak to niewarte? – aż podskoczyła na krześle.

Stanisław podrapał się po nosie.

– Moja droga, w pani wieku ta historia najwyraźniej jest utkana z płatków róż lub raczej wigilijnych gwiazdek i pachnie piernikowym szczęściem. Oraz szekspirowską tragedią – dodał po chwili zastanowienia. – a dla mnie to po prostu kilkadziesiąt stron papieru zapisanych w porywach chwili przez dwie chyba nie do końca zrównoważone emocjonalnie osoby. Wydaje mi się, że świat składa się z nieco większych życiowych tragedii.

Zuzanna zerwała się z krzesła.

– Wiedziała! Wiedziała, że właśnie tak pan zareaguje. Że spłyci tę papierową miłość, opluje ten związek swoim sarkazmem i jadem człowieka bez jednej nogi! A ja głupia łudziłam się, że wspólnie razem coś wymyślimy.

– To pleonazm.

– Słucham? – Zuzannę zatkało.

– Wspólnie razem to pleonazm. Masło maślane. Dwójka bliźniaków lub dosłowny cytat.

– Jest pan okropny!

– Jestem obiektywny. Oczywiście, zgadzam się z panią, że jako jednonogi starzec pluje jadem, ale właśnie dzięki temu unikam życiowych rozczarowań. Człowiek ma chodzić po ziemi, a nie sięgać gwiazd.

– Bzdura!

Stanisław roześmiał się.

– Czyżby ktoś dał nam skrzydła?

– Nie! Ale też nie zabronił samemu ich sobie doczepić! Nie zabronił używać drabiny, windy lub czegokolwiek innego, co choć na chwilę pozwala oderwać się od ziemi.

Starszy pan nalał sobie wody do szklanki i wypił ją jednym haustem. A potem spojrzał na Zuzannę i powiedział stanowczo:

– Nie pomogę pani.

A potem coś sobie przypomniał, czym jednak nie miał najmniejszego zamiaru się dzielić ze swoją sąsiadką. Jeszcze nie teraz.

Zuzanna zeszła do swojego mieszkania, z Karoliną w klatce i łzami w oczach. Miała wrażenie, że ten dzień ostatecznie przydusił ją do ziemi i postanowił sprawdzić jej wytrzymałość.

– Pojadę do Buku. To będzie moja ostatnia szansa i wierzę, że tym razem nie będę mieć pecha. W końcu ilu może być aptekarzy Gasparów w takiej miejscowości? Na pewno jest ktoś, kto go zna lub o nim słyszał. W zasadzie powinnam od tego zacząć. Niepotrzebnie sugerowałam się tym, że ulica mi w czymkolwiek pomoże.

Weszła pod prysznic, odkręciła kurek z gorącą wodą i pozwoliła, by strumień spłukał z niej smutki dzisiejszego dnia. Postanowiła też, że więcej nie odwiedzi pana Stanisława, że ma serdecznie dość jego cynizmu i obojętności wobec innych. Co on jej jeszcze powiedział? Że światem wstrząsają wojny, zbrodnie, choroby i kataklizmy, a ona zawraca sobie głowę parą niespełnionych kochanków.

– Na zbrodnie nie mam wpływu, na trzęsienia ziemi również, ale mogę przynajmniej kogoś

uszcęśliwić.

Zaśmiał się jak zwykle i machnął ręką.

– Przedwigilijna misja dobroci, co?

Paskudny, szyderczy i kąśliwy kuternoga.

Trochę się zawstydziała.

No dobrze... Po prostu zjadliwy dziad.

Rozdział 19

WSPOMNIENIA

Trudno być szczęśliwym, kiedy człowiek przez cały czas grzebie we własnych wspomnieniach. Przeszłość, choćby nie wiem jak była piękna, jest jednak tylko przeszłością, a roztrząsanie jej, wracanie pamięcią do rzeczy, które już były i minęły, zabijają radość z teraźniejszości. Człowiek żyje tu i teraz. Nie wczoraj i nie miesiąc temu. Tekla popełniła w swoim życiu ogromny błąd, z którego jednak nadal nie zdawała sobie sprawy. Ze swojego życiorysu spłukała trzydzieści osiem lat i zrobiła to równie lekko, jak spłukuje się wodę w ubikacji. Zdusiła w sobie chęć życia, chęć do lubienia siebie i innych, nudziła ją własna praca i monotonia codzienności. Z czasem nawet w oczekiwaniu na grudzień było więcej goryczy niż nadziei.

Wspomnienia, które tak pieczołowicie pielęgnowała, stały się niemal święte, a każda próba zamazania ich przez osobę z zewnątrz kończyła się porażką. Data dwudziesty dziewiąty lipca 1976 roku była specyficznym ołtarzem niespełnionej miłości, ozdabianym przez Teklę szczególnie starannie. A przecież Tekla tak naprawdę nie знаła Gaspara, nie miała więc prawa oceniać innych przez pryzmat jego brązowych oczu. Gdyby jednak ludzie postępowali wyłącznie racjonalnie, na świecie nigdy nie byłoby cudów.

– Chciałbym jakoś związać moje życie z twoim, ale przez cały czas odnoszę dziwne wrażenie, że jesteś zamknięta w szklanej kuli – powiedział jej kiedyś ktoś, kto próbował przebić się przez szkło i dotrzeć do samej Tekli.

O dziwo, ona sama podjęła próbę wydostania się na zewnątrz, tłumacząc sobie, że przecież to w dalszym ciągu nie przekreśla wigilijnej nadziei. Nie próbowała jednak rozbijać szklanej kuli, po prostu na chwilę z niej wyszła, aby rozejrzeć się po świecie i przekonać, że jednak nadal woli żyć marzeniami.

Wiktor poznała w szkole, w której pracowała. Był od niej cztery lata starszy i uczył matematyki. Początkowo w ogóle nie zwracała na niego uwagi, z czasem jednak została do tego zmuszona, ponieważ Wiktor zakochał się w niej i to bardzo stanowczo. Zakochał się w jej smutku, melancholii, fascynacji Mickiewiczem, ciemnym warkoczem i mało zachęcającym spojrzeniu zielonych oczu. A ponieważ nic tak nie działa na mężczyzn jak całkowity brak zainteresowania, Wiktor natychmiast odkrył w sobie instynkt zdobywcy. Zapraszał Teklę na kawę, kremówki i wodę sodową, zmuszał do wspólnych spacerów po Cytadeli, zabierał na lodowisko „Bogdanka” oraz pierwszomajowy kiermasz książek na Placu Wolności. Niechętnie odwiedzała to miejsce, za każdym razem wpatrując się w jedną z ławek i błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. Z czasem jednak pozwoliła Wiktorowi wziąć udział w jej codziennym życiu, a nawet sprawiła, że przez kilka miesięcy 1986 roku mógł pomyśleć, że są parą.

– Mam nadzieję, że to nie jest tylko moje złudzenie, ale że naprawdę mnie kochasz – oznajmił po wspólnie spędzonej nocy, zachwycony, że wreszcie udało mu się przełamać niechęć w jej spojrzeniu.

Tekla postanowiła nie wyprowadzać go z błędu, a nawet wysłać mylący sygnał, że być może ma

rację. Pomyślała, że zgoda na bycie z kimś innym uleczy ją z tego cholernego czekania, z tej ciągłej nadziei i smutku niespełnienia. Poza tym naprawdę chciała spróbować się zakochać i raz jeszcze poczuć się tak, jak wtedy dwudziestego dziewiątego lipca.

W sierpniu zabrał ją na Mazury. Nocowali w namiocie, jeździli rowerami na wycieczki, jedli jagody, łowili okonie i kąpali się w małym jeziorcu Kaczerajno, oddalonym około półtora kilometra od bindugi nad Śniardwami, gdzie mieli bazę. Śniardwy kwitły wtedy na zielono, a Kaczerajno było krystalicznie czyste. Tekla pływała w nim nie tylko bez ubrań, ale także po raz pierwszy bez kamienia w sercu, który do tej pory niemal bez przerwy jej towarzyszył. Całowała się z Wiktoorem, kochała z nim, a nawet wybiegła myślami odrobinę w przyszłość, by zobaczyć, jak długo będą razem. Przez ułamek życia poczuła zapach szczęścia, a obraz Gaspara z brązowymi oczami stracił na swojej ostrości.

– Wyjdiesz za mnie? – To pytanie padło jesienią, kiedy drzewa oddały swoją zielen na przechowanie i ubrały się bardziej krzykliwie. – Nie chcę dłużej być sam – powiedział Wiktor i przyciągnął ją do siebie.

„Nie chcę być twoją żoną” – pomyślała ona w tej samej chwili, ale postanowiła na razie głośno tego nie obwieszczać. Uśmiechnęła się tylko niezobowiązująco i pocałowała go w usta.

Oczywiście zinterpretował to na swoją korzyść i od tego czasu przedstawiał Teklę jako swoją narzeczoną. Aż do grudnia, kiedy zniknęła tuż przed pierwszą wspólną kolacją wigilijną, a po powrocie jej zielone spojrzenie znowu stało się odpychające.



– Nie ma pani żadnej rodziny? – Teklę wyrwały z rozmyślań słowa Moniki, która uparła się, aby jej podopieczna spróbowała ćwiczeń zalecanych przez fizjoterapeutę.

– Nie będę ćwiczyć, bo i tak nie będę chodzić – broniła się jak mogła, ale Monika nie chciała jej słuchać.

– Lekarz powiedział, że jest pani sparaliżowana od pasa w dół. Nie powiedział, że na zawsze. Rozmawiałam też z moim ojcem, on się trochę na tym zna. Proszę dać sobie szansę.

Tekla nie chciała.

– Nigdy nie wyszłam za mąż, jeśli o to pytasz – odpowiedziała teraz i zawiesiła wzrok gdzieś w przestrzeni.

– Ale...

– Tak, miałam okazję, ale nie byłam zainteresowana.

– Nigdy?

Tekla zamknęła oczy.

– Zakochałam się raz i wierz mi, wystarczy.

Monika nie naciskała, ale Tekla najwyraźniej poczuła potrzebę zwierzenia się ze swojej miłosnej historii, która nigdy nie miała dalszego ciągu. W niewielkim pokoju, przy zaciągniętych zasłonach i świetle małej lampki, popłynęła nagle opowieść o przypadkowym spotkaniu, chłopaku, który miał być miłością jej życia, o czekaniu i nadziei rodzącej się każdego roku wraz z pierwszymi płatkami śniegu.

– Naprawdę nie widziała go pani od trzydziestu ośmiu lat i nadal pisze do niego listy?

– Jeden list. Piszę jeden list w roku. Czasem to tylko kilka słów, czasem opowiadam mu, co się

u mnie wydarzyło. I przypominam o naszej godzinie i miejscu spotkania.

– Ale tak nie można.

Tekla spojrzała na nią chłodno.

– Nie można?

Monika aż złapała się za głowę.

– A jeśli on nie żyje? Albo po prostu o pani zapomniał? Albo nie wrócił z tego wyjazdu za granicę, został w Niemczech i tam się ożenił? Zmarnowała pani tyle czasu!

Tekla odwróciła wzrok.

– Nie zmarnowałam. Przeżyłam swoje życie dokładnie tak, jak chciałam. To był wyłącznie mój wybór. Nie każdy ma taki komfort, by decydować o sobie i o tym, co robi z czasem, który mu dano.

Monika kiwnęła głową.

– To prawda. Każdy ma niezbywalne prawo do spierdolenia sobie życia na własne życzenie. Pani się to świetnie udało. Przepraszam, że klnę, ale ta historia kompletnie wprowadziła mnie z równowagi.

Tekla odwróciła się gwałtownie, aż wózek niebezpiecznie się zachybotał.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nikomu nie wyrządziłam tym żadnej krzywdy.

– Poza sobą.

– Ale to moja sprawa. Moje życie i moje kawałki piołunu, które muszę zjeść. Nie każdy lubi lukier.

Monika podeszła do niej, przyklękła i spojrzała prosto w oczy.

– Naprawdę zakochała się pani aż tak mocno? Po jednym spotkaniu? Po tych paru godzinach rozmów?

Tekla westchnęła.

W *Ojcu chrzestnym* mówiono o „sycylijskim piorunie”, który nawet najbardziej rozsądnym ludziom wywraca życie do góry nogami i „burzy krew w żyłach”. Miłość to tak naprawdę konstelacja silnych emocji, nad którymi nie sposób zapanować. Z jednej strony wyzwala pokłady euforii, z drugiej budzi takie doznania jak niepokój, zazdrość i tęsknota. Wystarczy spojrzenie, czyjś zapach, ruch dłonią, by ulec całkowitemu zauroczeniu i zapomnieć o logice. Nawet krótkie rozstania wywołują fizyczny ból i nie pozwalają skupić się na zwykłych czynnościach. To jak wpadnięcie w trans, w którym rzeczywistość kształtujemy według własnych marzeń.

Tekli wystarczyło jedno spotkanie, by krew w jej żyłach została wzburzona na długie lata. Czasem karciała w duchu samą siebie za egzaltację, której uległa. I której w żaden sposób nie dało się racjonalnie wytłumaczyć. Jeśli przez pierwsze lata ciągle jeszcze myślała, że jej wigilijne czekanie ma w sobie coś z romantyzmu, z mickiewiczowskich cierpień i rozterek, tak po jakimś czasie wstydziła się swojego zachowania. A jednak coś ją pchało, coś kazało iść i czekać.

Z pór roku najbardziej lubiła wiosnę, która dodawała jej tyle optymizmu, że starczało aż do grudnia. Kiedy patrzyła, jak co roku powtarza się cykl natury, zakwitają kwiaty, na drzewach pojawiają się pąki, a wszystko to, co było szare, mdłe i bezbarwne, znowu nabiera kolorów, wierzyła, że z nią będzie podobnie. Że również ona w końcu zmieni barwę i z nijakiej Tekli przeobrazą się w kobietę, która rozbłyśnie paletą wszystkich możliwych odcieni. Tylko musi Go spotkać.

Monika patrzyła na nią zasluchana, próbując zrozumieć i przez chwilę nie oceniać.

– Pójdzie pani w tym roku?

– Przemyślałam to i jednak nie. A wiesz dlaczego? Bo nie chodzę.

– Zawiozę panią.

– Nie ma mowy. Po raz pierwszy jest już na wszystko za późno. Nawet gdyby jakimś cudem przyszedł, nie pokażę mu się na wózku.

– Więc dlaczego nie chce pani spróbować ćwiczeń? To był wylew, a nie trwały uraz kręgosłupa. Nawet nie wiemy czy to paraliż, czy tylko niedowład.

– Paraliż. Ja nie mam ograniczonych ruchów, ja prawie w ogóle nie ruszam nogami. Moje mięśnie śpią, nie reagują na bodźce nerwowe, nie chcą więcej być czynne.

– Powiedziała pani „prawie”?

Tekla wzruszyła ramionami.

– Proszę pokazać.

– Co?

– To prawie.

– Nie mam ochoty.

Monika wzięła głęboki oddech.

– To może inaczej. Miała pani wylew w styczniu, prawda? Jest grudzień. Proszę się zastanowić i odpowiedzieć mi, czy jest odrobinę lepiej albo chociaż inaczej niż te jedenaście miesięcy temu.

– Trzy miesiące po udarze przestałam nagle ruszać ręką.

Monika wzruszyła ramionami.

– To normalne. Spastyczność.

– Dla mnie to nie było normalne.

– Czasami po wylewie dochodzi do nadmiernego napięcia mięśniowego i nasze ciało nie reaguje na polecenia mózgu tak jak dotychczas. Przykurczone mięśnie uniemożliwiają pełen zakres ruchów i czasem powodują ból.

– Nie mogłam utrzymać szklanki.

– Ale to minęło, prawda?

– Pomogły leki i kinezyterapia.

Monika klasnęła w dłonie.

– Widzi pani! Jestem pewna, że uda się też cofnąć niedowład nóg!

– Paraliż.

– Niech to pani nazywa paraliżem, proszę bardzo. Ale chyba nie takim całkowitym, skoro może pani delikatnie poruszać stopami, prawda?

Tekla nic nie odpowiedziała. Choćby nawet istniał cień szansy, że jeszcze kiedyś będzie chodzić, to na pewno nie zdąży przed dwudziestym czwartym grudnia.

To koniec. I najwyższy czas się z tym pogodzić.

Rozdział 20

GABINET

Zuzanna zerwała się z łóżka z dziwnym przeczuciem, że coś ją obudziło. Usiadła w pościeli i ścisnęła dłońmi głowę. Spojrzała na zegarek – była dopiero szósta piętnaście, więc to nie budzik postawił ją na równe nogi.

Dzwonek do drzwi?

Narzuciła na siebie sweter, przyglądziła rozczochrane włosy i na palcach poszła do korytarza.

No tak. Zdecydowanie ktoś się do niej dobija.

Zerknęła przez wizjer i zobaczyła młodego chłopaka z dwiema papierowymi torbami i koszem pełnym owoców. Pomyślała, że raczej jej nie zabije jabłkami ani kartonem mleka, więc otworzyła drzwi i spojrzała na niego mało przytomnie.

– Okropnie panią przepraszam. Miałem wczoraj dostarczyć zakupy temu starszemu panu, który mieszka piętro wyżej, ale całe popołudnie mi nie otwierał. Przyszedłem więc teraz, jeszcze przed pracą, ale nadal nic. A ja zaraz muszę wracać z powrotem.

– Pleonazm – mruknęła Zuzanna.

– Słucham? – zdumiał się młody chłopak, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

– Nie, nic. Taki lapsus słowny, ale to naprawdę bez znaczenia. A jak mogę panu pomóc?

– Może będzie mieć pani więcej szczęścia i zastanie go w domu? Ja naprawdę muszę już lecieć i nie wiem, o której będę mógł dzisiaj przyjechać po raz drugi.

Zuzanna niechętnie, ale się zgodziła. W końcu pan Stanisław zajął się Karoliną, poza tym czuła się trochę niezręcznie, że wyszła od niego wzburzona i pełna złości. W końcu ona ma obie nogi.

Kiwnęła więc głową na zgodę, ustawiła torby z zakupami w korytarzu i uśmiechnęła się pobłażliwie na widok wdzięczności na twarzy dostawcy. „Przedwigilijna misja dobroci”? A proszę bardzo.

Zanim poszła do pracy, dwa razy dzwoniła do drzwi pana Stanisława, ale nikt jej nie otworzył. Początkowo myślała, że może udaje, iż nie słyszy, ale potem wystraszyła się, że zasłabł albo stracił przytomność, a ona nie ma żadnej możliwości, żeby wejść do środka. Pomyślała więc, że jeśli po pracy nadal nie będzie otwierał, wezwie policję.

– Spokojnie, może naprawdę gdzieś wyszedł. Czy on ma wózek? – spytała Miła, kiedy zaniepokojona Zuzanna opowiedziała jej o swoim zrzędlwym sąsiedzie.

Przytaknęła.

– Chyba widziałam wózek, chociaż najczęściej chodzi o kulach.

– No, widzisz. To pewnie wyszedł nałykać się świeżego powietrza. Po południu spróbujesz znowu, a teraz leć do magazynów, bo mają tam istne urwanie głowy.

Biuro dosłownie pękało od ilości coraz to nowych paczek.

Powoli kończyło się miejsce na upychanie kolejnych przesyłek, z drugiej strony brakowało czasu,

by zając się poszukiwaniami adresatów.

– Trudno – powiedziała pani Aneta, ubrana w czekoladowe spodnium oraz zielony krawat. Przypominała posąg z odlupanym środkiem, który pokrywała patyna. – Odpuszczamy na razie próby ustalenia szczęśliwych posiadaczy tych skarbów i zajmujemy się wyłącznie segregacją. W styczniu będzie więcej czasu, żeby zając się odnajdywaniem prawowitych właścicieli. O, jesteś. I całe szczęście. – Pani Aneta przeniosła wzrok na Zuzannę, uniosła nieznacznie brwi na widok jej wiszących kolczyków składających się z trzech papierowych kulek pomalowanych na czerwono i wskazała ręką stojące kartony.

– To wszystko przyszło wczoraj. Jest już prześwietlone i sprawdzone, trzeba rozpakować, opisać i rozmieścić na półkach. Do roboty! Elfy nam nie pomogą, wszystko musimy robić sami – dodała jeszcze i poszła do swojego gabinetu, postukując obcasami brązowych kozaczków.

Zuzanna westchnęła i zabrała się do pracy. Siedem lusterek samochodowych w tym samym kolorze? Nadmuchany balon? Wyrzutnia smakołyków dla psów i kotów? Podświetlana solniczka? Gdyby ktoś kiedyś zechciał otworzyć sklep z zawartością tych wszystkich paczek, pewnie trafiłby do Księgi Rekordów Guinnessa. W zasadzie nic tu nie było normalne, zwykłe lub choćby w miarę przydatne. No, może z wyjątkiem stu pięćdziesięciu długopisów o turkusowym kolorze wkładu.

W drodze do domu Zuzanna wstąpiła do „Kawiarni”.

– Hej, nie było cię ani dzisiaj, ani wczoraj. Myślałem, że dopadła cię jakaś grypa – zawołał na jej widok Maciej i od razu uruchomił ekspres do kawy.

– Mam urwanie głowy – przyznała. – Poza tym wczoraj musiałam być w Poznaniu, a dzisiaj rano coś mnie zatrzymało – dodała, myśląc o panu Stanisławie i o tym, że powinna jak najszybciej sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

– Wypij kawę. To taki mój świąteczny eksperyment – z laską cynamonu, gwiazdką anyżu i odrobiną likieru pomarańczowego.

Kawa była zdecydowanie alegorią świąt i gdyby z jakiegoś powodu ktoś nie znosił Bożego Narodzenia, po wypiciu tej mieszanki pokochałby je bardziej niż króliczek świeżą sałatę.

– Dziękuję. – Zuzanna spojrzała na Macieja z uśmiechem w oczach i po raz pierwszy od wczoraj poczuła, że ciągle ma szansę. Że jeśli tylko pojedzie do Buku, wszystko się jakoś ułoży. Problem polegał na tym, że Wigilia była za cztery dni, a ona nie miała już wolnego.

„Coś wymyślę” – przekonywała samą siebie i po raz trzeci dzisiejszego dnia zadzwoniła do drzwi pana Stanisława. Karolinę wzięła na wszelki wypadek ze sobą. W końcu chyba się polubili.

– Kto tam? – usłyszała, zanim zdążyła sobie wyobrazić, że starszy pan leży w kałuży krwi wskutek potknięcia się o krzesło i wyrznięcia głową o kant stołu.

– Jest pan! – zawołała nawet ucieszona.

– Dobra, cud – zakpił natychmiast.

– Proszę otworzyć, mam dla pana zakupy.

– Zakupy przynosi mi pewien przyszczaty nastolatek, więc nie kłam, młoda damo.

Zuzanna przewróciła oczami.

– Ale tym razem pan go nie wpuścił.

– Ha. Ha. On będzie dopiero dzisiaj. Przychodzi w poniedziałki.

– Mamy wtorek.

Szczęk otwieranych drzwi najwyraźniej ucieszył Karolinę, która natychmiast pofrunęła w stronę przedpokoju, muskając w locie czoło pana Stanisława tylną łapką.

– Jak to wtorek?

Zuzanna wzruszyła ramionami.

– Normalnie. Wczoraj był poniedziałek, to dzisiaj jest wtorek. Zgubił pan dzień?

Najwyraźniej tak właśnie było.

Starszy pan potarł ręką czoło i oznajmił.

– Byłem zajęty. No dobrze, proszę wejść, skoro już to pani przytaszczyła na górę. Proszę zanieść wszystko do kuchni i pożegnać się ze mną bez żadnych dyskusji ani prób nawiązania dłuższej rozmowy. Po pierwsze, nie mam czasu, po drugie, nienawidzę kretyńskich historii miłosnych.

– Wiem. Nietrudno się zorientować – mruknęła Zuzanna i poszła w stronę kuchni.

W tym samym momencie Karolina zauważyła uchylone drzwi do pokoju, który do tej pory był zamknięty. Postanowiła przekonać się, czy jest duży i czy starszy pan nie poukrywał w nim jakichś czekoladek. Zanim Stanisław zdążył postawić weto, przeleciała pięknym łukiem w stronę gabinetu, odbiła się jednak niefortunnie od drzwi i wylądowała centralnie na klawiaturze komputera.

– Karolino! – zawołała przerażona Zuzanna i pobiegła za lotopałanką do pokoju.

– Nie wchodzić! – krzyknął jednocześnie starszy pan.

Zuzanna jednak była już w środku i z zachwytem rozejrzała się po wnętrzu.

Pokój składał się z książek. Od podłogi aż po sufit, na wszystkich czterech ścianach stały półki, a książki dodatkowo leżały na podłodze ustawione w spore stosiki. Pośrodku środkowej ściany znajdowało się okno, a pod nim biurko. Nad oknem oraz na jego szerokim parapecie również stały lub leżały książki. Po prawej stronie biurka uwagę przykuwał zwłaszcza jeden regał, na którym znajdowało się kilkadziesiąt podobnych tomów, różniących się od siebie kolorem obwoluty.

Chłopiec i zagubiony lis

Chłopiec i podróż przed siebie

Ogromne serce małego Chłopca

Chłopiec i szemrzący strumyk

Zuzanna oderwała na chwilę wzrok od książek i spojrzała na pana Stanisława.

– Pięknie tu – powiedziała. – Zupełnie jakby czas stanął w miejscu. Nie było smartfonów, telewizorów, konsol z grami. Tylko książki. Tylko litery, które zabierają w najpiękniejsze podróże po świecie fantazji.

Pan Stanisław patrzył na nią milcząco, a potem powiedział:

– Ludzie przestają myśleć, gdy przestają czytać.

– Ładnie powiedziane.

– To nie ja. To Diderot, ale umówmy się, że w pełni się z nim zgadzam. Szkoda tylko, że coraz więcej osób przestaje myśleć.

Nagle wzrok Zuzanny padł na maszynopis leżący obok komputera.

– Co to jest? – krzyknęła donośnie i sięgnęła po pierwszą stronę.

– Młoda damo, pora na ciebie. Na twojego wścibskiego torbacza również. Poza tym nie wiem, dlaczego wrzeszczysz.

– Co to jest? Niech mi pan tylko powie, co to jest?

– Moje opowiadanie, zadowolona? Jestem pisarzem, jeśli się jeszcze nie domyśliłaś, ale wolałbym, abyś zachowała tę wiadomość dla siebie. I obniżyła nieco dźwięk swojego głosu.

Zuzanna wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. A potem raz jeszcze spojrzała na pierwszą stronę maszynopisu.

Rozdział 21

PIERNIK NA SPIRYTUSIE

Tekla z trudem usiadła na specjalnym taborecie w kabinie prysznicowej, odkręciła wodę i zamknęła oczy. Ciepła woda zawsze ją uspokajała i przyjemnie rozgrzewała ciało. Poruszyła ostrożnie prawą stopą.

Fakt. Coś się zmieniało od ostatnich tygodni. Tekla była przekonana, że jeszcze jakiś czas temu obie jej nogi były jak z kamienia. Odwołała nawet zajęcia z rehabilitantem, do czego przyznała się Monice, która, mówiąc łagodnie, porządnie ją opieprzyła.

– Coś pani przeczytam – powiedziała dwa dni później, rozkładając jakąś broszurkę dla osób po wylewie. – „Właściwy okres rehabilitacji ruchowej rozpoczyna się z chwilą, gdy systematyczne stosowanie ćwiczeń nie wywołuje żadnych zakłóceń i nie zagraża żadnymi powikłaniami. Wczesne usprawnianie kończy się sukcesem u około dziewięćdziesięciu procent chorych”. Słyszała pani? Dziewięćdziesięciu! „Wymaga ono dokładnego określenia przez lekarza rodzaju ćwiczeń, liczby ruchów, jaką chory ma wykonać jednorazowo, ich rytmu oraz liczby powtórzeń w ciągu dnia”.

Tekla nie odpowiedziała, ale w jej głowie zapalił się promyczek nadziei. Może rzeczywiście za szybko się poddała? Skoro potrafiła czekać na męzczyznę życia trzydzieści osiem lat, to dlaczego w tym przypadku odpuściła już po paru miesiącach?

– Co tam jeszcze piszą? – spytała, udając, że interesuje się tym wyłącznie z grzeczności.

Monika puściła do niej oko i czytała dalej:

– Uruchamianie czynne rozpoczyna się od siadania w łóżku z podparciem pleców, a następnie siadania na łóżku z opuszczonymi nogami, przechodząc stopniowo do siadania w fotelu i stania przy łóżku. Jeśli chory utrzymuje pozycję pionową przez co najmniej dziesięć minut, można przejść do zmiany pozycji z siedzącej na stojącą. Pani Teklo, przecież pani prawa noga nie jest tak do końca nieruchoma, prawda? Gorzej jest z lewą stroną ciała. Niech mi pani zaufa, regularne ćwiczenia i systematyczna rehabilitacja sprawią, że znowu będzie pani chodzić. Czy to nie jest warte przynajmniej spróbowania?

Tekla westchnęła. Denis de Rougemont, autor książki *Miłość a świat kultury zachodniej*, którą czytała kilka lat temu, twierdził, że każdy człowiek jest mniej lub bardziej zatruty. I że ta trucizna często nie pozwala rozsądnie myśleć. Jeśli nawet Tekla była zatruta miłością do Gaspara, to czy to oznaczało, że powinna się poddać w kwestii własnego zdrowia? Odpuścić? Położyć się w łóżku i wyć z rozpacz?

– Nie wiem, czy nie jest za późno – powiedziała ostrożnie, ale Monika tylko machnęła ręką.

– Proszę mi obiecać, że zaraz po świętach zaczynamy ostro ćwiczyć. Popytam wśród znajomych i z pewnością znajdę dla pani odpowiedniego rehabilitanta. Możemy też razem jeździć na dodatkowe zajęcia. Przynajmniej będzie miała pani wypełniony czas. A na razie może trochę tu posprzątam? Za chwilę Boże Narodzenie, pora wpuścić do domu świątecznego ducha. A on bardzo lubi zapach wymytych okien, świeżego prania, no i oczywiście piernika. Mama zawsze mi to powtarza.

Tekla pomyślała, że ten dzień nagle pojaśniał, choć przez ostatnie miesiące wydawało jej się, że świat spowiła jakaś mroczna mgła, przez którą trudno przebić się wzrokiem. Ale może to był tylko kurz?

– Zagracona szafa jest źródłem niepotrzebnego stresu. Sprzyja brakowi koncentracji, chaosowi i wewnętrznemu rozbiciu. Plus standardowej rozterce „i tak nie mam co na siebie włożyć”. Podobno niekontrolowane zbieractwo i chomikowanie powinno się leczyć. Najlepiej zacząć od razu, bez wsparcia farmakologicznego – paplała tymczasem Monika, otwierając na oścież wielką szafę w sypialni i z przerażeniem patrząc na poupychane tam byle jak ubrania.

Tekla pomyślała, że w zasadzie jest jej wszystko jedno. I tak nigdzie nie wychodziła.

– Musimy koniecznie odgruzować pani szafę. Tu nie ma miejsca dosłownie na nic. Zupełnie jakby gromadziła pani ubrania na jakiś konkurs. Jestem pewna, że połowa z tego jest za ciasna, za brzydka i skubnięta przez mole. – Monika doszła do wniosku, że najlepszym pomysłem na rozruszanie pacjentki będzie zajęcie jej głowy czymś zupełnie innym.

Udało się.

Po mniej więcej dwóch godzinach szafa wyglądała jak z katalogu. Tekla miała serdecznie dość porządków, ale delikatne rumieńce na jej policzkach były dowodem na to, że całkiem nieźle się bawiła.

– Pamiętam, kiedy kupowałam tę sukienkę – powiedziała z rozmarzeniem. – To był absolutny hit tamtego lata i wszystkie kobiety mi jej zazdrościły.

Monika uśmiechnęła się.

Sukienka rzeczywiście była wyjątkowa. Biała z wymalowanymi pośrodku ogromnymi, czerwonymi ustami oraz parą oczu. Jedno było zamknięte, drugie łypało na świat niebieską tęczę. – Trochę picassowska – zauważyła Monika. – Zostawię ją, bo to dzisiaj rzeczywiście unikat.

Podobnie jak to zielone spodnie.

To fakt. Szerokie spodnie w kolorze soczystej zieleni, z naszytą na jednej nogawce wielką, czerwoną żaglówką. Czy to nie był czasem projekt Grażyny Hase? Do tego kamizelka przewiązywana w pasie oraz opaska na głowę z efektowną kokardą z przodu. Tekla ani razu nie założyła tej kreacji, bo najzwyczajniej w świecie nie miała odwagi, ale zawsze z zachwytem patrzyła na ten strój, wiszący od ponad trzydziestu lat w jej szafie.

– Ale srebrzystych sweterków z cekinami, z rękawami a’la nietoperz mogą się chyba pozbyć, prawda? – Monika puściła do niej oko. – i koronkowych rękawiczek do łokcia też?

Tekla sama nie wiedziała, dlaczego wcześniej nie wyrzuciła starych ubrań. Kupowała je zawsze z myślą o Gasparze, o tym, co powie, jak ją zobaczy w tych wszystkich kreacjach. Może podświadomie czuła, że kiedyś będzie mieć jeszcze taką okazję.

– Wyrzucić – powiedziała w końcu. Bo nawet jeśli jakimś cudem go spotka, to raczej nie założy już długiej spódnicy z tafty w czerwono-zieloną kratę, haftowanej w pasie w góralskie motywy ludowe.

– Skoro na tyle rzeczy się dzisiaj pani zgodziła, to może dogadamy się też jakoś w sprawie Wigilii?

Tekla zeszywniała.

– Nie. To już postanowione. Nie pojedę tam na wózku. On mnie pamięta jako młodą, piękną i zdrową dziewczynę, a nie kalekę.

– Nie jest pani kaleką.

– Na razie jestem. Poza tym on nie przyjdzie, bo niby dlaczego właśnie teraz? Ale ty już idź. Mam już dość twojego głosu, twoich ruchów, porządków i całego tego hałasu. Gadasz jak najęta.

Monika westchnęła ciężko.

– Dobrze, nie będę pani męczyć. Ale zanim pójdę, upiekę jeszcze piernik. Jest lepszy, jak trochę poleży. A przed samą Wigilią przełożę go konfiturą morelową i masą orzechową. Muszę go zrobić, bo pewne rzeczy są po prostu nieśmiertelne. Takie jak na przykład *Last Christmas* zespołu Wham. Teoretycznie gdy tylko usłyszymy pierwsze nuty tej piosenki, powinniśmy jak najszybciej zatkać sobie uszy, bo w końcu ile można. A jednak nadal pozostaje ona hitem numer jeden i muszę przyznać, że gdy tylko ją słyszę w radio, automatycznie podkręcam dźwięk. Bo święta Bożego Narodzenia bez *Last Christmas* po prostu nie istnieją. Tak jak bez piernika. To przepis jeszcze mojej babci, która zawsze nasączała ciasto odpowiednią ilością spirytusu, przez co był bardziej mokry i długo zachowywał świeżość. – Moniki najwyraźniej nie zraziła uwaga, że za dużo mówi.

Tekla wzruszyła ramionami. Ale kiedy w mieszkaniu zapachniało cynamonem, przyprawą korzenną i miodem, poczuła jak duch święt odrobinę przeniknął jej ciało. Nawet bez *Last Christmas*.

Rozdział 22

CHŁOPIEC I BURSZTYNOWA ŁZA

Mila z uśmiechem spojrzała na Michała, któremu z wrażenia aż poczerwieniały policzki.

– Naprawdę tu jest? – szepnął cicho.

Skinęła potakująco głową.

– Poczekaj chwilę – powiedziała i wyszła na korytarz.

– Jaki to ma być zabieg? – spytał Stanisław.

– Miektomia przegrody międzykomorowej z walwuloplastyką zastawki mitralnej – wyjaśniła.

– Nie zrozumiałem połowy słów, ale uda się, prawda?

– Jasne! Jutro rano będzie już po wszystkim. A teraz niech pan do niego idzie.

Starszy pan wszedł do pokoju, starając się przybrać neutralny wyraz twarzy. Nie lubił się rozklejać, poza tym miał ważne zadanie do wykonania. Kiedy Zuzanna chaotycznie zaczęła opowiadać o chorym chłopcu, który nie dostał jego listu ani tym bardziej bajki, bo wszystko trafiło do Biura Przesyłek Niedoręczonych, początkowo myślał, że postradała zmysły. Ale ona nie pozwoliła mu o nic pytać, tylko natychmiast zadzwoniła po jakąś Milę i kazała jej bezzwłocznie przyjeżdżać. Cały czas przy tym biegała, machała rękami, śmiała się jak zwariowana i powtarzała, że nie może uwierzyć w taki zbieg okoliczności. I że teraz już wie, że absolutnie każdy list trafi w końcu do tej osoby, do której został napisany. Oczywiście plotła też o cudach.

– To niewiarygodne, wspaniałe, tylko teraz musimy się pospieszyć – mówiła bez ładu i składu, doprowadzając do zdumienia nie tylko swojego sąsiada, ale także Karolinę.

Zanim Stanisław zdążył cokolwiek wtrącić lub zaproponować łyk czegoś na uspokojenie, Zuzanna wyciągnęła z szafy jego płaszcz, kapelusz, przygotowała wózek i powiedziała, że jeśli trzeba będzie, to siłą zaciągnie go do Warszawy. A wcześniej uśpi chloroformem, żeby się nie rzucał. Nie miał takiego zamiaru, ale i tak poczuł się zagrożony. Na szczęście w porę przyjechała Mila i ze spokojem, choć i wypiekami na twarzy, wszystko dokładnie mu wyjaśniła.

– To chyba jakiś dzień cudów. Najpierw zadzwonił do mnie aptekarz, któremu udało się ustalić miejsce pobytu chłopca, a potem Zuza znalazła samego Pisarza! Pojedzie pan, prawda?

Skinął głową. Dzieciom się nie odmawia, nawet jeśli wcześniej będzie musiał spędzić kilka godzin w towarzystwie tych dwóch dziwnych kobiet. Jedna z nich jest porządnie szurnięta, druga wygląda znacznie poważniej, choć ma na sobie śmieszny szalik w kolorze ciemnej czerwieni, z doczepionymi do brzegów wełnianymi malinami i truskawkami. Przypomina trochę słoik z dżemem. Postanowił, że po powrocie przeprowadzi się do innego miasta, w przeciwnym razie skończy się jego życie samotnika i odludka. Na razie jednak miał zadanie do wykonania. W końcu naprawdę obchodził go los Michasia, który kilka tygodni temu napisał do niego taki piękny list. Szkoda, że jego bajka w porę nie dotarła do chłopca, obyłoby się bez tego całego zamieszania.

– Mam duży, wygodny samochód. Nie korzystam z niego, ale jest sprawny. I nie biorę żadnego wózka, kule wystarczą.

Pół godziny później ruszyli do Warszawy.



– Cześć, Michał.

Chłopiec przyłożył sobie rękę do ust i szybko zamrugął powiekami.

– To naprawdę pan? Naprawdę?

Stanisław poczuł się wyjątkowo. Co innego dostawać od dzieciaków pełne uwielbienia listy, a co innego zobaczyć ten szczery zachwyt na twarzy jednego z nich. I wierzę, że wystarczy jego obecność, by operacja zakończyła się sukcesem. Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, czego bardzo nie lubił. Zawsze denerwowali go ludzie nadmiernie roztkliwiający się, ryczący jak małe bobry nad rzewnymi filmami i łkający na widok nowo narodzonych szczeniaczków. Ten poziom infantylizmu emocjonalnego był mu nie tylko obcy, ale także w najwyższym stopniu nieakceptowalny w codziennym życiu. Owszem, dopuszczał go w swoich bajkach, ale to przecież były tylko słowa. Wyrazy, za którymi niekoniecznie stało prawdziwe wzruszenie. A teraz on sam stoi z wilgotnymi powiekami i czuje, że drapanie w gardle wcale nie jest wynikiem wczorajszego picia wina.

Odchrząknął oburzony reakcją własnego ciała i powiedział chrypliwym głosem:

– Chyba mam ochotę z tobą dłużej pogadać, ale najpierw muszę ci coś przeczytać. Jutro rano operacja, musisz być wypoczęty i wyspany, więc nie mamy za dużo czasu.

– Naprawdę napisał pan bajkę tylko dla mnie?

– Wyłącznie. Prywatna opowieść o bursztynowej łzie dla mojego prywatnego czytelnika.

Michał zacisnął piąstki i zamknął oczy.

– To... ja... słucham.

Chłopiec i bursztynowa łza

Chłopiec z zaciekawieniem przyglądał się chmurom. To niesamowite, jak szybko potrafiły zmieniać swój kształt. Przed chwilą jedna z nich była wilkiem, by po chwili stać się łagodnym króliczkiem kicającym po błękitnym niebie. Dobrze, że mieszkał w domu z balkonem. Marzył mu się co prawda duży ogród, ale balkon też spełniał swoją funkcję. Mama pozawieszała na balustradzie donice z kolorowymi kwiatami, ale sam balkon zostawiła pusty. Dzięki temu miał dużo miejsca. On i jego Wózek.

Chłopiec nie lubił Wózka, ale tak naprawdę tylko dzięki niemu mógł się swobodnie poruszać. Nie było to łatwe. Najbardziej przeszkadzały mu wysokie chodniki i schody, przy których nikt nie zamontował podjazdów, ale i tak cieszył się, że nie musi leżeć w szpitalu i patrzeć w sufit. Bo takie dzieci też widział. O jednej dziewczynce mówił nawet Śpiąca Królewna, bo przez cały czas pobytu w szpitalu ani razu nie otworzyła oczu. Podobno też miała Wypadek. Tak jak on. Samochód, którym jechali nad morze, jakoś tak źle wśliznął się w zakręt, a potem wyleciał z trasy i kto wie, jak długo jeszcze musieliby koziółkować, gdyby nie drzewo. Chłopiec pamiętał tylko, że strasznie zakręciło mu się w głowie, a jego ciało nagle pękło. Pan Doktor powiedział później, że to nie ciało pękło, tylko jakaś bardzo ważna kość w kręgosłupie, ale i tak miał dużo szczęścia. A potem dostał Wózek i w jakimś sensie musiał nauczyć się życia na nowo. Bez roweru, bez biegania za piłką, bez zabaw z innymi dziećmi.

Chłopiec znowu popatrzył w niebo. Chmura, która była choinką, nagle zmieniła się w misia. Puchatego, grubiułkiego misia z jednym uchem. Chłopiec roześmiał się i pomachał mu rączką.

Najbardziej lubił bajki. Magiczne opowieści o światach, które istniały tylko w czyjejs wyobraźni, o odległych krainach, smokach, rycerzach, wikingach lub piratach. Kochał też legendy, zwłaszcza takie, w których ktoś

spełniał cudze marzenia. Jak ta o bursztynowej łzie.

– I naprawdę ten, kto ją znajdzie, może zażądać, czego tylko chce? – pytał Mamę z wypiekami na twarzy.

Mama kiwała głową.

– Obojętnie co to by było?

– Na tym polega siła bursztynowej łzy. Zamknięto w niej moc córki władcy mórz, która w ten sposób chciała podarować ludziom odrobinę swojej potęgi. Ale ponieważ nie umiała sama zdecydować, komu dać bursztynową łzę, uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie przypadek. Ten kto ją znajdzie, na pewno będzie osobą, która mądrze wykorzysta swoje marzenie.

– Ale nikt jej jeszcze nie znalazł? – upewniał się Chłopiec.

– Nikt nie wie, gdzie jej szukać. Ale tak naprawdę to bursztynowa łza musi odnaleźć tego, kto będzie potrzebował jej pomocy.

Chłopiec zapatrzył się w okno.

To musi być on! Przecież tak bardzo znowu chciałby chodzić! Tak bardzo chciałby zagrać w piłkę! I odstawić ten wstrętny Wózek do piwnicy.

Dni mijały leniwie, a słońce grzało coraz mocniej. Lato pachniało czereśniami, truskawkami i lodami waniliowymi. I pachniało też Urodzinami, które już niedługo miał obchodzić Chłopiec.

– Masz jakieś specjalne życzenie? – Mama usiadła na jego łóżku i pogłaskała go po bladej buzi.

Chłopiec zastanowił się.

– Może Misia? Z jednym uszkiem. I żeby został moim najlepszym przyjacielem.

– Chciałbyś może pojechać ze mną do sklepu i sam sobie wybrać?

Chłopcu zajaśniały oczy. Lubił sklepy. A już najbardziej na świecie uwielbiał sklepy z zabawkami. Świat pluszaków. Kraina ludzików Lego. Roboty z Gwiazdnych Wojen. Śmiejące się Minionki. Bałwan Olaf z Krainy Lodu.

Zaklaskał w ręce.

Dokładnie w dniu Urodzin pojechali z mamą do sklepu. Misie najwyraźniej ucieszyły się na widok chłopca i zachęcająco prezentowały swoje misiowe wdzięki na sklepowych półkach. Było ich tak dużo i tak bardzo się od siebie różniły, że Chłopiec początkowo zupełnie się pogubił. Były misie zielone, brązowe i białe, były też różowe, a nawet takie, które mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Jeden potrafił śpiewać, drugi tańczyć, a jeszcze inny – fikać koziołki.

– Chciałbym takiego z jednym uszkiem – szepnął Chłopiec.

Mama bezradnie rozejrzała się po półkach.

– A może ten? – spytała i podała mu białego misia w czarnym ubranku.

Chłopiec pokręcił głową.

– Ma dwa uszka i jest jakiś taki elegancki.

– A ten? – kolejny miś był naprawdę imponujący. Jego futerko pokryte było czymś lśniącym, a na dodatek zabawka potrafiła chodzić! Wystarczyło nacisnąć guzik pod brzuszkiem.

Chłopiec uciekł ze wzrokiem.

– Nie chcę misia, który więcej potrafi niż ja... – powiedział cicho, a Mama szybko podała mu kolejnego. Zwykłego, brązowego z łatką na brzuchu.

Ale to też nie był ten miś.

I nie znaleźli go również w trzech innych sklepach, ani na straganie pod Rondem, ani w osiedlowym markecie.

– A może go narysuj? Będzie łatwiej szukać – zaproponowała Mama, ale Chłopiec był już bardzo zmęczony.

– Wróćmy na chwilę do domu. Zjemy tort i zastanowimy się, co dalej – powiedziała Mama i pchnęła Wózek. Kiedy mijali śmietnik, Chłopiec z zaciekawieniem spojrzął na dwa koty, szarego i rudego, siedzące majestatycznie

na wielkim, zielonym kontenerze. Zajadały właśnie resztki z puszki po rybie i oblizywały się ze smakiem.

– Co tam jest? – zainteresował się nagle Chłopiec.

– Gdzie? – wzrok Mamy powędrował za ręką synka.

Obok rudego kota leżało coś równie rudego, choć mocno zakurzonego. I chyba miało na sobie resztki ryby.

– A fuj! – otrząsnęła się Mama.

– Pokaż, pokaż! – zawołał jednak Chłopiec, więc Mama wyciągnęła chusteczkę do nosa i z lekkim obrzydzeniem sięgnęła po rude coś.

Oczy Chłopca rozbłyły niczym latarnia morska.

– Miś! Mamo, to jest Mój Miś!

Mama spojrzała na znalezisko.

To faktycznie był Miś. Brudny, z resztkami jedzenia na rudym futerku.

Bez ucha. I bez jednej nogi.

– A fuj – powtórzyła.

– Tak go nazwiemy! Afuj! Bo to jest właśnie on! Mój Miś bez Uszka! Wykąpiemy go! I zamieszka z nami, dobrze?

Czasami dorośli muszą się zgodzić na coś, co absolutnie nie mieści im się w głowach. Ale to muszą być mądrzy dorośli, a Mama Chłopca taka właśnie była.

Owinęła więc Afuja reklamówką i położyła Chłopcemu na kolanach. A potem pomachała ręką dwóm śmietnikowym kotom. Szaremu i rudemu.

Kąpiel Afuja przebiegała bardzo ostrożnie. Początkowo Mama chciała wrzucić Misia do pralki, ale Chłopiec stanowczo zaprotestował.

– Zakręci mu się w głowie... Jak mi wtedy... – urwał, a Mama nie pozwoliła mu dokończyć. Wyciągnęła z szafki dużą miskę, nalata do niej ciepłej wody i poziomkowego płynu do kąpieli. Delikatnie włożyła misia do miski i powoli zaczęła masować jego brudny brzusek, trzy łapki i małą, kształtną główkę z jednym uszkiem. Różowa piana natychmiast zrobiła się szara, ale już po dziesięciu minutach miś był nie do poznania. Mama wysuszyła jego futerko suszarką, a potem miękką szczotką dokładnie wycesała. Afuj był naprawdę piękny. Złocistorudy, z białą łatką na brzuchu i mądrymi, błyszczącymi, brązowymi oczami. Szkoda, że nie miał jednej nogi. Chłopiec z całej siły go przytulił, a godzinę później spali razem w jednym łóżku.

To były naprawdę udane Urodziny, mimo że z wrażenia Chłopiec nie zdmuchnął świeczek na torcie.

Tym razem pojechali nad morze pociągiem. Afuj siedział z nosem przyklejonym do szyby i podziwiał zmieniające się jak w kalejdoskopie obrazy. Chłopiec pokazywał mu pola i krowy, i ujadające psy. I stacje kolejowe pełne pasażerów i kolorowych walizek. Razem śmiali się z pani w wielkim, pomarańczowym kapeluszu, na którego sam środek narobił przelatujący gołąb. Ale pani tego nie zauważyła, tylko dalej odgrywała wielką damę. Z kupą na głowie. Zjedli kanapki z żółtym serem i pomidorem, a potem Mama po raz kolejny opowiedziała im legendę o bursztynowej łzie.

O siedemnastej pociąg dojechał do Kołobrzegu.

Jeszcze tego samego dnia poszli na plażę. Chłopiec nie mógł się doczekać, kiedy pokaże Afujowi wielkie, szumiące Morze. I fale, i mewy, i złoty piasek.

– Musisz uważać, kiedy będziesz coś jadł, bo mewy lubią podkradać jedzenie – pouczał Chłopiec Afuja. – I nie podchodź zbyt blisko morza, bo fale mogą być niebezpieczne.

Mama uśmiechnęła się smutno. Tak bardzo by chciała, żeby Chłopiec mógł znowu sam podejść do brzegu, nawet gdyby miała co chwila przypominać mu, żeby nie wchodził zbyt głęboko do wody. Na razie postawiła Wózek na

piasku i na rękach zaniosiła Chłopca do morza. Piszczął z radości, kiedy go ochlapała, więc prysnęła też słoną wodą prosto w czekoladowy nos Afuja. Obaj byli zachwyceni. Zostali na plaży aż do zachodu słońca, siedząc na rozgrzanym piasku i wpatrując się w ogromną, pomarańczową kulę słońca, zatapiającą się powoli w granatowej, morskiej pierzynie.

– A jutro wezmę cię do latarni morskiej – szepnął Chłopiec Afujowi do ucha i pogłaskał go po uszku, którego nie było.

Śniadania były przepyszne. Twarożek ze szczypiorkiem, malinowe pomidory, kubek kawy zbożowej i świeże, pachnące bułki. Chłopiec zajadał z ogromnym apetytem, a Mama ze śmiechem pytała się, gdzie on to wszystko pomieści. O ósmej byli już na plaży. I to był najlepszy czas, bo większość turystów jeszcze wylegiwała się w łózkach albo powoli szykowała do plażowania. Tymczasem Chłopiec, Afuj i Mama spacerowali wzdłuż morskiego brzegu, gdzie piasek był wystarczająco twardy, by swobodnie pchać Wózek, lub siedzieli na kocu i grali w zgadywanki. Nad ich głowami krążyły zaciekawione mewy, a morski wiatr bawił się włosami Mamy i Chłopca.

– Mogę trochę do wody? – spytał Chłopiec.

Mama wzięła go na ręce i zaniosiła do morza. Afuj został na kocu i pilnował ich dobytku.

Słońce odbijało się w niebieskiej wodzie, fale łagodnie szumiały, a Chłopiec wpatrywał się w morskie dno, szukając muszelek. Nagle znieruchomiał.

– Mamo – szepnął cichutko... – koło twojej prawej nogi coś błyszczący. Nie ruszaj się, bo piasek wszystko zakryje.

Mama spojrzała w dół. Rzeczywiście. Delikatnie przesunęła stopę i dotknęła twardej kulki.

– Może to perła? – ucieszył się Chłopiec.

Mama ostrożnie schyliła się i wyciągnęła skarb.

Otworzyła zapiaszczoną dłoń...

– To niemożliwe! – zawołał Chłopiec. – To po prostu niemożliwe!

Na wyciągniętej dłoni leżała... bursztynowa łza. Mieniła się odcieniami złota, brązu i delikatnej zieleni. Nie mieli żadnych wątpliwości.

– Mamo! Będę mógł spełnić swoje największe marzenie! – Chłopiec z całej siły przytulił się do Mamy i pomachał przyglądającemu się im z zaciekawieniem Afujowi.

Tego wieczora nie mógł zasnąć. Chciał poczekać, aż na niebie pojawi się Księżyc, bo legenda głosiła, że życzenie trzeba wypowiedzieć wtedy, gdy bursztynowa łza zostanie oświetlona księżycowym blaskiem, a następnie z zamkniętymi oczami wyrzucić ją za siebie, by trafiła do kolejnej potrzebującej osoby.

Mama pogłaskała go po głowie.

Chłopiec spojrzał na niebo i powiedział.

– Chyba już czas...

Wyprostował się, wyciągnął przed siebie bursztynową łzę, którą zaciskał w piąstce, podjechał do okna i otworzył je na oścież.

– Chciałbym... żeby Afuj znowu miał nogę – szepnął, odwrócił się i wyrzucił łzę, która potoczyła się po kamieniach, trawie i zniknęła gdzieś w ciemnościach nocy.

A potem przytulił do siebie Misia i poprosił Mamę, żeby zaniosiła ich do łóżka. Mama zaśpiewała im ulubione kołysanki, a kiedy Chłopiec zasnął, cichutko zabrała Afuja i zaniosiła go do drugiego pokoju. Z szuflady wyjęła brązową skarpetkę, watę, nici oraz igłę. A następnie dorobiła Afujowi drugą nogę i starannie doszyła ją w brakującym miejscu.

Legenda o bursztynowej łzie musiała być przecież prawdziwa.

Księżyc zajrzał do pokoju śpiącego Chłopca i delikatnie oświetlił jego opaloną buzię oraz miękką kołdrę w niebieskie muszelki. A potem zerknął na Afuja, wtulonego w ramiona swojego największego przyjaciela i sypnął w jego stronę księżycowym pyłem. Miś poruszył się i łypnął swoim brązowym okiem, z którego nagle wypłynęła błyszcząca, najprawdziwsza na świecie bursztynowa łza i wpadła prosto do otwartej rączki śpiącego Chłopca...

Rozdział 23

GRZANE WINO

Gaspar jak zwykle o tej porze roku sam dekorował swoją aptekę. Robił to zawsze krótko przed Wigilią, jakby na znak protestu przeciwko tym wszystkim choinkom, ozdobom świątecznym, bombkom i sztucznym Mikołajom, którzy pojawiali się na witrynach sklepowych już w połowie listopada. On wolał poczekać prawie do samego końca, kiedy naprawdę zaczynało pachnieć świętami, kiedy w powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny aromat czegoś trudnego do określenia, czegoś, co pachniało ciepłem, waniliowym mlekiem i szamponem „Zielone jabłuszko”.

Ten szampon wyczuwał jedynie on, z wiadomych tylko sobie powodów...

Uśmiechnął się. Przeżył już tyle świąt, tyle zawirowań, tyle choinek, karpi na stole, smutnych i wesołych dni, a ciągle Boże Narodzenie napawało go jakimś niezmaconym optymizmem. Radością, że wszystko się ułoży. Tak było nawet wtedy, kiedy musieli spędzić Wigilię bez ojca. Pomogła im wtedy pani Kalina, właścicielka niewielkiego sklepiku, w którym zawsze kupowali owoce i warzywa. Były to czasy dość odległe, kiedy pochody pierwszomajowe stanowiły jeszcze dla dzieciaków ogromną frajdę, bo sprzedawano na nich wiatraczki, celofanowe piłki na gumce o trudnym do ustalenia zastosowaniu, błyszczące pierścionki z jeszcze bardziej błyszczącymi oczkami i szklane laski wypełnione cukierkami w kształcie kuleczek. Ale potem przyszedł trzynasty grudnia 1981 roku i niektórych zabrano na inny pochód, niestety wieczorem, bez wiatraczków, gumowych pajaków i pierścionków. Padał śnieg, a panowie, którzy zjawili się po ojca Gaspara, byli wyjątkowo niesympatyczni i dość wulgarni. Bez dodatkowych uprzejmości zabrali starego aptekarza i oddali z powrotem dopiero na wiosnę. Gdyby nie pani Kalina z warzywniaka, która oprócz cebuli, jabłek i marchwi potrafiła też zdobyć mięso, cukier, a nawet czekoladę i odpalać to wszystko mamie Gaspara po naprawdę rozsądnych cenach, tamten okres należałby z pewnością do najgorszych w jego życiu. Kiedy mimo tych wydarzeń zniknął jedenaście dni później w Wigilię na kilka godzin, jego matka umierała ze strachu.

– Mamo, ty wiesz, że ja musiałem tam pójść.

Usiadła wtedy w fotelu i okropnie się rozplakała. Wtedy też po raz pierwszy pomyślał, że może warto odpuścić. Że są ważniejsze rzeczy niż ciągle czekanie. A jednak przez kolejne trzydzieści trzy lata nadal nie mógł podjąć ostatecznej decyzji. I pisał.

Pamiętasz, jak ci opowiadałem o dawnych miksturach? Podsyłam przepis na nerwobóle. Ekstrakt z tojadu – pół drachmy, ziele tojadu – jeden skrupuł, pięciosiarczek antymonu – piętnaście granów, sproszkowany korzeń lukrecji – q.s. (quantum satis – wziąć tyle, ile potrzeba), f. (fiant– zrób) q.s.f. – wziąć tyle korzenia lukrecji, ile potrzeba na zrobienie czterdziestu pigulek (kulek); trzy razy dziennie po dwie do czterech pigulek.

Pięknie brzmi, prawda?

Ciekawe, czy ktoś wymyślił przepis na uszkodzone serce? Problem polega jednak na tym, że ja mojego uszkodzenia chyba nie chciałbym naprawić. Niech sobie będzie, takie trochę naderwane i czekające na Ciebie.

Gdybyś mi dała tylko jakiś znak... Cokolwiek, żebym wiedział, dlaczego nie możesz przyjść. Nie wiem dlaczego, ale podświadomość mówi mi, że Ty też o mnie myślisz. I że czekasz, tylko chyba nie w Wigilię...

G.

Gaspar zapatrzył się na choinkę i pomyślał, że ciągle jeszcze chciałby ją kiedyś ubrać z Teklą. Nie tylko on to wiedział. Jego żona również.

Podobno każdy człowiek ma dwie moralności, mieszczańską i moralność romansu, tak przynajmniej uważa Woody Allen, a Gaspar chcąc nie chcąc musiał się z nim zgodzić. Ta pierwsza nakazuje szacunek dla idei małżeństwa, ta druga pcha nas ku wolności. Namiętność nadaje życiu pełnię, życie rodzinne ją gasi. Współistnienie obu tych stanów jest niemożliwe. Tak jak niemożliwe jest ułożenie dwóch niepasujących do siebie fragmentów puzzli.

Gaspar nie mógł być szczęśliwy w swoim związku, ponieważ żonę kochał w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, zostawiając ten jeden, jedyny dla kogoś innego. Owszem, był na swój sposób zadowolony z życia, a kiedy urodziła mu się córka, oszalał wręcz z radości, jednak jego związek z Anną przetrwał zaledwie siedem lat. I to nie on wybrał wolność, tylko żona, która nie chciała być ciągle na drugim miejscu.

Kiedy odchodziła, spytała jeszcze, czy ma jakieś szanse na ten jeden procent. Żeby w końcu układanka z puzzli doczekała się brakującego fragmentu. Ale Gaspar nie mógł go jej dać, choć minęło już tyle lat od czasu, kiedy spotkał Teklę. Jakaś minimalna część jego samego nadal stała na peronie i patrzyła w oczy przypadkowo spotkanej dziewczyny. Anna uznała, że w tej sytuacji zwiąże się z kimś innym, z kimś, kto nie zostawił za sobą niespełnionej miłości.

Gaspar wielokrotnie zastanawiał się nad swoim zafascynowaniem Teklą i w końcu doszedł do wniosku, że każdy dzień to suma różnych przypadków. Ale również pewien wybór jednostki rzuconej w świat w określonych miejscu i czasie. To dylemat, czy postawić na indywidualną wolność, czy też brać pod uwagę inne osoby, z którymi na co dzień żyjemy. Czy wybrać emocję, nad którą trudno zapanować, czy raczej zdusić w sobie pragnienie własnego szczęścia. Nie chciał rozstawać się z córką, ale z drugiej strony cieszył się, kiedy Anna podjęła ostateczną decyzję.

– Powiesz mi kiedyś, dlaczego co roku znikasz w Wigilię na kilka godzin?

Gaspar nie bardzo wiedział, jak jej to wytłumaczyć, żeby nie wyszło groteskowo, banalnie i emocjonalnie żenująco. W końcu miał rodzinę. Dom. I córkę, którą ubóstwiał.

– To tylko trzy godziny w ciągu całego roku – próbował się jakoś wykręcić.

– Ale te trzy godziny należą do jednego z najważniejszych dni roku. Nie chcę kolejnej poszarpanej Wigilii, z której ktoś wycina czas.

– Muszę.

– Dobrze, ale wytłumacz mi dlaczego.

Nie potrafił. Próbował wymyślić jakąś historyjkę o dawnym przyjacielu, o sile przyrzeczenia i obietnicy, którą złożył. Ale Anna nie była głupia i podczas kolejnej Wigilii powiedziała:

– W tym roku daję ci pod choinkę trzy godziny. Możesz z nimi zrobić, co chcesz.

Po raz pierwszy miał wtedy wyrzuty sumienia, jadąc do miasta i siadając na ławce, z której rozciągał się widok na cały plac. Rok później Anna odeszła, zwracając mu tym samym nie tylko wolność, ale i taką ilość godzin, jakiej pragnął.

W 2010 roku w miejscowości, w której mieszkał, pojawiła się możliwość wykupienia nowej, wielkiej apteki. Nie musiałby już dojeżdżać do Wilczych Dołów. Ale z tą starą, należącą do ojca, a wcześniej dziadka, jakoś trudniej mu było się rozstać niż z własną żoną.

Choinka stanęła w prawym rogu apteki i ubrana została wyłącznie w zabawki zrobione przez jego

córkę. Nazbierało się tego trochę. Nawet po rozwodzie dostawał każdego roku bombkę, łańcuch lub inne rękodzieło, wykonywane przez ukochaną córeczkę, która dzisiaj była już dorosłą kobietą. Czego tu nie było! Papierowe misie z oczkami z koralików, ozdobne, plastikowe kule obficie oblane klejem i posypane brokatem, węże ze styropianu, a nawet filcowa czarownica. Choinka w aptece Gaspara była zdecydowanie najbardziej bajkowa w całej okolicy. Nic dziwnego, że tak chętnie przychodziły tu wszystkie dzieci i z zachwytem w oczach oglądały to dzieło sztuki.

– A wie pan, że będę grała główną rolę w przedstawieniu? – Do uszu Gaspara dobiegł uroczy głosik równie uroczej Jagody, którą kojarzył z ostatniego, październikowego zapalenia ucha. Poradził wtedy jej mamie, żeby wycisnęła sok z dwóch ząbków czosnku i delikatnie wprowadziła go do ucha. W końcu czosnek to naturalny antybiotyk, mimo że dość śmierdzący.

– Super! Gratuluję – uśmiechnął się do niej i puścił oko. – Sama tu jesteś?

– Przyszłam zobaczyć choinkę, mama jest obok w rybnym.

– No tak. Czas na karpia.

– Ale wie pan, nie było zbyt wielu chętnych – kontynuowała dziewczynka.

– A kogo będziesz grała? – spytał zaciekawiony.

– Wielką, tłustą świnie...

Gaspar próbował się nie roześmiać, choć było to dość trudne. Jagoda wyglądała jednak na bardzo przejętą, nie mógł jej więc obrazić niekontrolowanym wybuchem śmiechu.

– To bardzo trudna rola, dlatego niewiele dzieci odważyłoby się ją zagrać – powiedział z pełną powagą.

Jagoda kiwnęła główką.

– No. Tylko ja i Michał. Ale on niestety leży teraz w szpitalu i pewnie w ogóle nie zagra w naszym przedstawieniu.

Gaspar spojrzał uważnie na dziewczynkę.

– Przyjaźnisz się z nim?

– Tak, a moja mama z jego mamą.

Aptekarz chwycił Jagodę za rękę i poprosił, żeby natychmiast zaprowadziła go do rybnego.

Siedem minut później, między zakupem karpia, dorsza oraz sałatki śledziowej, Gaspar mógł w końcu odnotować zwycięstwo.

– Nie powinnam mówić, bo mama Michasia nie chciała, żeby zbyt dużo ludzi wiedziało. Ale pana znam, więc dobrze. Proszę, tu jest adres. – Zapisała mu na kartce nazwę szpitala i spojrzała pytająco.

– Ta kobieta, która go szukała, kto to był?

– Nie wiem, ale wiem, że to, co ma mu do przekazania, jest bardzo ważne. To pewien list, który Michaś powinien przeczytać przed operacją. Mówiła, że od tego zależy jego powrót do zdrowia i ja jej uwierzyłem. Czasem trzeba uwierzyć na słowo. Zaryzykować.

Skinęła głową.

– Michaś będzie żył. Ale jeśli ten list ma to jeszcze potwierdzić, to cieszę się, że mogłam pomóc – uśmiechnęła się ciepło i odeszła z Jagodą oraz rybnymi przysmakami w stronę miejscowego rynku.

Gaspar zaś natychmiast zadzwonił do Mili i przekazał jej wszystkie dane.

Usiadł na drewnianym stołku, ustawionym obok choinki i zamyślił się. Zostały cztery dni do Wigilii. I chyba rzeczywiście przyszedł najwyższy czas, żeby przestać jeździć do Poznania i stać w śniegu, deszczu lub mrozie, wypatrywać ciemnego warkoczyka i ze ściśniętym sercem wracać do domu.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do córki.

– O której wpadniesz na kolację wigilijną? – spytał, gdy tylko usłyszał jej głos.

– No, tak jak zawsze... Koło dwudziestej. Wcześniej przecież i tak cię nie ma – dodała po chwili.

Chrząknął nieco zakłopotany.

– W tym roku wpadnij wcześniej, możesz?

– Jasne, tym bardziej, że mama po raz pierwszy w życiu zaplanowała święta w ciepłych krajach.

Wyjeżdża ze swoim wiecznym narzeczonym, który już chyba milion razy jej się oświadczył, do Grecji. Może w końcu przyjmie pierścione.

– Nie jedziesz z nimi?

– Nie, bo ja lubię polskie święta, nawet jeśli będę w samotności łowić uszka w barszczu.

Gaspar roześmiał się.

– Nie będziesz. Przyjdź do mnie.

– Ale...

– Nie, więcej tam nie pójdę.

– Tato...

– Naprawdę. Nie wiem dlaczego, ale właśnie w tym roku postanowiłem z tym skończyć. Wigilię, i to całą Wigilię, mam zamiar spędzić w domu. Z tobą.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– No dobrze. Jeśli jednak uznasz, że musisz wyjść, to wiesz... możesz... Chociaż ciągle nie wiem dlaczego.

– To ja ci opowiem. To będzie mój prezent wigilijny dla ciebie. Powiem ci w końcu prawdę.

– Tato?

Gaspar pociągnął nosem.

– Widzimy się, mała, już za cztery dni. Zrobię porządnego grzańca.

Kiedy się rozłączył, poczuł jakąś ulgę. Jak gdyby decyzja o pozostaniu w domu zdjęła mu z ramion ogromny ciężar. Cieszył się na Wigilię z córką, cieszył się, że Anna wyjeżdża i że może w końcu przyjmie oświadczyzny Marka. Facet absolutnie na to zasłużył i Gaspar zupełnie nie rozumiał, dlaczego jego była żona tak długo z tym zwleka.

Drzwi skrzypnęły i pojawiła się w nich pani Klementyna, niezwykle efektowna pięćdziesięciolatka, która z uporem maniaka próbowała zdobyć serce aptekarza. I choć wielokrotnie odmawiał jej wspólnego życia, Klementyna pozostawała niestrudzona w wyścigu o własne szczęście. Do apteki w Wilczych Dołach dojeżdżała specjalnie z Buku, chociaż na miejscu miała cztery inne sklepy farmaceutyczne. W żadnym z nich nie pracował jednak przystojny aptekarz, którego spojrzenie zmiękczało kolana.

– Kolacja? – spytała niemal natychmiast, trzepocząc długimi rzęsami, które Gasparowi przypominały włochate i grube liszki, które tak chętnie konsumowały nasturcje w jego ogrodzie.

Uśmiechnął się odmownie.

– To w takim razie jakąś mieszankę ziołową na cerę poproszę. Przy tej pogodzie jest okropnie sucha i niedotleniona. A pan z pewnością wie, co zrobić, żeby poprawić krążenie. Oczywiście najbardziej skuteczna byłaby lampka wina wypita wspólnie podczas niezobowiązującej kolacji, ale rozumiem, że woli pan sprzedać mi zioła.

Gaspar uśmiechnął się do Klementyny. Lubił ją, bo przypominała mu jego samego. Najwyraźniej też nie lubiła zbyt szybko się poddawać.

– Proszę garść ziół zalać przegotowaną wodą i napar odstawić na pięć minut pod przykryciem. W bawełnianej chustce wyciąć otwór na nos, a następnie chusteczkę namoczoną w naparze nałożyć na twarz i pozostawić na dziesięć minut.

– Doskonale – ucieszyła się Klementyna. – a jakie to zioła?

– Do kompresów najlepiej nadaje się rumianek, szalwia, kwiat lipowy, arnika, skrzyp i rozmaryn.

Wszystko już zmieszałem, wystarczy na kilka razy. Będzie pani po tym wyglądała jeszcze piękniej – dodał szarmancko.

Klementyna spojrzała na niego przeciągle.

– Ale nie na tyle, by zjeść ze mną kolację?

– To nie ma związku z pani urodą.

– No tak, raczej z pana niezdecydowaniem. Proszę jednak pamiętać, że pewnych decyzji nie wolno odkładać na później, bo tracą na ważności.

Wieczorem Gaspar przygotował litr czerwonego wina, dodał do niego pięćdziesiąt gramów cukru trzcinowego, łyżeczkę kardamonu, kilka goździków, utarty kawałek świeżego imbiru oraz pokrojoną na plasterki pomarańczę i całość zagotował. Już po chwili w domu rozniósł się nadzwyczajny aromat grzanego wina, który przegonił nie tylko ponure myśli, ale także wiatr wyjący potępieńczo za oknem.

Rozdział 24

EFEKT MOTYLA

– Jak spędzasz święta? – spytała Zuzanna.

Mila zastanowiła się przez chwilę.

– Chyba tak jak zwykle. Spokojnie, leniwie, z małą szczyptą nudy.

– No co ty? Większość ludzi biega jak zwariowana, myślą im się dni tygodnia, brakuje czasu na sen, a ty mówisz o lenistwie? – Zuzanna była naprawdę zdumiona.

Mila roześmiała się.

– Lenistwo trzeba umieć uprawiać, jak rzodkiewkę w ogródku. Dojrzeć do strategii krokodyla, który leży w słońcu, rzadko porusza jakąkolwiek częścią ciała i całe swoje siły mobilizuje na konkretny cel – ruchomy obiad u wodopoju. Dążeniem każdego z nas powinno stać się spokojniejsze, a przez to dłuższe życie. Kot jest w stanie przeżyć psa myśliwskiego co najmniej o dziesięć lat, a wiesz dlaczego? Bo nie biega bez przerwy po trawie, lesie, łąkach i nie goni lisa. Wyleguje się za to na słońcu, mruczy kojąco i od czasu do czasu machnie ogonem, choć i to bez przekonania. Ja lubię spędzać święta żółwio. I dlatego nigdy nie pachnę cytrynowym mleczkiem do szorowania zlewu, nie potykam się o wiadro i mopa, nie wrzeszczę na śnieg, że za wolno pada. Jeśli nie zdążę sama wszystkiego upiec, doprawić, pokroić, a karpom oderwać głów, to kupię gotowe. – Wzruszyła ramionami.

– Ale pomożesz mi?

– Skoro nie zamierzam wpaść w wir sprzątanania, gotowania i pieczenia, to chętnie pojedę z tobą do Buku. Zresztą nie chciałabym cię samej puszczać w Wigilię. Ale niestety, z Anetą nie miałaś żadnych szans. Nikomu nie dałaby urlopu dzień przed świętami, nawet sobie samej. Tylko śmierć mogłaby cię zwolnić z obowiązku segregowania paczek, choć i tego nie jestem do końca pewna – roześmiała się.

Wracały samochodem do domu, a starszy pan drzemał na tylnym siedzeniu. Wszyscy byli okropnie zmęczeni. Początkowo chcieli zostać do rana i poczekać aż do zakończenia operacji, ale lekarz jakoś im to wyperswadował i obiecał, że zadzwoni zaraz, jak będzie miał dobre wieści.

– Bo nie mogą być przecież inne, prawda? – uśmiechnął się do nich.

Pan Stanisław podał mu swój prywatny numer komórki i z niepokojem czekał na sygnał. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, zwłaszcza z tymi dwiema wariatkami, które wycalaowały go i wyściskały, piszcząc na cały szpital, że jest najlepszym człowiekiem na świecie.

Też coś.

Poza tym zrobił to wyłącznie dla Michasia. Lubiał dzieci, bo były szczerze. Nie nosiły masek, nie pluły jadem, nie udawały kogoś innego. Były sobą, często dźwigając nie tylko tornister do szkoły, ale także wszystkie domowe problemy. Zdejmował im je z barków za pomocą bajek, w których udowadniał, że dzieciństwo to najpiękniejszy okres w całym życiu. I nic nie powinno tego zepsuć.

– Chce pan kawy? – z płytkiego snu wyrwał go głos Zuzanny i odgłos odkręcanego termosu.

Usiadł prosto i otarł dłonią spierzchnięte usta. Rzeczywiście zaschło mu trochę w gardle, więc

tylko skinał potakująco głową.

– Rozumiem, że teraz już pani nie odpuści? – spytał po chwili, pijąc małymi łykami czarną kawę z kostką cukru.

Zuzanna spojrzała na niego z uśmiechem.

– No przecież ta historia jest najlepszym dowodem na to, że nie można się poddawać. Jestem przekonana, że znajdę Gaspara i przekonam go, żeby ze mną pojechał do Poznania. Może Tekla jednak się odważy przyjąć.

Starszy pan nie wyglądał na przekonanego.

– Wątpię. Ktoś, kto siedzi na wózku, nie do końca chce się pokazywać światu, wiem coś o tym.

– A jak to się stało...? – spytała cicho Zuzanna.

Stanisław tylko machnął ręką.

– Nieważne. Michał wie jak, i niech tak zostanie. Nie znoszę opowiadać o sobie.

Dziewczyna zamilkła, skubiąc rękaw grubego swetra. W uszach miała dzisiaj coś, co wyglądało jak miniaturowe bombki.

– Ma pani w uszach ozdoby świąteczne?

Skinęła głową.

– Kupiłam na bożonarodzeniowym jarmarku, cudne, prawda? To są prawdziwe bombki tylko w wersji kolczykowej.

– Straszne – podsumował Stanisław. – Świąteczny marketing wdarł się nawet do uszu. Dobrze, że nie nosi pani bluzki z łusek karpia.

Miła zachichotała.

Po godzinnej jeździe w zupełnym milczeniu Stanisław postanowił jednak, że się do czegoś przyzna.

– Ja go chyba spotkałem – powiedział nagle.

Zuzanna odwróciła głowę i spojrzała na niego pytająco.

– Kogo?

– Tego Gaspara.

Miła aż zahamowała z wrażenia, na szczęście na drodze nie było ślisko.

– Jeśli planuje nas pani zabić, to może zjedźmy lepiej na jakiś parking. Poza tym chciałbym rozprostować NOGĘ – podkreślił ironicznie.

Zatrzymali się niedaleko zajazdu „Bolek”, który apetycznie pachniał bigosem.

– Zjemy coś? – zaproponował starszy pan, widząc, że obie kobiety najchętniej rzuciłyby mu się do gardła, byle tylko wydrzeć z niego ciąg dalszy.

Uznał zatem, że nie będzie ich dłużej katować.

– To był rok 1988 albo 1989, nie pamiętam dokładnie. Podpisywałem wtedy umowę z wydawcą, a on potem zaprosił mnie do siebie. Zazwyczaj odmawiam, ale tym razem jakoś udało mu się mnie przekonać. Po południu zawiózł mnie do parku, powiedziałem, że chcę pobyć trochę sam, więc mnie tam zostawił. I wtedy dosiadł się facet z małym dzieckiem. Kiedy już sobie pomilczeliśmy wspólnie, opowiedział mi historię swojej niespełnionej miłości. O kobiecie, na którą czeka każdego roku w Wigilię i która nie przychodzi. O tym, jak ciągle śni mu się po nocach i nie pozwala o sobie zapomnieć.

– Rozmawiał pan z nim?

– Na początku tylko słuchałem, a potem powiedziałem, że chyba niepotrzebnie stworzył sobie jakiś mit. Że życie to nie romantyczna powieść, ale to dziecko, które siedzi w piaskownicy i patrzy na niego z miłością w oczach. I żeby przestał bujać w obłokach.

– No tak, mogłam się tego po panu spodziewać – szepnęła Zuzanna.

Stanisław obruszył się.

– Nadal tak uważam. Po jaką cholere żyć mrzonkami? Historia z Michasiem była sprawą życia i śmierci, ale tych dwoje przepało swoje najlepsze lata.

– A pan nie?

– A ja, młoda damo, jestem cynikiem z wyboru. Lubię swoją samotność, lubię pisać historie dla dzieci, lubię dostawać od nich listy i bardzo nie lubię, kiedy ktoś wtrąca się w moje życie.

– Gdybyśmy się nie wtrąciły, Michał mógłby umrzeć – zauważyła celnie Mila.

Starszy pan zamyślił się przez chwilę.

– No, dobrze, przyznaję, że tym razem miałyście rację. Ale to nadal nie upoważnia was do traktowania mnie jak swojego dobrego znajomego, którego będziecie chciały zabierać do parku na spacerzy albo wspólne karmienie śmierdzących gołębi.

– A gdzie to było? – spytała nagle Zuzanna.

– Pytasz o to spotkanie? W Buku.

– Czyli to na pewno był on.

– Raczej tak. Wprawdzie nie przedstawiliśmy się sobie, ale wątpię, aby po świecie chodziło aż dwóch identycznych kretynów.

– Jest pan okropny.

– Już mi to pani mówiła i zgadzam się. Jestem też plugawy i jaszczurczy.

– A jednak hoduje pan storczyki.

Stanisław wzniósł oczy do nieba.

– Cóż z tego?

Zuzanna popatrzyła na niego, mrużąc oczy.

– Osoby o jaszczurczym charakterze nie hodują kwiatów. Nie podlewają ich i nie pielęgnują, bo ich odstręczający charakter nigdy by im na to nie pozwolił.

– Widocznie moja jaszczurowatość jest wybiórcza wobec kwiatów.

– Storczyki są kapryśne. Wyczułyby szujowatość. Zwłaszcza Vanda.

– Kto? – zdziwiła się Mila.

– Storczyk Vanda, jedna z najbardziej ekskluzywnych i efektownych orchidej, ale trzeba umieć się z nią obchodzić. Wymaga dużo światła, dużo miejsca i dużo uwagi. Dlatego myślę, że nie jest pan aż tak wredny, za jakiego chce uchodzić – Zuzanna powiedziała to ze stanowczością w głosie i pan Stanisław postanowił więcej z nią nie dyskutować. Najbardziej kapryśny storczyk w porównaniu z kobietą nie stanowi żadnego wyzwania.

– Wiecie, myślę, że to znak. Wszystko, co mi się ostatnio przytrafia, dzieje się po to, żeby ta dwójka mogła się wreszcie spotkać. Nie wierzę, że tylko przypadkiem poznałam kogoś, kto ileś lat temu rozmawiał właśnie z Gasparem – powiedziała jeszcze.

– Rozumiem, że teraz przejdziemy do metafizyki oraz duchowych połączeń materii? – Stanisław ostentacyjnie ziewnął.

– Nie wierzy pan w przeznaczenie? – spytała Mila.

– Nie wierzę. Życie składa się z przypadków. To, że jesteśmy w tym, a nie innym miejscu, robimy te, a nie inne rzeczy, to czysta przypadkowość. Owszem, czasem doprowadza to do szczęśliwych zakończeń, które jednak też są tylko przypadkami.

– A moim zdaniem istnieje realny związek pomiędzy naszymi myślami a prawami natury – powiedziała Mila.

– To nie pani zdanie, to wymyślił Jung.

– Znam jeszcze kogoś, kto tak uważa. Są na to dowody.

– Jakie?

– W 1966 roku czteroletni chłopiec o imieniu Roger prawie utonął w morzu w pobliżu amerykańskiego miasta Salem. Ale został uratowany przez niejaką Alice Blaise. Chłopiec cały czas myślał o tym zdarzeniu i osiem lat później mógł się zrewanżować. Dokładnie w tym samym miejscu uratował życie tonącemu mężczyźnie. Był to mąż Alice Blaise.

– Dlaczego uważa pani, że nie był to przypadek?

Mila pokręciła głową.

– Bo moim zdaniem zadziałała tu intuicyjna świadomość siły, jaką każdy z nas ma w sobie. Ten chłopiec był przekonany o swojej wewnętrznej mocy i podświadomie czekał, aż będzie mógł ją wykorzystać.

– Czyli cały kosmos wypełnia jakaś superświadomość, która kreuje rzeczywistość?

– Tak właśnie jest. Nie ma na świecie przypadków. A każdy człowiek żyje po to, by w taki czy inny sposób wpłynąć na życie kogoś drugiego. To coś jak system naczyń połączonych. Nigdy nie robimy czegoś tylko dla siebie. Każde nasze zadanie, każda działalność ma swoje echo. Machina stale się kręci.

– Efekt trzepotu skrzydeł motyla?

– Dokładnie.

– Bzdura. To tak jakby pani zakładała, że człowiek nie jest w stanie zaplanować swojego życia, bo wszystko z góry jest przesądzone. Że nawet jeśli rodzice oddali Edypa na wychowanie pastuchom, to on i tak wypełnił swoje przeznaczenie i zabił ojca oraz zakochał się we własnej matce.

– Ale czy tak właśnie nie było?

– To mit. Nie wiemy, jak było naprawdę. A ja głęboko wierzę w wolność ludzkiej woli. To ja decyduję o tym, kim jestem, jaki jestem i co zrobię ze swoim życiem.

– A ja z kolei wierzę, że to kim pan jest i jaki jest, miało ogromny wpływ na to, że napisał pan bajkę dla Michasia. Gdyby był pan pisarzem-celebrytą, kochającym własne odbicie w lustrze, być może nawet nie zwróciłby pan większej uwagi na list małego chłopca – zakończyła triumfalnie Mila, a Stanisław pomyślał, że odbijanie tej piłeczki może niestety potrwać w nieskończoność.

W tej sytuacji zamówił sporą porcję bigosu i zakończył dyskusję o przypadkach i przeznaczeniu konsumpcją duszonej kapusty.

Rozdział 25

TRZY DNI DO WIGILII

Do Wigilii zostały raptem trzy dni i Zuzanna coraz bardziej się denerwowała. Niestety Aneta już wcześniej kategorycznie odmówiła kolejnego dnia urlopu, brutalnie informując, że w razie nieposłuszeństwa Zuzanna może od razu zacząć szukać innej pracy.

– Jednym, absolutnie jedynym usprawiedliwieniem jest śmierć kogoś w rodzinie. Śmierć człowieka, zaznaczam od razu, a nie na przykład torbacza – dodała na wszelki wypadek.

– Nic pani nie przekona?

– Nic. W tej chwili interesuje mnie tylko nasze Biuro i to, żebyśmy nie zakopali się w tych wszystkich kartonach, które do nas codziennie trafiają. Wie pani, ile obecnie mamy na stanie przesyłek, które już wiadomo, że nie trafią do adresata? Ponad siedemdziesiąt tysięcy! Zaraz po Nowym Roku trzeba to wszystko skatalogować i wystawić na aukcje, w przeciwnym razie nie będziemy mieli czym oddychać. I proszę się cieszyć, że ominęła panią poniedziałkowa przesyłka – dodała jeszcze.

– Poniedziałkowa przesyłka? – spytała Zuzanna młodego chłopaka, który z niedowierzaniem patrzył na tysiąc kolorowych spinek do włosów, znajdujących się w kartonie nadanym z Krakowa.

Zmarszczył się i zatkał sobie nos.

– Uch! Nie uwierzysz, ale ktoś wysłał niewyprawione strusie skóry. Nie wiem, ile przeleżały w paczce, ale kiedy ją otworzyliśmy, smród dosłownie zbił nas z nóg. Baliśmy się oddychać.

– Ohyda – wzdrygnęła się Zuzanna. – Na co to komu?

– Nie mam pojęcia. To znaczy wiem, że ze skóry strusia robi się buty czy też torebki, ale do diabła, te były surowe! Do dzisiaj mam wstręt na samą myśl o jedzeniu, bo cały czas pamiętam ten fetor. A święta tuż za pasem. Mam nadzieję, że przynajmniej w Wigilię wróci mi apetyt – mrugnął do niej.

Mila jak zwykle siedziała w swoim pokoiku i z zadowoloną miną rozdelała prezenty, które przyporządkowywała do konkretnych listów.

– Nie uwierzysz, ale w tym roku ponad setka dzieci dostanie dokładnie to, co sobie wymarzyła – powiedziała z uśmiechem na widok Zuzanny. Jej siwy koczek został dzisiaj zastąpiony dwoma kucykami, które tylko teoretycznie nie pasowały do kogoś w tym wieku. Mila wyglądała w nich uroczo, zwłaszcza w połączeniu z pomarańczową chustą, na której ktoś wyhaftował maleńkie zuczki. Kiedy się ruszała, zuczki zdawały się ruszać razem z nią.

– A co z aukcjami?

Mila wzruszyła ramionami.

– Jako pracownik Biura mam pierwszeństwo zakupu.

Zuzanna wysoko uniosła brwi.

– Odkupiłaś te rzeczy?

– Jasne. Ale po okazjnych cenach, więc nie martw się, nie umrę z głodu. Ależ się cieszę! – Aż zatarła ręce.

Rzeczywiście posegregowane prezenty wyglądały niezwykle kusząco. Zabawki, klocki, kolorowe ubranka, biżuteria i kosmetyki. Tiulowa sukienka primabaleriny miała pofrunąć do Sopotu, do siedmioletniej Matyldy, a miecz z Gwiezdných Wojen do ośmioletniego Kajtka z Wrocławia.

– Mam też Nintendo – pochwaliła się Mila – i cudowny list od pewnej Ani, który idealnie pasuje. Posłuchaj.

Kochany Mikołaju

Jest coś, o czym marzę, ale trochę mi wstyd. To dość drogi prezent i bardziej dla chłopaków. Dlatego, gdybyś nie dał rady, to starczy gra planszowa Ubongo, ale gdybyś dostał premię (tata czasem dostaje), to chciałabym takie coś na „n”.

No dobra, napiszę to, na wypadek gdybyś nie wiedział.

Nintendo.

*Kocham Cię
Ania*

Zuzanna klasnęła w dłonie.

– Idealnie! A zastanawiałaś się kiedyś, co powiedzą rodzice, kiedy ich dzieci dostaną taki prezent? W końcu oni go nie zamawiali i mogą mieć obawy, że to jakiś podstęp.

– Wiem. W dzisiejszych czasach to normalna reakcja na bezinteresowność. Każdy wietrzy spisek, ukrytą kamerę albo przypadkowy udział w jakimś konkursie, za który koniec końców trzeba będzie zapłacić. Trudno. Do każdego prezentu dołączam list i mam nadzieję, że to wystarczy.

Kochana/y...

Święty Mikołaj naprawdę istnieje i właśnie dlatego Twoje życzenie zostało spełnione. Tym, którzy w niego nie wierzą, rodzice muszą sami kupować podarunki pod choinkę, ale to przecież Ciebie nie dotyczy, prawda?

Wigilia to noc cudów, pamiętaj o tym. Prezenty tak naprawdę są do siebie bardzo podobne – to zawsze jest po prostu kawałek szczęścia.

Twój Mikołaj

– Pakuję to w czerwoną kopertę, dołączam piórko i wysyłam w świat.

– Ładne – uśmiechnęła się Zuzanna. – a czemu piórko?

Mila nie odpowiedziała, więc Zuzanna pytała dalej:

– Myślisz, że Gaspar i Tekla też załapią się w tym roku na swój upominek?

– Jestem tego pewna. Bo ja nie wierzę w przypadkowość zdarzeń i dlatego czuję, że nam się uda. Mamy co prawda trochę mało czasu, bo tylko parę godzin i to w samą Wigilię, ale wierzę, że damy radę. Dzwoniłaś już do rodziców?

– Tata nie żyje – powiedziała szybko Zuzanna – a mama jeszcze nie wie, że mogę się spóźnić na kolację. Obawiam się, że nie będzie zachwycona – westchnęła ciężko.

– W najgorszym wypadku pojedę z tobą i będę cię ratować – uspokoiła ją Mila.

– A twoja rodzina?

– Moja jest tak duża, że zawsze mogę powiedzieć, że tegoroczne święta spędzam tym razem u jakiejś kuzynki, ciotki, wujka lub jego brata. Nikt się nie będzie czepiał.

– A dzieci? Nie masz dzieci?

– I tak, i nie... – odpowiedziała dziwnie Mila i z zachwytem w oczach wyjęła z kartonu ogromną

lalkę bobasa, która zaczęła kwilić i stękać, by po chwili trzymania jej na rękach słodko pochrapywać.

– Gdybym ja w dzieciństwie dostała coś takiego, chyba bym zeszywniała z wrażenia – zaśmiała się i przypasowała chrapiącego bobasa do pięcioletniej Nikoli z Zielonej Góry.

Po południu Zuzanna zajrzała do Macieja.

W „Kawiarni” zapanował świąteczny duch, a to za sprawą czerwonych cerat, które zastąpiły dotychczasowe białe, ministroidów z bombką i czerwoną świeczką, a także lodów o smaku korzennym.

Maciej miał pełne ręce roboty, bo wpadł na pomysł sprzedawania wigilijnych ciast, z tym że w ich nowych odsłonach. Proponował więc wegański orzechowiec, sernik z nerkowców oraz jaglany piernik z dodatkiem suszonych fig. Gdyby ktoś myślał, że ten eksperyment nie ma prawa się udać, był w ogromnym błędzie. Maciej od dwóch tygodni zbierał zamówienia na ciasta i powoli zaczęło mu brakować czasu.

– Obawiam się, że muszę zacząć odmawiać. W przeciwnym razie nie dam rady przygotować wigilijnej kolacji. Plus dzisiejszego i jutrzejszego obiadu dla wnuków.

– Sporo roboty.

Kiwnął głową.

– Wiem. Na dodatek staram się codziennie razem z nimi jeść. Kiedyś nie było to dla mnie aż tak istotne, ale jakiś czas temu wpadł mi w ręce raport o wspólnych posiłkach. I o tym, ile emocji wywołuje wspólne gotowanie i biesiadowanie. Coś w tym jest. Trudno ogarnąć ilość wiadomości, które docierają do mnie każdego dnia właśnie podczas tych posiłków. Między jednym a drugim kęsem kanapki dowiedziałem się między innymi, że koleżanka mojego wnuka puszcza bąki, które pachną marchewką. Poradziłem mu, żeby tego nie sprawdzał, tylko uwierzył jej na słowo. Wnuczka z kolei poinformowała mnie, że chyba zostanie weterynarzem, ale takim od zwierząt mniejszych, które nie rodzą. „Wszystkie rodzą”, mówię. „Ale mi chodzi o duże rodzenie, typu krowa”.

Zuzanna roześmiała się, a Maciej mówił dalej:

– Punkt trzeci wspomnianego raportu głosi, że dzięki wspólnemu zasiadaniu przy stole ludzie czują się szczęśliwi, pewni siebie, kochani i rozumiani. Poza tym dzieci jedzące główny posiłek z rodziną są zdrowsze. Ot, i cała filozofia. A ponieważ ich rodzice zdecydowanie za długo pracują, ja muszę być tym elementem scalającym nas przy wspólnym stole.

Zuzanna pomyślała, że Maciej powinien porozmawiać z panem Stanisławem. Być może do starszego pana dotarłoby w końcu, że samotność smakuje tylko wtedy, gdy jest dodatkiem do codzienności, a nie jej głównym składnikiem.

Rozdział 26

MONIKA

Nagle wszystko zaczęło się układać, zupełnie jak przy końcówce puzzli. Nie trzeba wtedy szukać pasujących elementów, dopasowywać ich i znowu odkładać na bok, bo wszystko widać jak na dłoni. Każdy kolejny fragment układanki sam wpada w ręce, a ostateczny obraz powstaje coraz szybciej i szybciej. Włożenie ostatniego elementu jest tylko podsumowaniem całej pracy, dającym przyjemne uczucie, że znowu się udało.

– Cześć, tato – powiedziała Monika, czym zaskoczyła ojca, spodziewającego się jej dopiero na Wigilię.

– Coś się stało? – spojrzał na nią zdumiony i na wszelki wypadek usiadł. Złe wiadomości lepiej przyjmować na siedząco.

Roześmiała się.

– Nie, po prostu mam wolne, więc wpadłam na trochę. Jutro znowu wracam do Poznania, muszę tam jeszcze coś załatwić i potem widzimy się w Wigilię. Będę koło osiemnastej. Spokojnie, nikt nie umarł, ja też czuję się świetnie.

– Masz zatkany nos.

– Jak zawsze zimą.

– Mam maść majerankową.

– Zapewne własnej produkcji!

– No ba. W końcu jestem aptekarzem. – Gaspar puścił do niej oko, a potem mocno uściskał. Bardzo ją kochał.

Początkowo wydawało jej się, że aż tak duży zbieg okoliczności nie jest możliwy. Z drugiej jednak strony, co to musiałby być za przypadek, że akurat ona odkryła tajemnicę ojca, której tylko się domyślała. Kiedy jej rodzice się rozwiedli, miała zaledwie siedem lat. Przeniosła się wtedy z mamą do nowo wybudowanych bloków, gdzie wszystko było absolutnie piękne, łącznie z miniaturowym balkonem, na którym po odpowiednim ułożeniu ciała można się było opalać. Krótco po rozwodzie została przyjęta ustawa o ochronie zdrowia psychicznego, w preambule której uznano, że „zdrowie psychiczne jest fundamentalnym dobrem osobistym człowieka”. Mama powiedziała wtedy, że gdyby została z ojcem choćby dzień dłużej, jej stan zdrowotny z pewnością uległby dalszemu rozkładowi, a ona sama wylądowałaby u czubków. Monika nie do końca wtedy wszystko zrozumiała, ale przez kolejne lata miała żal do ojca, że nie poszedł za nimi do nowego bloku, tylko został w tym swoim starym, wielkim domu.

Kiedy miała kilkanaście lat, jej relacje z ojcem znacznie się poprawiły, Monika chętnie odwiedzała go w weekendy, a nawet kilka razy pojechała z nim na dłuższe wakacje. I tylko Wigilie były owiane jakąś dziwną tajemnicą. Monika spędzała je co roku z matką, jednak kiedy ukończyła dwadzieścia dwa lata i wyprowadziła się do własnego mieszkania, postanowiła, że sama będzie urządzać święta, na które zaprosi oboje rodziców. Plus Marka, wiecznego narzeczonego mamy.

Gaspar trzy razy przyjął zaproszenie i trzy razy się spóźnił. Był wtedy jakiś nieobecny, zupełnie

nic go nie cieszyło, a potrawy, własnoręcznie przygotowane przez córkę, chyba niespecjalnie mu smakowały.

– Tato, co jest? – spytała za pierwszym razem.

– To, co zwykle – odpowiedziała mama. Nie miała już żalu do swojego byłego męża, była na swój sposób szczęśliwa, ale kiedy po raz kolejny dotarło do niej, że Gaspar nadal ucieka w wigilijne wieczory, stare rany na chwilę się otworzyły.

Monika pamiętała z dzieciństwa, że Święta Bożego Narodzenia rzeczywiście nie były u nich tak radosne, jak tego oczekiwała, jednak choinka i schowane pod nią prezenty szybko kazały jej zresetować z pamięci nieprzyjemne wspomnienia. Najwyraźniej jednak to, w czym brała udział kilkanaście lat temu, nadal tkwiło w jej rodzinie.

– Tato, powiesz nam?

Gaspar pokręcił przecząco głową.

– Nie powiem. Nie wiem jak, nie umiem i chyba też nie chcę. Ale to naprawdę nie ma żadnego związku z wami. Po prostu potrzebuję tych kilku godzin.

Rok i dwa lata później mama z Markiem przyszli na kolację wcześniej, a wyszli krótko przed tym, zanim pojawił się Gaspar. Potem Monice odechciało się tych wspólnych Wigilii, które z rodzinnym świętowaniem niewiele miały wspólnego. W tym roku ucieszyła się jednak, kiedy matka poinformowała ją, że wyjeżdża z Markiem do Grecji. Pomyślała, że spędzi te święta tylko z ojcem i być może w końcu się czegoś dowie.

A potem poznała Teklę.

Właściwie to poznała ją po raz drugi. Pierwszy raz spotkały się w liceum, gdzie Tekla była jej wychowawczynią. Nie przypadły sobie wtedy wzajemnie do gustu. Monika była zbuntowana i bardziej interesowały ją wzory na paznokciach niż smętne myśli Mickiewicza. Tekla w ogóle nikogo nie lubiła. Rozstały się po kilku miesiącach – Monika zmieniła szkołę na liceum pielęgniarstwa, a jej nauczycielka szybko o niej zapomniała.

Kiedy wzięła zastępstwo za chorą koleżankę i pojechała do kobiety po wylewie, natychmiast ją rozpoznała. Tekla Jasińska. Ciągłe ładna, choć potwornie smutna. Z opadniętym wzrokiem, uśmiechem i wielką rezygnacją na twarzy. Monika sama nie wiedziała dlaczego, ale jakoś ją polubiła. Może to było współczucie, może empatia, którą wpoił jej ojciec, a może coś więcej, czego jednak nie rozumiała. I choć Tekla nie była dla niej przyjemna, całkiem dobrze się rozumiały.

– Może chciałaby pani założyć konto na Facebooku – zaproponowała jej kiedyś.

– Po co?

– Żeby wypełnić sobie czas, poszukać znajomych, porozmawiać z kimś wirtualnie, zrobić pierwszy krok.

– Ha, ha – skomentowała Tekla. – Pierwszy krok to dość niefortunne określenie w moim przypadku, nie sądzisz? Poza tym krok ku czemu?

Monika zastanowiła się przez chwilę.

– Światu?

Tekla zaczęła przeglądać Facebooka z nudów, trochę jak podręcznik do psychologii. Wybierała dowolne nazwiska i smakowała wycinki cudzej egzystencji (skończone szkoły, daty ślubów i narodzin dzieci, pocztówki z wakacji, pocztówki świąteczne, pocztówki codzienne). Jedni stawiali na fantazyjne grafiki, inni na narcystyczne ujęcia własnej osoby, zawsze z tego lepszego profilu, jeszcze inni katowali znajomych setką zdjęć bobasów lub wręcz przeciwnie – unikali wirtualnego wyjścia na światło dzienne i zamieszczali fotografię źdźbła trawy. Tekla odnosiła wrażenie, że żadne *curriculum vitae* użytkownika Facebooka nie jest precyzyjne, pomija rzeczy nieprzyjemne,

a wyolbrzymia te lepsze.

– Jaką mam gwarancję, że po drugiej stronie siedzi ta sama osoba, którą znałam dziesięć czy dwadzieścia lat temu? – pytała Monikę.

– Wystarczy napisać list, poczekać na odpowiedź, może się spotkać, pogadać w realu i wtedy już wiemy, czy zakodowany obraz kogoś sprzed lat nadal pasuje do naszych wyobrażeń.

– A jeśli nie pasuje? – drążyła dalej.

– No to pozostaje wspólnie wypita kawa. – Monika wzruszała ramionami.

– Marnowanie czasu.

– Niekoniecznie. Może przecież okazać się, że ktoś z dawnych znajomych idealnie nadaje się na przyjaciela, lubi słuchać, lubi rozmawiać, podobnie myśli. Ale tego nigdy się pani nie dowie, jeśli nie zapyta.

Tekla nie była przekonana. Najgorsza była chyba świadomość, że nie ma zbyt wielu znajomych, których chciałaby dodać do swojego profilu i z którymi mogłaby się spotkać. Jej świat tworzyli uczniowie, ale którego z nich miałaby teraz wyszczególnić? A on?

Wpisała imię Gaspar. Znalazła dwóch i żaden nie pasował. Jeden miał trzynaście lat, a drugi przypominał zasuszoną żabę. To nie był jej Gaspar i w tej sytuacji konto na Facebooku nie miało racji bytu.

– Może jednak pani do kogoś napisze?

Tekla obrzuciła ją wtedy zranionym spojrzeniem i powiedziała:

– Ja już napisałam. Trzydzieści osiem listów, z których każdy pozostał bez odpowiedzi. Trzydzieści osiem kopert, które wrzuciłam do skrzynki z nadzieją, że kiedyś znajdę w niej list do mnie. Ale nie od ZUS-u, banku czy towarzystwa ubezpieczeniowego.

Monika nie odezwała się słowem.

A potem popłynęła opowieść, która początkowo wydawała jej się tylko romantyczną bajką, historią o zmarnowanym życiu i czekaniu na kogoś, kto nigdy nie przyjdzie. Najpierw była zła, potem próbowała zrozumieć Teklę, a na końcu zrobiło jej się żal dawnej nauczycielki. W końcu dała się złapać w sidła opowieści i kiedy Tekla oznajmiła jej, że po raz pierwszy podda się i zrezygnuje, Monika poczuła, że nie wolno tak po prostu odpuścić. Że mimo przeciwności losu trzeba spróbować raz jeszcze.

Kiedy następnego dnia jadła śniadanie, nagle ją olśniło. Przez dobre pięć minut patrzyła tępo przed siebie, nie zwracając uwagi na kapiące z łyżki jajko, na donośny gwizd czajnika ani na swojego kota, który wskoczył na stół i zaczął kończyć to, na co jego pani najwyraźniej nie miała już ochoty.

– O kurwa – powiedziała w końcu i przelknęła resztki jedzenia. – To jest niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Nie mogła uwierzyć, że to prawda i że to właśnie ona stała się mimowolnym aktorem specyficznego teatru zależności. Każda ofiara potrzebuje kata, zdrada miłości, biedny pocieszenia. Tekla i Gaspar najwyraźniej potrzebowali Moniki, żeby w końcu mogli się spotkać.

Musiała się tylko upewnić. To dziwne, ale nigdy nie padło imię jej ojca, jeśli to rzeczywiście był jej ojciec. Tekla mówiła tylko o „chłopaku z brązowymi oczami”.

Wpadła do niej bez zapowiedzi, ale była nauczycielka najwyraźniej ucieszyła się na jej widok.

– Pani Teklo – zaczęła od razu. – Ma pani te listy, które pisała do...

– Mojego chłopaka o brązowych oczach? – wpadła jej w słowo Tekla.

– On miał jakieś imię?

– Gaspar...

Monika w zasadzie nie musiała nic więcej wiedzieć.

– Niespotykane i bardzo ładne – uśmiechnęła się smutno. Z jednej strony podobało jej się, że choć przypadkowo wciągnięta w koło zależności, zaczyna odgrywać główną rolę w tym romantycznym filmie, to jednak z drugiej czuła żal, że to właśnie przez tę kobietę rozpadło się małżeństwo jej rodziców.

Ale przecież Tekla nie była niczemu winna.

Nie miała pojęcia, że Gaspar miał żonę, dziecko i że to dziecko stoi teraz przed niewiarygodną wręcz okazją dopisania *happy endu*.

– Kiedy się poznaliście, studiował coś?

– Skończył farmację, a po powrocie z Niemiec chciał objąć aptekę po ojcu.

– A dlaczego nigdy nie pojechała pani do Buku? Dlaczego nie próbowała pani go tak zwyczajnie odszukać?

Tykający zegar ciął jak nożami milczenie, które nagle zapadło. Dwie wybudzone z zimowego snu muchy spacerowały po pomarańczach ułożonych w koszyku na stole, ale Tekla nie zwracała na nie większej uwagi. W końcu zaczęła mówić:

– Bałam się. Że go spotkam, a on mnie nie pozna. Albo że zobaczę go z inną kobietą. Że mnie wyśmieje. Wolałam pisać i wyobrażać sobie, że rozdzieliło nas coś, na co oboje nie mieliśmy żadnego wpływu. Marzyć, że on też za mną tęskni. Wiesz, ja nawet podejrzewałam, że te listy może nie docierają do niego. W końcu nie mam jego adresu, tylko nazwę miejscowości. Ale i tak je pisałam, z jakąś dziwną nadzieją, że los nam pomoże. Kiedy to teraz mówię, wydaje mi się, że jestem strasznie głupia. – Spuściła głowę.

„Mój ojciec najwyraźniej też” – pomyślała Monika. Podeszła do Tekli, uklękła przed nią i powiedziała:

– Proszę tam ze mną pojechać w tym roku. Ostatni raz, obiecuję. Proszę to dla mnie zrobić.

Tekla nie odpowiedziała. Zamknęła tylko oczy i napisała w głowie jeszcze jeden list.

Z jednej strony świat lansuje typ człowieka, który sam kieruje swoim życiem, zgodnie z własnymi upodobaniami. A jednak z drugiej szerzy się wiara w przeznaczenie i jakiś dziwny lęk przed tym, co przypadkowe i groźne w swojej nieobliczalności. A może życiem powinna jednak sterować wolność wyboru?

Ja ciągle go mam. Do Wigilii zostało niewiele, ot, długość dwóch nieprzespanych nocy.

Może zaryzykować? Ostatni raz?

Rozdział 27

DZIEŃ PRZED WIGILIĄ

Podobno jedna z najbardziej oryginalnych choinek na świecie stanęła w Austin, w stanie Teksas. Miała ponad czterdzieści siedem metrów wysokości i składała się z trzydziestu dziewięciu serpentyn, zawierających łącznie trzy tysiące trzysta dziewięć światełek. Na szczycie instalacji zamontowano trzymetrową gwiazdę, a w obwodzie świąteczne drzewko mierzyło sto piętnaście metrów.

Trudno przebić takie dzieło, a jednak choinka przyniesiona przez Rafała (nadał w ramach rekompensaty za nietoperze) również była zjawiskowa.

– Ale ja nie zamawiałam choinki – zdziwiła się Zuzanna, kiedy syn właściciela pojawił się u niej późnym popołudniem, taszcząc ogromne drzewko.

– Nie. To ja ją zamówiłem dla pani. Ciągłe nie dają mi spokoju te nietoperze.

Zuzanna zerknęła z niepokojem w stronę kuchni, gdzie Karolina właśnie odsypiała obiad zakończony obfitym podwieczorkiem – jogurt z kiwi, bananem oraz mango – istniała duża szansa, że pośpi jeszcze co najmniej z godzinę. Drugi raz Rafał raczej się nie nabierze.

– Jest piękna – powiedziała szczerze, kiedy choinka w całej swojej krasie stanęła pośrodku pokoju.
– Ale to nie jest świerk?

Rafał uśmiechnął się.

– Nie, to jodła kaukaska. Potrafi zachować świeżość nawet do dwóch miesięcy, niestety nie pachnie.

– Absolutnie przepiękna.

Jodła rzeczywiście wyglądała jak z obrazka. Stożkowata, o bardzo regularnej koronie, z ciemnozielonymi, błyszczącymi igłami. Gałęzie miała sztywne i gęste, gdyby jeszcze odpowiednio ją przystroić, zostałaby absolutną królową choinek.

– Może chciałby pan kawy? – spytała chłopaka, prosząc w duchu Karolinę, by spała jak najdłużej.

– Niestety dzisiaj muszę już lecieć. Ale może wpadłbym po świętach? – spojrzał nieśmiało na Zuzannę, a ona poczuła, że chyba się rumieni.

Kiwnęła głową, a kiedy zamknęła za Rafałem drzwi, odruchowo przyłożyła ręce do policzków. Co za żenująca reakcja organizmu! Kompletnie niepotrzebna i wyjątkowo kłopotliwa. Miała tylko nadzieję, że Rafał niczego nie zauważył.

Usiadła na kanapie z miską müsli i włączyła telewizor.

„Sekretem pięknej cery Japonek są peelingi, które kobiety z Kraju Kwitnącej Wiśni stosują równie namiętnie, jak namiętnie piją herbatę. Kiedyś, gdy złuszczenie naskórka nie było jeszcze tak znane, kobiety miały pestki moreli, dodawały do niego ostry proszek i taką mieszanką myły tłustą, łojotokową skórę. Dziś z pestek moreli otrzymuje się olej morelowy stosowany głównie w medycynie, a w Japonii – właśnie w kosmetyce”. – Zuzanna nagle poczuła, że jest okropnie spięta i taki peeling z pewnością bardzo by jej pomógł. Jodła kaukaska na chwilę oddaliła natrętne myśli, ale Zuzanna i tak musiała jeszcze dzisiaj zrobić dwie dość stresujące rzeczy.

Po pierwsze – zadzwonić do mamy i poinformować ją o małych zmianach wigilijnych. Matka nie była zachwycona już wtedy, kiedy Zuzanna powiedziała jej, że najprawdopodobniej przyjedzie dopiero w Wigilię rano, teraz jednak również to „rano” musiało ulec korekcie. Jeśli jakimś cudem uda im się znaleźć Gaspara, to w rodzinnym domu będzie najwcześniej późnym popołudniem. Po drugie – chciała jeszcze odwiedzić pana Stanisława i złożyć mu świąteczne życzenia, choć obawiała się, że starszy pan może jej nie wpuścić. Chyba miał dosyć nagłych zawirowań w swoim spokojnym dotąd życiu i pewnie chętnie uwolniłby się od Zuzanny przynajmniej na jakiś czas. Trudno. Przynajmniej musi jej powiedzieć, co z Michałem. Na pewno miał już jakieś wiadomości ze szpitala.

Westchnęła.

„Na niektórych farmach piękności stosuje się gotowe preparaty morelowe, na innych z kolei – przygotowuje się je na miejscu, domowymi sposobami. Wystarczy w tym celu rozłupać pestki z dziesięciu owoców i dokładnie je utrzczyć, najlepiej w móżdżerzu. Do rozgniecionej substancji dolewa się przegotowanej, ciepłej wody mineralnej, dokładnie miesza i odstawia na kilka godzin. Następnie kosmetyczka delikatnie rozprowadza na twarzy wacikiem tak spreparowany peeling i półkolistymi ruchami masuje skórę”.

Ech. Prawie poczuła ten morelowy zapach i półkoliste ruchy na swojej twarzy. Niestety musiała się posłużyć wyłącznie siłą wyobraźni. A potem wstać z kanapy, odstawić miskę do zlewu, pogłaskać śpiącą Karolinę i pójść na górę do sąsiada.

– Nie – usłyszała, zanim jeszcze zdążyła zadzwonić.

Czy on ma szósty zmysł?

– Wyczuwam panią na odległość. Co tym razem? Mam uratować cały sierociniec, wybrać się z panią w podróż i odwiedzić głodujące dzieci w Afryce czy w jakikolwiek inny sposób zbawić świat?

Zuzanna chrząknęła. Wiedziała, że to nie będzie łatwe zadanie.

– Jutro jedziemy do Buku, szukać Gaspara. Chciałam się tylko pożegnać i życzyć...

– Błagam, tylko nie wesółych świąt – przerwał jej w połowie pan Stanisław, otwierając drzwi.

Ubrany był w granatową marynarkę, ciemne spodnie i błękitną koszulę. Wyglądał tak, jakby się dokądś wybierał, ale to chyba nie było możliwe.

– No to chociaż miłych.

Skrzywił się, jakby zgryzł koziego bobka.

– Czy bardzo się pani zdziwi, kiedy powiem jej, że mam święta głęboko gdzieś?

Pokręciła głową. Jak można nie kochać Bożego Narodzenia? Nawet ona, nawet po tym co się stało tego lata, nie mogła się doczekać choinki, zapachu duszonej kapusty i kompotu z suszonych owoców.

– I naprawdę lubi pan spędzać święta zupełnie sam?

Stanisław spojrział na nią z ironicznym uśmiechem na ustach.

– Coś ci powiem, młoda damo. Już od połowy listopada atakowani jesteśmy świątecznymi kuksańcami. W sklepach pojawiają się sztuczne choinki, aniołki i bałwanki, w telewizji kretyńsko uśmiechnięte rodziny przystrajają drzewka i piszczą na widok paczki kawy, a radio wyje kołędami. Wszystko pachnie świętami, Mikołaje w złotkach spadają ze sklepowych półek, a w akcjach promocyjnych masa makowa walczy o pierwsze miejsce z polewą do pierników. Im bliżej grudnia, tym silniejsza presja bycia szczęśliwym i radosnym. Otóż ja mam to w dupie. Taka wizja świąt to produkt medialny. W ten sposób sprzedaje się nie tylko bombki czy prezenty, ale pewne ogólne wyobrażenie o świętach. O rodzinnych spotkaniach, wspólnym kołędowaniu, gremialnym szczęściu

i radości. Tymczasem ja po prostu lubię być sam. Wszyscy zmuszają cię, byś chodziła w czapce świętego Mikołaja, nawoływała gromko „Ho ho ho”, a w dziurki od nosa wsadziła sobie zimne ognie. Tyle że na siłę przyklejony uśmiech nie ma żadnej wartości.

– Ale to nie musi być uśmiech na siłę. Może gdyby spędził pan święta z kimś bliskim, z kimś, komu na panu naprawdę zależy, poczułby pan tę magię?

Starszy pan zaśmiał się głośno i odwrócił w stronę kuchni, skąd dobiegał zapach świeżo zaparzonej kawy.

Zuzanna potuptała za nim.

– Przymus radosnego świętowania to zamach na moją suwerenność. Tymczasem ja jako człowiek i jednostka niezależna będę walczył o swoje prawo robienia, co mi się podoba. W tej chwili na przykład grzeczność nakazuje mi zaproponować pani kawę. Tymczasem ja, jeśli pani pozwoli, będę mieć te konwenanse w dupie i wypiję kawę sam.

Zuzanna uśmiechnęła się łobuzersko.

– Jako jednostka niezależna sama sobie naleję kawy, mimo że konwenanse nakazują mi o nią poprosić. Poza tym proszę mi powiedzieć, co z Michasiem.

Pan Stanisław spojrział na nią z osłupieniem.

– Chwilowe jeden zero dla ciebie. Pij i znikaj, muszę popracować. A jeśli chodzi o Michała – rozpromienił się nagle, choć tylko wprawne oko mogło to zauważyć – to właśnie się obudził i sam do mnie zadzwonił.

Rozmowa z mamą również nie należała do najprzyjemniejszych.

– Jak to przyjedziesz po południu? Nie wiem, czy pamiętasz, ale dwudziestego czwartego grudnia obchodzimy Wigilię, a to wiąże się z pewnymi tradycjami. Po pierwsze zawsze pomagałaś mi w kuchni, po drugie to czas, który spędza się z rodziną. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że każą wam pracować w Wigilię.

Zuzanna nabrała powietrza i wypuściła je nosem. Grunt to spokojnie wszystko wyjaśnić, inaczej mama gotowa jest po nią tu przyjechać, a nawet skoczyć do gardła Anecie, która zapewne niewiele by z tego zrozumiała.

– Nie, mamo. Nie pracuję, choć poniekąd to, co muszę zrobić, ma związek z listami.

– Jakimi listami?

– Takimi, które muszą zostać doręczone. I niestety jedynym dniem okazała się właśnie Wigilia.

– Nie rozumiem – powiedziała mama. – Kompletnie nie rozumiem, co jest tak istotne, żeby zrezygnować ze wspólnego wieczoru.

– Ale ja wieczorem będę u ciebie.

– Nie łap mnie za słówka. Tak naprawdę powinnaś być już dzisiaj.

To nie była łatwa rozmowa i Zuzanna nagle doszła do wniosku, że o wiele prościej dyskutuje jej się z panem Stanisławem. On przynajmniej z założenia był złośliwy i człowiek wiedział, czego można się po nim spodziewać. A mama była po prostu nieźle wkurzona.

– Muszę kończyć. – Zuzanna wybrała wariant najłatwiejszy, czyli telefoniczną rejteradę, i zanim mama zdołała zaprotestować, po prostu się rozłączyła.

– Uff – sapnęła jeszcze i pogłaskała Karolinę. – Jutro jedziesz z nami, wiesz? To będzie trochę męcząca podróż, ale damy jakoś radę. Najpierw do Buku, a potem, jeśli nam szczęście dopisze, do Poznania. I stamtąd prosto do domu na Wigilię. Mam nadzieję, że dostaniemy też jakieś prezenty – puściła oko do lotopałanki, która właśnie dostrzegła resztki suszonego świerszcza leżącego pod komodą i pięknym łukiem poleciała w jego kierunku.

Rozdział 28

WIGILIA

Poranek wigilijny wymościł się wygodnie w lawendowej pościeli, pod którą spała Zuzanna, i łagodnie chuchnął jej w ucho. I chociaż najchętniej poleżałaby jeszcze trochę, wiedziała, że nie może. Dzisiaj startowała w zawodach z czasem. Kto wygra rundę – on, wybijając godzinę siedemnastą, czy jednak Zuzanna, której uda się doprowadzić do spotkania po trzydziestu ośmiu latach czekania?

Karolina nie była zachwycona ani pobudką, ani faktem, że została wraz z klatką umieszczona na tylnym siedzeniu samochodu. Nawet garść suszonych owoców nie złagodziła jej humoru.

Bardzo brzydko, Zuzanno.

Mila już czekała przed domem, przestępując z nogi na nogę. Na chodnikach leżało sporo śniegu, drogi na szczęście były czarne. W Miasteczku unosił się delikatny zapach oczekiwania. Na ciasta wkładane do piekarników, pierogi właśnie wrzucane do wody, pierwszą gwiazdkę i nerwowe obgryzanie paznokci przez dzieci. Było wprawdzie bardzo wcześnie, ale już w większości mieszkań paliły się światła.

– Poprowadzę – zaoferowała się Mila, co Zuzanna przyjęła z dużą ulgą.

Nie lubiła jeździć zimą, po ciemku, kiedy padał deszcz lub śnieg. Kiedy zbyt ostro świeciło słońce – również. W ogóle najlepiej czuła się w roli pasażera.

Mila wyglądała dzisiaj zjawiskowo. Miała na sobie wełniany płaszcz w kolorze bladego różu i ogromny szal, zrobiony z różowych piór. Do tego różowa czapeczka z pomponem oraz zielone, zamszowe kozaki. Przypominała trochę leśną wróżkę. W dłoni trzymała maleńkie pudełeczko.

– To dla ciebie – powiedziała do Zuzanny. – Otwórz.

Dwie srebrzyste gwiazdki śniegu zamknięte w miniaturowych przezroczystych kulach. Gdy się nimi poruszyło, unosiły się leniwym ruchem i tańcząc opadały.

– To są kolczyki! – zawołała zachwycona Zuzanna, przykładając je sobie natychmiast do uszu.

Mila skinęła głową.

– O jejku. Chyba najpiękniejsze, jakie w życiu dostałam. A ja dla ciebie nic nie mam. Nie zdążyłam kupić – zawstydzila się dziewczyna.

– Daj spokój. To, co robisz, jest dla mnie największym prezentem. Kiedyś zrozumiesz dlaczego.

Ruszyły.

Miasteczko sennym wzrokiem odprowadziło je aż do swoich granic, pomachało na do widzenia i wróciło do wigilijnych przygotowań. Tymczasem w mieszkaniu nad Zuzanną, mimo wczesnej godziny, również zapaliło się światło.



– Czego dokładnie uczyłaś się na tym swoim kursie wokalnno-aktorskim? – spytała Miła pół godziny później.

– Anatomii i psychofizjologii głosu, podstaw technik wokalnych w odniesieniu do mowy i śpiewu, higieny i profilaktyki głosu, emocjonalności oraz zagadnień związanych z metodyką nauczania emisji głosu – wyrecytowała jednym tchem Zuzanna.

Miła była pod wrażeniem.

– Brzmi fantastycznie. I umiesz to wszystko?

– Pewnie tak, choć, jak widzisz, niekoniecznie przydaje mi się to w naszym Biurze.

– Powiesz mi w końcu, co tu robisz?

Zuzanna pociągnęła nosem. W małym, czerwonym samochodzie, bez świadków, bez obecności nikogo innego, z sączącymi się kolędami z radia, mogła chyba powiedzieć. Zwłaszcza tej kobiecie w różowych piórach, która najwyraźniej wszystko rozumiała.

– Napisałam list do mojego ojca. Ponad rok temu, a przez kolejne pół próbowałam mu go wysłać. Kiedy w końcu zdecydowałam się, kiedy kupiłam znaczek i chciałam pójść na pocztę, zadzwoniła mama i powiedziała, że taty już nie ma – przerwała na chwilę i pociągnęła nosem.

Miła nie pytała o nic więcej, nie ponaglała i nie pocieszała. Ta opowieść musiała sama wypłynąć z Zuzanny, bez dodatkowego wspomaganie.

– Kiedy dowiedziałam się, że szukają kogoś w Biurze Przesyłek Niedoręczonych, pomyślałam, że to idealna praca dla mnie. Kto w końcu lepiej nadaje się do takiej roboty jak nie osoba, która w porę nie dostarczyła listu?

– Co w nim było?

– Przeprasiny. Tata od nas odszedł, gdy miałam dziewiętnaście lat. Teoretycznie nie byłam już małą dziewczynką, a jednak przydusił mnie tym rozstaniem do ziemi. Tak jakby przekreślił wszystko, co było, tylko dlatego, że jakaś inna kobieta nagle zapachniała ładniej niż moja mama. Nie chciałam go więcej widzieć, nie chciałam z nim rozmawiać, słuchać jego tłumaczeń i przeprosin.

– Ale w końcu mu wybaczyłaś?

Zuzanna wytarła nos w chusteczkę i odwróciła się na chwilę do Karoliny. Na szczęście lotopałankę uśpiła monotonna i miarowa jazda samochodem i na razie nie zdradzała żadnych objawów ewentualnej wściekłości.

– W końcu to mama powiedziała mi prawdę. Przyznała, że między nimi od dawna nie układało się zbyt dobrze i że gdyby nie prośby taty, pewnie to ona dużo wcześniej uciekłaby od niego.

– Ale to on kogoś poznał?

– Niby tak, ale nigdy nie uwierzysz dlaczego. Mama nie chciała z nim dłużej być, więc koniec końców skłamała, że miała romans. Tego tata nie wytrzymał. Odszedł następnego dnia, a krótko potem z kimś zamieszkał. Byłam pewna, że ta kobieta jest przyczyną rozpadu związku moich rodziców. Zerwałam z nim wszelkie kontakty, aż w końcu mama przyznała się, jak było naprawdę.

– Dlaczego tak długo z tym czekała?

– Bo mimo wszystko czuła się zraniona. Nie przypuszczała, że tata tak szybko sobie kogoś znajdzie, że pocieszy się zaledwie miesiąc po rozstaniu. Postanowiła więc zrzucić winę na niego lub przynajmniej nie obwieszczać światu, że to ona zawiniła.

Miła oderwała na moment rękę od kierownicy i pogłaskała po głowie Zuzannę.

– A ty? Dlaczego nie wysłałaś tego listu od razu?

– Wstydziałam się. Pisałam go chyba z dwadzieścia razy, ciągle coś poprawiałam, przepisywałam, dodawałam jakieś nieistotne komentarze. Za każdym razem jednak wydawał mi się albo zbyt

infantylny, albo żaloszny w swojej wymowie. Chciałam wyjaśnić ojcu, że wreszcie wszystko rozumiem i że go bardzo przepraszam, ale słowa, które ze mnie wychodziły, były jakieś takie głupie. Dziecinne.

– Ale wiesz, że ojciec na pewno by tak nie pomyślał?

Zuzanna chlipnęła.

– Wiem. A jednak chciałam to napisać dobrze. Tak, żeby od razu zrozumiał i był dumny z tego, że ma mądrą córkę. A nie rozhisteryzowaną panienkę, która nie potrafi skleić jednego zdania.

– I nie zdążyłaś...

Pokręciła głową.

– Zmarł w klasycznym stylu, na zawał. Lekarz powiedział mi, że każdego dnia w Polsce niemal trzysta osób ma zawał serca, a u mężczyzn powyżej pięćdziesiątego piątego roku życia bardzo często kończy się on śmiercią. Ja mu na to: „Wie pan co? W dupie to mam. Chcę, żeby tata żył. Mam dla niego list”. W zamian dostałam tylko zastrzyk na uspokojenie.

– Krótko po tym wyjechałaś?

– Tak. Nie chciałam chodzić po mieście, w którym on żył, nie chciałam spotykać wspólnych znajomych i wysłuchiwać kondolencji. Do mamy też miałam żal, że tak późno mi powiedziała. Kiedy tu przyjechałam, praca w Biurze z początku wydawała mi się nie tyle nudna, ile bardzo smutna. Te wszystkie listy bez odbiorców, te paczki, które nigdy nie zostaną dostarczone. Ale potem poznałam ciebie, zobaczyłam, jak to wszystko funkcjonuje, i trafiłam na listy Gaspara i Tekli. I wtedy pomyślałam sobie, że jeśli uda mi się tę dwójkę połączyć, to może mój tata gdzieś kiedyś dowie się, że napisałam list i jakimś cudem go przeczyta.

Mila uśmiechnęła się i głośniejszą nastawiła przebój *Last Christmas*, który puszczali już po raz siódmy tego poranka.

– Są niezmordowani, prawda? – zachichotała.

– Za każdym razem, kiedy to słyszę, mam ochotę ugryźć radio, a jednak po kilku taktach sama zaczynam się kołysać – przyznała Zuzanna.

– Działa jak narkotyk, po prostu musisz wysłuchać do końca – zaśmiała się Mila.



Monika dawno nie czuła się tak podekscytowana. Tekla ostatecznie zgodziła się pojechać razem z nią na spotkanie i, jak sama zaznaczyła, po raz ostatni pożegnać się z Gasparem.

– Pożegnać?

– On nie przyjdzie. Ja już chyba nie wierzę w cuda, ale postanowiłam, że jeszcze ten jeden, jedyny raz spróbuję. Tym razem to będzie pożegnanie. Muszę z tym skończyć i nie patrz tak na mnie, w końcu sama mówiłaś, że zmarnowałam sobie życie.

– Teraz już tak nie myślę.

Monika uśmiechnęła się do swojej byłej nauczycielki i aby jakoś przyspieszyć czas, zaproponowała wspólne lepienie pierogów.

– Własnoręcznie zrobione pierogi z kapustą i grzybami mają w sobie więcej świątecznego ducha niż sam Duch Święty. Tato zawsze mi powtarzał, że jeśli nie musimy, nie kupujemy gotowców. Nie dość, że ciasto jest twarde, to jeszcze nie mamy żadnej gwarancji, że ktoś nie napluł nam do farszu.

Tekla roześmiała się. Wyglądała tego dnia wyjątkowo ładnie. Miała świeżo umyte włosy, upięte w luźny kok, rubinowe kolczyki w uszach i śliczną, czerwoną sukienkę. Monika pomyślała, że chciałaby tak wyglądać w jej wieku. Ucieszyła się też na wiadomość, że zaraz po świętach Tekla wraca do spotkań z rehabilitantem, a nawet zapisała się na basen. No, może jeszcze nie zapisała, ale przejrzała już oferty z treningami dla niepełnosprawnych.

– A, i dziękuję, że pożyczyła mi pani pierwszy numer „Twojego Stylu”. Pokazałam go przyjaciółkom, a nawet głośno odczytywałyśmy niektóre artykuły. Najbardziej podobał nam się ten o wdzięku i uprzejmości napisany przez Edwarda Pietkiewicza. Zapamiętałam nawet jedno zdanie: „Można bowiem cały salon Diora wykupić, olśnić modną kreacją, a po chwili zde gustować otoczenie słowem i zachowaniem”. Naprawdę pięknie! No i ten wykrój. Moja przyjaciółka chciała nawet spróbować uszyć taką bluzkę, ale poległa już na punkcie trzecim. Jesteśmy zdecydowanie pokoleniem kupującym i niewiele potrafimy sami zrobić.

Nagle coś ją tknęło, przerwała swoją paplaninę, a ciasto, które właśnie kleiła, wypadło jej z rąk.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Tekla.

– Nieee... nic, coś tam sobie przypomniałam – powiedziała szybko i odwróciła głowę w stronę okna.

Nic?

„Więcej tam nie pójde. Nie wiem, dlaczego właśnie w tym roku postanowiłem z tym skończyć, ale Wigilię, i to całą Wigilię, mam zamiar spędzić w domu. Z tobą”. Dopiero teraz dotarło do niej, co powiedział ojciec.

Monika poczuła, że robi jej się słabo. Koniecznie musiała na chwilę wyjść i do niego zadzwonić.



Zuzanna odnosiła wrażenie, że przeżywa jakieś *déjà vu*. Najpierw ucieszyła się, że poczta w Buku jeszcze pracowała, ale szybko opadły jej skrzydła.

– Nie mogę udzielić pani takiej informacji.

– Ale jest Wigilia!

– Nie bardzo widzę związek. Nie mogę i już.

– Dzisiaj nawet zwierzęta mówią ludzkim głosem, a pani nie chce mi pomóc?

Pracownica poczty Marianna S. Obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

– To proszę iść zapytać kozę – poradziła na do widzenia.

Zuzanna spojrzała załamana na Miłę, która też podeszła do okienka i wypuszczając świąteczny uśmiech, próbowała zmiękczyć siedzącą za nim kobietę.

– To proszę chociaż powiedzieć, czy w jakiegokolwiek aptece w Buku pracuje pan Gaspar.

Pracownica poczty Marianna S. Wzruszyła ramionami.

– Mamy tu cztery apteki, ale nie interesują mnie imiona ich właścicieli ani pracowników. Interesują mnie leki. Poza tym za chwilę i tak wszystko będzie zamknięte.

– Kurwa! – wyrwało się Zuzannie.

– Ja też życzę pani wesołych świąt, a teraz proszę skierować się w stronę drzwi. Mam jeszcze dwóch klientów, którzy wyglądają na zdecydowanie mniej wulgarnych – zakończyła podniesionym tonem Marianna S. I stanowczym machnięciem ręki poprosiła do okienka kolejną osobę.



–Tato, odbierz – Monika zaklinała słuchawkę, przestępując z nogi na nogę.

Pod byle pretekstem wyszła na chwilę z mieszkania Tekli i od dziesięciu minut próbowała dodzwonić się do ojca. Niestety komórka milczała, a w aptece włączyła się automatyczna sekretarka.

– Lawenda jest jednym z bardziej popularnych ziół, a wszystko dzięki swojemu zapachowi. Napar, nalewka z lawendy lekarskiej lub wdychanie olejku mają właściwości relaksujące i odświeżające. To świetny środek na nerwice, bóle głowy, migrenę czy bezsenność. Olejek lawendowy łagodzi depresję, pomaga też przy wzdęciach brzucha, nudnościach, niestrawnościach pokarmowych, a dodatkowo wzmacnia apetyt – poinformował ją głos Gaspara, niestety nagrany na automatyczną sekretarkę.

To był nowy patent jej ojca. Gdy ktoś dzwonił do apteki, a on nie mógł w danym momencie odebrać, klienci nie musieli słuchać jakiejś denerwującej muzyczki, tylko aptekarskiej garści newsów. Raz w miesiącu zmieniał nagranie i wiadomości. Dzięki temu klienci dowiadywali się, co to jest sulforafan i gdzie go szukać, dlaczego warto jeść czosnek, a zimą opłaca się stosować kremy z alantoiną i D-pantenolem. Monika uważała ten pomysł za rewelacyjny, a jednak teraz niekoniecznie miała ochotę wysłuchiwać lawendowych ciekawostek. Koniecznie musiała porozmawiać z ojcem i przekonać go, żeby jednak nie rezygnował z corocznego wigilijnego rytuału. Nie chciała mu jednak mówić dlaczego, bo wydawało jej się, że to spotkanie powinno pozostać dla obojga jedną wielką niewiadomą. Powinni iść z tymi samymi wypiekami na twarzy i czekać na siebie, i wierzyć, że tym razem jednak się uda.

Komórka jednak milczała, a Monika nie miała czasu, żeby pojechać teraz do Buku, a potem wrócić do Poznania i wybrać się na Plac Wielkopolski razem z Teklą.

– Niemożliwe, żeby los był aż tak złośliwy! – krzyknęła wściekła do telefonu. – Nie znudziło ci się po tylu latach? – zawołała gdzieś przed siebie, wywołując konsternację na twarzach przechodzącej obok pary. W Wigilię dzieją się wprawdzie różne rzeczy, ale młoda kobieta bez kurtki, patrząca w niebo i powrzaskująca złowrogo, wydała im się mocno podejrzana.

Monika raz jeszcze wybrała numer do apteki.

– Domowe solanki są idealne dla każdego rodzaju ciała. Do przygotowania kąpieli w domowym zaciszu najlepsza jest mieszanka soli mineralnych, wielickiej lub ciechocińskiej. Wsypujemy do wanny dwie garści soli i dolewamy ciepłą wodę. Zanurzamy się na około dziesięć minut...

– Jasne. Najchętniej zanurzyłabym się już na zawsze, taka jestem wściekła – mruknęła Monika i wróciła na górę do Tekli.

Trudno, będzie próbować co pół godziny, w końcu ojciec musi włączyć komórkę.



Zuzannie było wstyd, że tak głupio zachowała się wobec pracownicy Marianny S., która wcale nie była winna temu, że przepisy nie pozwalały jej udzielić informacji dotyczących jednego z mieszkańców ich miasta. Poza tym, co ona miała? Imię i nazwę miejscowości. A jeśli to jakiś inny Buk? Kto wie, ile w Polsce jest Buków. A może to był Bók? Albo Bug? Gaspar najwyraźniej nie

zapisał Tekli swojego adresu, inaczej podałby też nazwę ulicy, więc może ona coś źle zrozumiała?

Może to całe szukanie jest kompletnie chybione, a ona zamiast pomagać mamie w kuchni ugania się za człowiekiem, którego nie zna i który być może mieszka zupełnie gdzie indziej. Na dodatek wciągnęła w to Milę i chociaż przyjaciółka powiedziała, że chętnie jej pomaga, to jednak Zuzanna miała wyrzuty sumienia, że odciąga ją od rodziny.

– Nie uda nam się, prawda? – siąknęła mokrym nosem i wytarła oczy wierzchem rękawiczki.

Mila pogłaskała ją po plecach.

– Spójrz, jak jest pięknie. Taka sceneria sprzyja baśniom.

– To nie baśń. To jedno wielkie nieporozumienie, w które dałam się wciągnąć jak jakaś nawiedzona nastolatka. Pan Stanisław ma rację, doprawiając swoje życie taką ilością cynizmu. Cynizm pozwala jakoś przetrwać w tym jednym wielkim chaosie.

Mila szczerzej otuliła się swoim szalem z różowych piór i popatrzyła w niebo. Chmury mocno się zacieśniły, a z ich popielatych kołder zaczynał prószyć śnieg. Początkowo nieśmiało, z czasem coraz bardziej intensywnie. Tym razem jednak Zuzanny nie interesował taniec białych śnieżynek, czuła, że zawiodła, że znowu nie udało się jej się w porę dostarczyć listu.

Kopnęła z zaciętością jakiś kamień, a kiedy postanowiła jeszcze soczyście zakląć, ktoś położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się zaskoczona.

– Przepraszam. – Głos należał do atrakcyjnej kobiety, ubranej w grafitowy płaszcz wykończony czerwonym futerkiem. Na głowie miała czerwony kapelusz z woalką, dłonie schowane w czerwonej mufce. Zuzanna pomyślała, że wygląda zupełnie jak ktoś z innej epoki, kto właśnie przeniósł się w czasie.

– Przypadkowo usłyszałam rozmowę pań na poczcie i chyba mogę pomóc.

Zuzanna i Mila zamarły, a potem z napięciem zaczęły wpatrywać się w czerwone usta swojej rozmówczyni, która właśnie powiedziała im coś, co przywróciło nie tylko nadzieję, ale także ludzką potrzebę wiary w wigilijne cuda.

– Ja znam Gaspara, który jest aptekarzem. Tyle że on w Buku tylko mieszka, a pracuje w Wilczych Dołach.

– Wilcze Doły? To gdzieś niedaleko? Niemożliwe! – krzyknęła nagle Mila. – a ile tam jest aptek?

– Jedna.

– To niesamowite! Zuza, to musi być ten aptekarz, który pomógł mi odnaleźć Michasia!

Zuzanna musiała wziąć głębszy oddech, żeby nie runąć w śnieg. To niewiarygodne, jak sytuacja potrafi zmienić się z minuty na minutę. Jeszcze przed chwilą przeklinała los i swojego pecha, teraz, dzięki tej kobiecie z innej epoki, znowu wszystko zaczynało się układać.

– Nie wiem, jak pani dziękować, pani...

– Klementyno.

Mila uściskała Klementynę co najmniej z siedem razy, potem drugie tyle dorzuciła Zuzanna. Klementyna była dość zaskoczona, ale uśmiechnęła się do tych dwóch zwariowanych kobiet, mając cichą nadzieję, że żadna z nich nie planuje romansu z Gasparem. Jedna była za młoda, druga raczej za stara. Chyba dobrze, że im pomogła, łatwiej będzie znaleźć wspólny temat do rozmowy z przystojnym, choć dość zachowawczym uczuciowo aptekarzem.

– No i co? Chyba warto wierzyć w cuda, prawda? – zaśmiała się chwilę potem Mila, odpalając małe, czerwone autko i kierując się na Wilcze Doły.

Zuzanna pokręciła głową.

– Nie wiem, poczekajmy, aż naprawdę go spotkamy i pokażemy list. Trochę jestem sceptyczna,

jeśli chodzi o cuda, ale to, co się teraz dzieje, napawa mnie coraz większym optymizmem.

– No wiesz, pamiętaj, że cuda nie muszą być czymś niezwykłym, nadprzyrodzonym i wielkim. To mogą być zwykłe i najbardziej banalne wydarzenia z dnia codziennego, pod warunkiem jednak, że danej osobie przynoszą pożądany efekt. Jeśli uda nam się doprowadzić sprawę Tekli i Gaspara do końca, to możemy założyć, że spotkanie Klementyny było właśnie takim cudem.

– A nie przeznaczeniem?

– Ja tego nie rozdzielałam. Ja tylko nie wierzę w stwierdzenie, że pływamy w rzece przypadków i zbiegów okoliczności.

– Chyba jesteśmy! – zawołała podekscytowana Zuzanna.

Mila zaparkowała tuż przy samej aptece, ale jeszcze zanim zdążyły wysiąść z samochodu, pomyślała, że chyba najwyższa pora zweryfikować wiarę w cuda.

Apteka była zamknięta.



O godzinie piętnastej trzydzieści Monika była kłębkim nerwów. Komórka ojca nadal nie odpowiadała, a ona kompletnie nie wiedziała, jak inaczej mogłaby się z nim skontaktować. Obiecała mu, że wpadnie do niego przed osiemnastą, dlatego przed tą godziną nie było żadnych szans, że zaniepokojony Gaspar zacznie jej szukać. A przecież godzinę wcześniej powinien już być w Poznaniu i czekać na Teklę!

Była nauczycielka tymczasem wyglądała na wyjątkowo spokojną, a nawet jakoś dziwnie szczęśliwą. Tak jakby obecność Moniki miała być gwarancją, że jej ukochany w końcu się zjawi. Nastawiła radio Kultura i z wypiekami na twarzy słuchała audycji o swoim ulubionym poecie, choć tak naprawdę na jego temat wiedziała niemal wszystko.

„Mróz był siarczysty, śnieg skrzypiał pod płozami, janczary grały kapelą srebrzystą. W dzień Wigilii Bożego Narodzenia – dwudziestego czwartego grudnia 1798 roku, pani Barbara z Majewskich i Mikołaj Rymwid Mickiewiczowie jechali na Wigilię z Nowogródka do Zaosia. Pani Barbara spodziewała się dziecka. I oto w przydrożnej karczemce, w drodze na Wigilię, urodziła swego drugiego syna, który miał przynieść sobie wigilijne imię – Adam”³.

³ Za: Barbara Wachowicz, „Bibuła – pismo niezależne”.

– Pojedziemy taksówką, dobrze? – zaproponowała Monika. Dzięki temu mogła zyskać jeszcze trochę więcej czasu i być może w końcu dodzwonić się do ojca.

Właściwie to sama siebie nie rozumiała. Przecież to niczego nie przekreśla. Nawet jeśli dzisiaj się nie uda, to przywiezie ojca do Tekli jutro albo ją zabierze na wycieczkę do Buku. A jednak okropnie jej zależało, żeby zobaczyli się właśnie dzisiejszego dnia. Dokładnie dwudziestego czwartego grudnia, o godzinie siedemnastej. Tak, jak sobie to obiecali trzydzieści osiem lat temu.

Tekla uśmiechnęła się do niej i poprawiła szal na ramionach.

Monika dodała do tego gestu małe przekleństwo pod nosem, na tyle jednak ciche, że jej była nauczycielka niczego nie usłyszała.



– No i masz swoje cuda! Dupa nie cuda! Jedno wielkie wigilijne gównno! – wrzeszczała Zuzanna i z zaciętością szarpała klamkę od apteki.

Mila stała koło niej i próbowała jakoś ją uspokoić.

– Zuza...

– Nie ma Zuza! Co za żenujący początek rzekomo najpiękniejszych świąt w roku! Rozbiłyśmy się o wigilijne godziny otwarcia sklepów. Tak po prostu. A swoją drogą, dlaczego apteki nie pracują dłużej? A jeśli ktoś się struje, próbując kapusty z grzybami? Dostanie sraczki, padaczki i cholera wie czego jeszcze! – piekliła się coraz bardziej, a nawet zrzuciła czapkę z głowy i zaczęła po niej skakać.

– Na sraczkę najlepsze działanie zapierające ma nalewka jagodowa lub owoce jarzębiny. Osobiście zawsze stawiam na zioła, a więc napary z pierwiosnka lekarskiego, rumianku, korzenia lukrecji, ziela cząbrku oraz koniczyny polnej. W przypadku padaczki konieczna jest konsultacja z lekarzem.

Mila i Zuzanna z otwartą buzią patrzyły na wysokiego, przystojnego mężczyznę, który z pękiem kluczy stanął właśnie przed nimi i udzielił im zwięzłej, aptekarskiej porady.

– O, to pani! – ukłonił się w stronę Mili. – Ogromnie się cieszę, że mogłem pomóc odnaleźć Michasia. Wiem też, że operacja się udała. No i doszły mnie słuchy o wizycie pewnego pisarza, co, jak miemam, jest właśnie pani zasługą.

– Gaspar? – upewniła się Mila.

Kiwnął potakująco głową.

– W czym mogę pomóc tym razem? Bo rozumiem, że biegunka i padaczka raczej pań nie dotyczą? – Puścił oko do zapatrzonej w niego Zuzanny.

Dziewczyna zrobiła krok do przodu, otworzyła torebkę i podała mu list w seledynowej kopercie.

Nie wiem, czy w tym roku przyjdę. Po raz pierwszy od trzydziestu ośmiu lat, nie wiem.

Odważnie weszłam w nowy rok i chociaż znowu nie spotkałam Cię w Wigilię, czułam, że może jednak ciągle nie wszystko jeszcze stracone. Pomyślałam, że jeśli będę optymistycznie patrzeć przed siebie przez kolejne miesiące, to w końcu Cię zobaczę.

I wtedy to się stało. Osiemnastego stycznia miałam wylew i przestałam ruszać nogami.

Bajki to są naprawdę tylko bajki i nic więcej. Nie przenikają do świata prawdziwych ludzi, nie odmieniają im życia i nie zabierają problemów. A jeśli nie będę już nigdy chodzić?

A jednak dopada mnie strach, że jeśli nie pojawię się w Wigilię w naszym umówionym miejscu, to wszystko przekreślę. Z drugiej strony, jak mam Ci się pokazać na wózku?

I dlaczego ja ciągle tak bardzo za Tobą tęsknię?

T.



„W świecie dwuznaczności taka pewność uczuć przychodzi tylko raz. I nie powtórzy się, choćbyś żyła nie wiem jak długo” – powiedział bohater filmu *Co się wydarzyło w Madison County*. To samo

o godzinie siedemnastej powtórzył Gaspar, podchodząc do siedzącej na wózku Tekli, która popatrzyła na niego tak jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy.

A potem wszystko rozmyły łązy.

Rozdział 29

MILA

Zuzanna szła do pracy z wielkim uśmiechem na ustach. Dawno nie spędziła tak radosnych świąt, tak zwyczajnie beztroskich, mimo wigilijnego naburmuszenia mamy, które zniknęło jednak już przy zupie grzybowej.

Trudno jej się jednak dziwić.

Zanim Zuzanna dotarła do domu, było grubo po dwudziestej i twarz mamy przypominała rozwścieczonego lwa, któremu hiena sprzątnęła właśnie jedzenie sprzed nosa. Babcia próbowała wprawdzie jakoś załagodzić sytuację, ale w końcu machnęła ręką. Zasiadły do stołu w milczeniu, nie chcąc drażnić siebie nawzajem, w końcu jednak Zuzanna nie wytrzymała i opowiedziała im całą historię. Mama na szczęście uznała ją za wystarczające usprawiedliwienie.

– Mogłaś zaprosić tę Milę do nas – powiedziała jeszcze.

– Chciałam, ale uparła się, że musi koniecznie odwiedzić jakiegoś kuzyna, któremu już dawno obiecała wspólne święta. Nie chciała nawet, żebym ją tam zawiozła, poprosiła tylko o podrzucenie na dworzec.

– A Tekla?

– Pojechała na Wigilię razem z Moniką do domu Gaspara. Dowiedziałam się też, że ten mój sąsiad, pan Stanisław, wywinął mi niezły numer. Wigilię spędził w szpitalu razem z Michasiem i tuzinem innych dzieci, które niestety na święta nie mogły być wypuszczone do domu, i całą noc czytał im swoje bajki. Oczywiście nawet słowem mi o tym nie wspomniał. Gaspar dowiedział się wszystkiego od mamy Michasia, który zaraz po Nowym Roku wraca do domu. Operacja się udała, serce zaczyna współpracować i mały będzie zdrowy. Aż nie mogę uwierzyć, że wszystko tak idealnie się poukładało.

„Szkoda tylko, że tacie nie złożę już nigdy życzeń” – pomyślała ze smutkiem.

Zaraz po świętach wróciła do siebie. W Biurze ciągle jeszcze było mnóstwo pracy, a część osób wzięła niestety dłuższe urlopy. Zuzanna nie załapała się na dodatkowe dni wolnego, ale jakoś jej to nie martwiło. Cieszyła się na spotkanie z Milą oraz na obiecaną kawę z Rafałem. Chciała też wpaść do pana Stanisława i niby przypadkiem zapytać go, czy naprawdę lubi spędzać święta zupełnie sam. Ciekawe, czy się przyzna?

Przed pracą zajrzała do Macieja.

– Co podać? – Pytanie wyskoczyło synchronicznie z ust dwójki dzieci, które, jak się domyśliła Zuzanna, musiały być wnukami właściciela kawiarni. Jedno trzymało w ręku notesik i długopis, drugie własnoręcznie zrobioną kartę potraw.

Z ciekawością zerknęła na menu.

Rogalik pyszny

Hómós z buraków zdrowy

Lody wegańskie na mleku ryżowym, smak podły

– Hmm... – zastanowiła się przez chwilę. – Chyba zdecyduję się na kawę dobrą oraz rogalik pyszny. I taka mała uwaga. Humus piszemy przez u otwarte.

– Które u?

– Oba, niestety. A ryżowe przez zet z kropką.

– Cholera – mruknął chłopiec. – Ta ortografia nas wykończy.

– A czemu uważacie, że wegańskie lody smakują podle? – spytała jeszcze Zuzanna.

Dziewczynka zastanowiła się przez chwilę.

– Bo przypominają rozgotowany ryż z cukrem, co nie należy do kulinarnych majszytków.

– Czego?

– Majszytków.

– Może majsterszytków?

– Może – zgodziła się dziewczynka. – Przyniosę kawę i rogalik, bo bardzo się pani mądrzy.

Zuzanna parsknęła śmiechem, a wychodząc pogratulowała Maciejowi wnuków.

– Są jednorazowi – oznajmiła.

– Wiem. Są idealnym odbiorcą hasła, że „jeśliczegoś nie wolno, a bardzo się chce, to można”.

Pół godziny później Zuzanna natknęła się w pracy na Anetę, która wyglądała tak, jakby dawno zapomniała już o świętach. Być może nawet w ogóle ich nie obchodziła. Ubrana była w kasztanowe spodnie z ostrym kantem, beżową bluzkę z żabotem oraz czekoladowe botki. Na widok Zuzanny tylko skinęła głową i oznajmiła:

– Do roboty.

– Oczywiście! Przepraszam, a Mili jeszcze nie ma?

– Kogo? – zdziwiła się Aneta.

Zuzanna zmieszała się nieco.

– Pani Mileny.

– Nie znam.

– Jak to? Pracuje najczęściej w tym małym kantorku, zaraz obok mojego pokoju. Za takimi zielonymi drzwiami. Tam, gdzie na parapecie stoi tyle ziół.

Aneta skinęła głową.

– Wiem, jaki kolor mają te drzwi oraz co się za nimi znajduje. Graciarnia. I z pewnością nie byłoby tam miejsca dla żadnej pani Mileny. Ani tym bardziej jej ziół, zwłaszcza że to nie jest sklep ogrodniczy – zaśmiała się zadowolona z własnego dowcipu. – a teraz proszę przejść na magazyn.

Zuzanna poczuła, że kręci jej się w głowie. Korzystając z pierwszej możliwej okazji, wymknęła się z magazynu i pobięła do swojego pokoju. Zielone drzwi były zamknięte i zdecydowanie nikt nie reagował ani na pukanie, ani na nawoływanie.

– Milla? Przecież miałaś być dzisiaj w pracy! Milla!

W końcu Zuzanna przejrzała wszystkie swoje szafki i szuflady, i natrafiła na nóż do otwierania listów. Zaryzykowała. Przecież niemal w każdym filmie sztuczka z grzebaniem w zamku kończy się powodzeniem.

Po dziesięciu minutach udało się jej podważyć zamek, zniszczyć i porysować futrynę i kopnąć w drzwi tak mocno, że wykończone uległy.

Kantorek był pusty.

Wszędzie stały ustawione kartony, worki, pudełka, jakieś gazety i inne szpargały. Biurko zarzucone było jakimiś śmieciami. Na parapetach nie kwitły żadne zioła, a na ścianach nie wisały żadne obrazki.

„Bazylią postawioną przy oknie odstrasza owady, a także pomaga na niestrawność” – usłyszała w głowie głos Mili.

Nie było też małego imbryka na herbatę ani różowego kubka z napisem *You are so lovely*. Zuzanna poczuła, jak w ustach robi się jej sucho, a serce bije coraz donośniej. Dotknęła kolczyków w uszach – dwóch przezroczystych kul z zamkniętymi w nich srebrzystymi gwiazdkami. Przecież ich sobie nie wymyśliła!

Odsunęła stojące przy biurku krzesło, żeby na chwilę usiąść i wtedy to zobaczyła. Małeńkie, puszyste, białe piórko...

KONIEC

Od autorki

Ta książka wypłynęła jakoś zupełnie przypadkiem. Natchnęło mnie pewne pudełko pełne starych listów, które znalazłam w piwnicy, szukając urządzenia do przecierania ziemniaków. O ziemniakach zapomniałam, usiadłam i czytałam. Kiedy chłód zaatakował moje pośladki, a chudy pająk zaczął mi się bacznie przyglądać, wynurzyłam się z piwnicy i od razu odpałam komputer. Za oknem było jakieś trzydzieści stopni, a ja sypałam literackim śniegiem i ubierałam choinkę. Przy pisaniu korzystałam z historii, które przytrafiły się pracownikom Wydziału Przesyłek Niedoręczalnych w Koluszkach. Bo taki istnieje naprawdę. I tak powstało *Biuro Przesyłek Niedoręczonych*.

Jest tam trochę faktów, trochę fikcji, mały ukłon w stronę *Naszej klasy*, z której jedno z opowiadań zostało po części wykorzystane, zgodnie z pewnym bardzo dawnym planem, o którym niedługo Wam opowiem. Jest bajka i jest proza. Pachnie świętami i tym czymś nieuchwytnym, co zawsze kojarzy mi się z Wigilią, nieważne gdzie ją spędzam.

Wszystkim dziękuję za wsparcie, Mamie za to, że przyjechała i ogarnęła potwory, Lilce Fabisińskiej za „pała a nie łapa”, a blogerkom książkowym i czytelniczkom za to, że idą ze mną dalej. Każdemu z osobna zaś życzę magicznych świąt i listów, które zawsze dotrą na czas.

Natasza Socha
Monschau, sierpień 2016

Spis treści

Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
Dedykacja	
Rozdział 1 - Nowa praca	
Rozdział 2 - Tekła	
Rozdział 3 - Dwie koperty	
Rozdział 4 - Spotkanie	
Rozdział 5 - Pisarz	
Rozdział 6 - Gaspar	
Rozdział 7 - Nietoperz w staniku	
Rozdział 8 - Sąsiad	
Rozdział 9 - Przed wschodem słońca	
Rozdział 10 - Skarpetki	
Rozdział 11 - Pocztówka dźwiękowa	
Rozdział 12 - Listy	
Rozdział 13 - Rachunek prawdopodobieństwa	
Rozdział 14 - Dwa place	
Rozdział 15 - Dwie równoległe linie	
Rozdział 16 - Poczta Główna	
Rozdział 17 - 29 lipca 1976 roku	
Rozdział 18 - Zjadliwy dziad	
Rozdział 19 - Wspomnienia	
Rozdział 20 - Gabinet	
Rozdział 21 - Piernik na spirytusie	
Rozdział 22 - Chłopiec i bursztynowa łąza	
Rozdział 23 - Grzane wino	
Rozdział 24 - Efekt motyla	
Rozdział 25 - Trzy dni do Wigilii	
Rozdział 26 - Monika	
Rozdział 27 - Dzień przed Wigilią	
Rozdział 28 - Wigilia	
Rozdział 29 - Mila	
Od autorki	